PIĄTA FALA
Wywróci nam kraj

GIEREK
Bajki o dobrym sekretarzu

DOMINIKANIE
Nowe rozdanie, nowe problemy

DZIKA KASA
Jak ujarzmić kryptowaluty

JEDNYM TCHEM
Hania Rani i Dobrawa Czocher

TYCI PAŃSTWO
Jak je założyć, kiedy masz już dość

Kraków 6 lutego 2022 nr 6 (3787) cena 10 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Czy Putin ma duszę

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TYGODNIK POWSZECHNY
WYDANIE SPECJALNE

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Kraków 9 lutego 2022 nr 1 (21)
cena 24 zł (w tym 8% VAT)

WIARA

O Bogu i diable, duchowości i dotyku, nadziei i miłości bliźniego; religijności i świętych, których świętości nie potwierdziła dotąd żadna instytucjonalna pieczęć.

DLA DOROSŁYCH

ELŻBIETA ADAMIAK | NATALIA DE BARBARO | TINA BEATTIE | KS. ADAM BONIECKI
WOJCIECH BONOWICZ | S. BARBARA CHYROWICZ | SEBASTIAN DUDA
ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI | PHILIP GRÖNING | NONTANDO HADEBE | KS. TOMÁŠ HALÍK
KS. MICHAŁ [illegible] OCZOWSKI
LESZEK KOŁAKOWSKI | RYSZARD KOZIOŁEK | KS. STANISŁAW MUSIAŁ | ZBIGNIEW NOSOWSKI
KS. TADEUSZ PABJAN | KS. HENRYK PIETRAS | ANITA PIOTROWSKA | JANUSZ PONIEWIERSKI
KS. JACEK PRUSAK | ZUZANNA RADZIK | ABP GRZEGORZ RYŚ | RABBI RAMI SHAPIRO
PIOTR SIKORA | BARBARA SKARGA | ARTUR SPORNIAK | JERZY SOSNOWSKI
ANDRZEJ STASIUK | TOMASZ STAWISZYŃSKI | KS. GRZEGORZ STRZELCZYK
KAROL TARNOWSKI | KS. JÓZEF TISCHNER | OLGA TOKARCZUK | GENEVIÈVE ZUBRZYCKI

Nowe wydanie specjalne już od środy 9 lutego w najlepszych miejscach z prasą.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Droga Władimira Władimirowicza*

Robert Service – to brytyjski historyk i pisarz, profesor historii Rosji na Uniwersytecie Oksfordzkim. Jeden z najbardziej zasłużonych badaczy dziejów Związku Radzieckiego i ruchu komunistycznego. Napisał między innymi biografie Lenina, Stalina i Trockiego" – tak wydawnictwo Znak przedstawia autora wydanej właśnie książki, „Na Kremlu wiecznie zima. Rosja drugich rządów Putina". Opasły tom (ponad 450 stronic) to w rzeczywistości rzecz o Władimirze Władimirowiczu Putinie. Czytamy: „Miliony Rosjan uważają Władimira Putina za wiernego syna Rosji, który wspiął się na wyżyny władzy za sprawą talentu i wysiłku, i który jednocześnie podźwignął kraj". A świat? Patrzy z mieszaniną strachu, respektu i podziwu. Putin od ponad 20 lat rządzi Rosją i nic nie zapowiada, by to się miało szybko zmienić.

Każdy kolejny rozdział, zawsze dobrze udokumentowany, to opis innego pola walki Władimira Władimirowicza. Najpierw o to, by w oczach milionów Rosjan jawić się jako „ojciec narodu". W przeciwieństwie do swych bezpośrednich poprzedników, on zdołał ten cel osiągnąć. Upokorzonym po rozpadzie Związku Radzieckiego przywrócił poczucie siły i nadzieję na to, że Rosja znów stanie się światową potęgą. On sam głęboko w to wierzy. Nie pierwszy w historii uznaje się za męża opatrznościowego – dla swojego kraju, a być może i dla reszty świata. Realizacja tej misji, którą wytrwale wypełnia, wymaga władzy, której od ponad dwudziestu lat z rąk nie wypuszcza. Musi się borykać z oligarchami, z dość słabymi w tej walce konkurentami do władzy, z najbliższymi współpracownikami, których los uzależnił także od kompetencji i pracowitości, ale nade wszystko od bezwzględnej lojalności.

Bezwzględnie rozgrywa walkę z opozycyjnymi partiami. Potrafi je wewnętrznie skłócić i przez to osłabić. Po długim stażu w KGB potrafi się pozbyć postaci nawet mu niezagrażających, lecz niewygodnych. Walczyć musi z każdą zewnętrzną ingerencją, dlatego wrogie są mu Stany Zjednoczone, dlatego nienawidzi Unii Europejskiej i wszelkich organizacji, które się ośmielają oceniać jego politykę wewnętrzną. Walczy o Ukrainę: za aneksję Krymu Rosja zapłaciła zaangażowaniem w wojnę bez możliwego do przewidzenia końca, a on sam – w oczach opinii światowej, ale niekoniecznie swoich rodaków – fatalnym popsuciem wizerunku. Nie będę dalej wyliczał, bo zbyt wiele jest tych otwartych frontów. Pięknym deklaracjom Putina towarzyszą wyborcze oszustwa (Putin z odrazą odrzucił propozycję przysłania międzynarodowych obserwatorów: „my w Rosji nie potrzebujemy żadnej zagranicznej kontroli"), kłamstwa, przekupstwo, zastraszanie, cyberataki, manipulowanie historią, pozbawianie wolności przeciwników, propaganda w mediach itd. Wszystko dla dobra Wielkiej Rosji.

Lord Acton powiedział: „każda władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie". Studium Service'a zdaje się to potwierdzać. Bo w tej książce szczególnie cenny jest opis drogi Władimira Władimirowicza do zagarnięcia tak ogromnej władzy. Przez obietnice polepszenia bytu (częściowo realizowane) i zdobycie sympatii rodaków, przez niby mało znaczące dla przeciętnego obywatela zmiany w prawie i dobór (lojalnych) ludzi na kluczowe stanowiska wszystkich szczebli, aż po władzę absolutną lub prawie absolutną.

Takich władców zna historia. Początkowo byli uwielbiani przez tzw. „lud", a potem było już za późno. Wiara tych władców we własny geniusz dawała im wielką siłę i skuteczność, jednak do czasu. Imperia powstawały i znikały. Po imperatorach zostawały groby ofiar i paradne rezydencje, często potem zmieniane w obiekty turystyczne. Z drugiej strony – wciąż na nowo w (niektórych) ludziach odżywa tęsknota za „silną władzą", za „przywódcą narodu", za „mężem opatrznościowym". Jakby budowana przez ludzkość od stuleci droga demokratycznych zasad praworządności była nie dość atrakcyjna. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

PREZENT DLA PRENUMERATORÓW!

Już z tym numerem „Tygodnika Powszechnego" 6/2022 nasze Prenumeratorki i nasi Prenumeratorzy otrzymują unikalny PREZENT – autorski notes kulinarny „Smaki".
A w nim: przepisy, rozmowy, eseje i oryginalne ilustracje.
Więcej o notesie znajdziesz na powszech.net/smaki

„Tygodnik Powszechny" – artykuły pierwszej potrzeby z dostawą do domu

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 System trzeszczy
MACIEJ MÜLLER, MAREK RABIJ
W zderzeniu z piątą falą pandemii instytucje państwa polskiego i gospodarka otrą się wkrótce o granice wydolności. Pierwsza linia – system opieki zdrowotnej – w zasadzie już została przerwana.

30 W klerykalnej skorupie
SEBASTIAN DUDA
Kryzys polskich dominikanów to element zjawiska charakterystycznego dla całego katolicyzmu. Chodzi o systemową perwersję, wynikającą ze specyficznego rozumienia kapłaństwa.

40 Gorączka wirtualnego złota
PAWEŁ PIENIĄŻEK
Nowy rok rozpoczął się od poważnego tąpnięcia na rynku kryptowalut. Bitcoin, największa z wirtualnych monet, stracił 50 proc. wartości. Kolejne rządy na świecie chcą ten rynek uregulować.

50 Zręczny człowiek
WOJCIECH JAGIELSKI
Richardowi Leakeyowi udawało się wszystko, do czego się w życiu zabrał. Pomógł udowodnić, że kolebką ludzkości jest wschodnia Afryka, ocalił przed wyginięciem stada słoni i nosorożców, przeżył katastrofę lotniczą. Nie został tylko prezydentem.

64 Jednym tchem
MARCIN ŻYŁA
Mówią, że ich instrumenty od razu się ze sobą splotły. Pianistka Hania Rani i wiolonczelistka Dobrawa Czocher najpierw zaprzyjaźniły się w muzyce.

78 Ciasne, ale własne
ROZMOWA Z MACIEJEM GRZENKOWICZEM, DZIENNIKARZEM I ANTROPOLOGIEM:
Założenie własnego państwa to jedna z tych rzeczy, obok pokonania śmierci, o której wszyscy wiemy, że jest niemożliwa. Ale mimo to ludzie się na nią decydują.

JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL // DAWID LASOCIŃSKI / FORUM // CHIP HIRES / GAMMA-RAPHO / GETTY IMAGES // OSCAR GONZALEZ / NURPHOTO / GETTY IMAGES // OSCAR GONZALEZ / NURPHOTO / GETTY IMAGES // PAVEL MIKHEYEV / REUTERS / FORUM

6 Intensywna terapia obywatelska
MAŁGORZATA NOCUŃ

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 System trzeszczy
MACIEJ MÜLLER, MAREK RABIJ

24 Edward Rozrzutny
JAKUB SZUMSKI *tłumaczy, dlaczego w filmie o Gierku nie znajdziemy ani prawdy czasu, ani prawdy ekranu*

27 Antarktyda: Reaktywacja
KRZYSZTOF STORY: *Nigdy nikt nie dzwonił do mnie z tak daleka*

WIARA

30 W klerykalnej skorupie
SEBASTIAN DUDA

33 Doktrynalny poligon
ARTUR SPORNIAK: *Zbiorowy coming out w niemieckim Kościele spotkał się z przychylnością biskupów*

35 Charyzmat i władza
EDWARD AUGUSTYN: *Żadna z powstałych po Soborze wspólnot nie odcisnęła takiego śladu na współczesnym włoskim katolicyzmie*

37 Nauczyciel pokoju
PIOTR SIKORA: *Był obok Dalajlamy najbardziej znanym mistrzem buddyjskim. Zmarł Thích Nhât Hạnh*

ŚWIAT

40 Gorączka wirtualnego złota
PAWEŁ PIENIĄŻEK

44 Cena zbliżenia
BARTOSZ KOWALSKI: *Kto zyskał na umowie Chiny–Watykan*

46 Pozdrowienia ze strzelnicy
MARTA ZDZIEBORSKA: *W spolaryzowanym kraju konflikt kulturowy nie omija także szkół*

TEMAT TYGODNIKA

ALEXEI DRUZHININ / SPUTNIK / EAST NEWS

12 Czy Putin ma duszę
ANNA ŁABUSZEWSKA
Po 22 latach rządów prezydent Rosji jest owładnięty myślą o tym, jakie miejsce zajmie w historii. Jego działania napędza też poszukiwanie sposobu na utrzymanie władzy. Najdłużej, jak się da. Najlepiej – wiecznie.

FELIETONY

29 JACEK PODSIADŁO **39** WOJCIECH BONOWICZ **58** HANNA KRALL **76** JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
WŁADIMIR PUTIN, marzec 2020 r.
FOT. ALEXEI DRUZHININ / SPUTNIK / EAST NEWS
MONTAŻ TP-ONLINE

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

PORTRET

50 Zręczny człowiek
WOJCIECH JAGIELSKI *żegna Richarda Leakeya*

HISTORIA

54 Droga księdza Magnusa
STANISŁAW ZASADA: *W międzywojennym Gdańsku bronił Polaków przed Niemcami, a gdy III Rzesza upadła – niemieckich cywilów przed Sowietami*

NAUKA

60 Czekając na rewolucję
PAULINA MOZOLEWSKA: *Naukowcy twierdzą, że terapie komórkami macierzystymi to przyszłość medycyny. A jak wygląda ich teraźniejszość?*

63 Lek na zwłóknialе serca
BARTOSZ KABAŁA: *Połączenie metod leczenia nowotworów i mRNA może pomóc pacjentom kardiologicznym*

KULTURA

64 Jednym tchem
MARCIN ŻYŁA

68 Masowe histerie
JAN BŁASZCZAK *o świecie, w którym rozgrywa się „Mambo dżambo"*

71 Tata przestał
MONIKA OCHĘDOWSKA: *Porządek polskich narracji alkoholowych długo wyznaczała opowieść stawiająca w centrum uwagi męskie doświadczenie picia*

74 Karty na stół
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Hazardzista"*

76 „Ukłon mego cienia"
LEKTOR *o nowym wydaniu „Wierszy zebranych" Zbigniewa Herberta*

ZMYSŁY

78 Ciasne, ale własne
ROZMOWA Z MACIEJEM GRZENKOWICZEM, DZIENNIKARZEM I ANTROPOLOGIEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Byłem tylko tarczą strzelniczą dla rywalizujących ze sobą stronnictw – powiedział prezydent Armenii i podał się do dymisji
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Własny pokój [Podkast Powszechny]
Musimy robić dużo rzeczy, które by od nas zależały. Robić, mówić, nie przemilczać, nie bać się – mówi **DOROTA SEGDA**
tygodnikpowszechny.pl/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

INTENSYWNA TERAPIA OBYWATELSKA

Trzy dekady wystarczyły Jerzemu Owsiakowi, by zrewolucjonizować polską medycynę dziecięcą. I pokazać, czym jest solidarność ze słabszymi.

MAŁGORZATA NOCUŃ

Jerzy Owsiak w studiu 30. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy 2022 przed PKiN w Warszawie, 30 stycznia 2022 r.

Początek był spontaniczny. I szalony. 30 lat temu Jerzy Owsiak współprowadzi na antenie Programu 3 Polskiego Radia muzyczną audycję „Brum". Jest ona zaprzeczeniem PRL-u: żywa, bez scenariusza. Podobnie jak gesty słuchaczy. Przysyłane do redakcji pieniądze w kopertach mają wesprzeć najmłodszych pacjentów kardiologicznych.

W tamtym czasie lekarze (nie tylko neonatolodzy, ale też kardiochirurdzy, neurochirurdzy) nawet nie marzą o tym, co jest dziś. Wiedzą – dzięki zagranicznym stypendiom, z naukowych czasopism – jak wygląda medycyna na Zachodzie. Zazdroszczą kolegom, podpatrują. Urządzenia na miarę tych zachodnich robią sami. Piłują pleksi, zbierają plastikowe rurki, by imitowały te sterylne, jako spoiwa używają taśmy klejącej. Kiedy przed operacją serca pacjent musi zostać wprowadzony w stan hipotermii (jego ciało schładza się do granicy klinicznej przeżywalności), jedynym rozwiązaniem jest skorzystanie z wanny wypełnionej zimną wodą i lodem. Tak jeszcze trzy dekady temu ratowano ludzkie życie i chroniono organizm przed tragicznymi skutkami niedotlenienia.

Gdy po 1989 r. polscy lekarze wracali z zagranicznych stypendiów, pogrążali się we frustracji. „Gdybyśmy mieli taki sprzęt i takie możliwości diagnostyczne, moglibyśmy

pomóc tylu ludziom, którzy dziś u nas umierają" – mówili. Z pomocą przyszedł Jerzy Owsiak i jego Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy.

W 1991 r., w ferie Bożego Narodzenia, Owsiak po raz pierwszy użył tej nazwy. Już rok później zorganizowano pierwszy koncert opatrzony logo WOŚP. Po każdej akcji do polskich szpitali docierał sprzęt i środki opatrunkowe zakupione dzięki Orkiestrze. Dziś wiele oddziałów wygląda, jakby reklamowało WOŚP – szacuje się, że co piąte nowoczesne urządzenie pochodzi ze zbiórek Orkiestry. Owsiak podróżuje po Polsce. Odwiedza nie tylko szpitale, ale także hospicja i domy pomocy społecznej. Rozmawia z personelem, wsłuchuje się w potrzeby. „Co wy, k..., takich rzeczy tu nie macie?" – pyta. I po kilku dniach do placówki dociera transport środków higienicznych.

Rzeczy o wielkim znaczeniu czasem najlepiej dostrzega się z perspektywy „mikro". Dziś polskie oddziały intensywnej terapii noworodka przypominają statki kosmiczne: nowoczesne inkubatory, cicho pracujące respiratory i CPAP-y, czyli urządzenia dostarczające tlen. Lekarze codziennie wwożą na salę nowoczesny aparat USG. Głowicę wkłada się przez okienko inkubatora, badanie przeprowadzane jest w kilkanaście minut. Najmniejsi pacjenci nie są narażeni na stres związany z transportem – ten bywa dla nich śmiertelny.

Owsiak i jego współpracownicy oraz wolontariusze od trzech dekad uczą Polaków, czym jest społeczeństwo obywatelskie, solidarność i odpowiedzialność za słabszych. Swoim sposobem bycia i hasłem „Róbta, co chceta" szef WOŚP wzbudza kontrowersje i – niestety – także przemoc. Ale z własnego doświadczenia wiem, że w obliczu walki o ludzkie życie milkną wszelkie spory. Dzięki aparaturze zakupionej przez Orkiestrę lekarze uratowali życie mojego przedwcześnie urodzonego syna. Nigdy nie odczuwałam takiej wdzięczności, jak wtedy – otwierając drzwi oddziału Intensywnej Terapii Noworodka im. WOŚP w Krakowskim Szpitalu Uniwersyteckim.

Każda z nas, matek przychodzących codziennie na ten i wiele podobnych oddziałów, wiedziała i wie, że gdyby nie Orkiestra, wiele z naszych dzieci umarłoby chwilę po urodzeniu. ©℗

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

Na razie Zachód zdaje ten test

WOJCIECH KONOŃCZUK

Szef rosyjskiej dyplomacji Siergiej Ławrow stwierdził w ubiegłym tygodniu, że „Rosja nigdy na nikogo nie napadała, zawsze to na nas napadali". W sytuacji rosnącej rosyjskiej obecności wojskowej wokół granic ukraińskich i zbliżających się manewrów rosyjsko-białoruskich – nadzwyczajnych, największych w historii – słowa te nikogo na Ukrainie i na Zachodzie nie uspokoiły, lecz co najwyżej wywoływały gorzki śmiech. Ławrow stwierdził zarazem, że Rosja „nie chce wojny, ale nie pozwoli na ignorowanie jej interesów".

Na wszelki wypadek niektóre państwa zachodnie (m.in. USA) zdecydowały się na ewakuowanie części swoich dyplomatów i członków ich rodzin. Towarzyszy temu płynący z Waszyngtonu przekaz, że rosyjska agresja wobec Ukrainy może nastąpić w najbliższym czasie. Sygnały z Kijowa są znacznie bardziej spokojne: władze ukraińskie twierdzą, że jak do tej pory koncentracja sił rosyjskich, choć niepokojąca, bardziej przypomina blef niż przygotowanie do zmasowanej inwazji. Zarazem wzywają do niepanikowania, słusznie uznając, że jednym z celów Moskwy jest wywołanie strachu, co może skutkować ogromnymi stratami dla gospodarki ukraińskiej (w tym wzrostem oprocentowania ukraińskich obligacji).

Równocześnie, mimo otwartych gróźb Rosji, trwają rozmowy dyplomatyczne. USA i NATO przesłały pisemne odpowiedzi na rosyjskie ultimatum. Sam fakt, że zostały one skonsultowane z Kijowem, wskazuje, że nie ma akceptacji dla żądań Moskwy. W ramach polityki odstraszania Stany kończą przygotowanie pakietu sankcji przeciw Rosji, który wszedłby w życie w razie jej inwazji na Ukrainę.

Wywołany przez Moskwę kryzys, będący największym wyzwaniem dla bezpieczeństwa europejskiego po 1991 r., jest także testem dla Zachodu i Sojuszu Północnoatlantyckiego. Pokazuje bowiem, na ile jesteśmy zdolni do reagowania na podobne sytuacje nadzwyczajne, w jakim stopniu stać nas na wspólną i szybką odpowiedź. Pokazuje również, że – podobnie jak w czasie zimnej wojny – to USA pozostają bezalternatywnym gwarantem bezpieczeństwa Starego Kontynentu. Mimo różnych zastrzeżeń, w tym dwuznaczności polityki Berlina i francuskiej próby gry solowej, Zachód wciąż zdaje ten test pozytywnie. ©

Omikron w Europie: czas poluzowania

PIĘĆDZIESIĄT TYSIĘCY, STO TYSIĘCY, nawet więcej: choć wskaźniki dziennych zakażeń pozostają w krajach Europy Zachodniej na wysokim poziomie (często wyższym niż w Polsce), wiele rządów decyduje się w tych dniach na luzowanie restrykcji epidemicznych. Zwykle stopniowo, jak w Austrii, Holandii, Szwajcarii czy Francji, ale czasem radykalnie – jak w Wielkiej Brytanii i Danii, gdzie znikły lub wkrótce znikną niemal wszystkie ograniczenia (towarzyszą temu apele o odpowiedzialne postępowanie). Natomiast Niemcy, gdzie fala Omikrona wciąż narasta, obstają przy restrykcjach – choć wśród polityków mainstreamu pojawiają się głosy, by wkrótce rozważyć ich łagodzenie.

Decyzje o luzowaniu uzasadniane są przede wszystkim obserwacją z ostatnich tygodni: że choć wariant Omikron jest bardziej zakaźny niż poprzednie, to infekcja nim przebiega najczęściej – bo nie zawsze – łagodnie, a oddziały szpitalne nie są obciążone tak, jak podczas fali wywołanej Deltą. Skłoniło to ostrożny zwykle niemiecki Instytut Kocha (monitoruje on pandemię i wydaje zalecenia) do konstatacji, że kryterium dla oceny sytuacji epidemicznej powinna być już nie liczba notowanych codziennie nowych zakażeń, lecz sytuacja w szpitalach, tj. ich obciążenie i niedobory w personelu, związane z koniecznością kwarantanny. Także ta ostatnia okoliczność wpływa na skłonność rządów do luzowania, zresztą nie tylko w kontekście służby zdrowia.

Warto jednak pamiętać, że w krajach zachodnich jest to luzowanie z wyższego niż w Polsce poziomu restrykcji (w Austrii w restauracjach oznacza to przejście z „reguły 2G" do „reguły 3G", czyli zjeść będzie można nie tylko będąc zaszczepionym lub ozdrowieńcem, ale okazując też wynik testu), i że wyższy jest tam odsetek zaszczepionych. Dla osób niezaszczepionych Omikron może być czymś więcej niż tylko katarem.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

WOJCIECH KLICKI, PRAWNIK FUNDACJI PANOPTYKON

Bezkarne służby

KRZYSZTOF STORY: Lider Agrounii, Michał Kołodziejczak, to kolejna osoba inwigilowana Pegasusem. Jak to możliwe, że człowiek, przeciwko któremu nie toczy się żadne postępowanie, jest podsłuchiwany?

DANIEL GNAP / EAST NEWS

WOJCIECH KLICKI: Ta sprawa potwierdza, że inwigilowany może być nie tylko czołowy polityk i niepokorna prokurator, ale każdy aktywny obywatel. Po stronie służb widzę olbrzymie poczucie bezkarności.

Służby chętnie sięgają po nasze billingi i dane lokalizacyjne – 1,53 miliona razy tylko w 2020 r. Wszystko przez to, że dostęp do nich jest bardzo prosty. Z podsłuchami przynajmniej w teorii powinno być trudniej.

Tak, teoretycznie podsłuchy są lepiej kontrolowane, bo każde takie działanie wymaga zgody sądu i prokuratury. W praktyce ta kontrola jest fikcją. Sądy akceptują ponad 99 proc. wszystkich wniosków, prokuratura 97 proc.

Sądy pozwalają na wszystko?

System je do tego zachęca. By wyrazić zgodę, sędzia musi jedynie podpisać wniosek. By odmówić, jest zobowiązany napisać uzasadnienie. W aktach nie musi być nawet nazwiska podsłuchiwanej osoby, wystarczy numer telefonu albo IMEI. Na podstawie okrojonych danych sędzia może nawet nieświadomie zaakceptować podsłuchiwanie samego siebie. I jeszcze jedno: Pegasus to nie podsłuch, tylko totalna inwigilacja. Koncentrowanie się na zgodzie sądu lub jej braku odwraca uwagę od głównego problemu: używanie Pegasusa w Polsce jest nielegalne.

Jak zapewnić kontrolę nad służbami, jednocześnie nie „wybijając im zębów", czym często straszą politycy?

Istotnym krokiem powinno być powołanie niezależnej instytucji kontrolującej wszystkie dziewięć służb specjalnych w Polsce. Ale najważniejszą propozycją, funkcjonującą np. w Niemczech, jest obowiązek informowania o podsłuchu. Po 12 miesiącach od zakończenia inwigilacji istniałby obowiązek powiadomienia podsłuchiwanego, że był obiektem zainteresowania. Służby nadal mogłyby działać skutecznie i szybko, ale ze świadomością, że ich działania zostaną prędzej czy później zweryfikowane. ©℗

WOJCIECH KLICKI *jest prawnikiem związanym z Fundacją Panoptykon, odpowiada za monitoring i analizy prac legislacyjnych w Polsce, przede wszystkim w obrębie działania służb specjalnych i policji.*

KRAJ W SKRÓCIE

WIEJE
Orkan Nadia sparaliżował kraj: na skutek dwudniowych wichur zginęła jedna osoba, a kilka zostało rannych, straż pożarna otrzymała niemal 15 tys. próśb o interwencję, kilkaset tysięcy gospodarstw odnotowało przerwy w dostawie prądu.

WISI
„Całe państwo wisi na moich trzech głosach" – powiedział Paweł Kukiz w rozmowie z byłym działaczem swojego ugrupowania, ujawnionej przez TVN24. Nie przebierając w słowach, polityk i muzyk mówi także o nepotyzmie i korupcji w PiS oraz o machinie propagandowej TVP.

LECI
Na ceremonii otwarcia Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Pekinie Andrzej Duda będzie najwyższym przywódcą z UE – większość zachodnich polityków ogłosiła dyplomatyczny bojkot imprezy, na którą stawią się także dygnitarze z Rosji, Kambodży, Mongolii, Kataru i Arabii Saudyjskiej.

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

WRACA
Do polityki wrócił po chorobie Jarosław Gowin, z którego serii wywiadów wyłania się m.in. plan budowy umiarkowanie konserwatywnej koalicji wyborczej z PSL i Polską 2050 Szymona Hołowni.

NIE KLIKA
Sensacji o: skandalach obyczajowych w konserwatywnych instytutach prawniczych, raperach zatrzymanych za posiadanie narkotyków, zaszczepionych politykach obsługujących antyszczepionkowy elektorat itp. – nie powielamy.

Starzejemy się i już nie wyjeżdżamy

W POLSCE MIESZKA 38 mln 179 tys. 800 osób – tak wynika z ubiegłorocznego spisu powszechnego. O ile zanotowany w trakcie ostatniej dekady spadek ludności (o 332 tys.) jest trochę mniejszy od prognozowanego, o tyle tempo starzenia się społeczeństwa może budzić niepokój. O niemal 5 pkt proc. wzrósł przez 10 lat odsetek emerytów, co oznacza dodatkowych 1,8 mln ludzi w wieku postprodukcyjnym. Jednocześnie o 1,9 mln zmniejszyła się liczba osób, które mogą na nich pracować. W sumie w wieku emerytalnym znalazł się co piąty obywatel Polski, a w połowie XXI w. może to być już co czwarty, gdyż w naszym kraju rodzi się coraz mniej dzieci.

Na szczęście jest też kilka dobrych wieści. Udało się wyhamować proces emigracji: po raz pierwszy w historii III RP więcej Polaków wraca do ojczyzny, niż z niej wyjeżdża. Czeka na nich także o 1,7 mln więcej mieszkań niż 10 lat temu. Będą one zresztą tanieć wraz z depopulacją Polski, ale akurat ta przyczyna spadku cen nie powinna napawać nikogo optymizmem. ©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

Znów się dołożymy!

SEJM ODRZUCIŁ 65 POPRAWEK Senatu do budżetu na 2022 r., m.in. dodatkowe 100 mln dla psychiatrii dziecięcej i młodzieżowej, choć jej katastrofalny stan pogłębiła jeszcze pandemia. Odrzucono też propozycję utworzenia rezerwy (5 mln zł) na młodzieżowy telefon zaufania, mimo że według policji gwałtownie wzrosła liczba prób samobójczych wśród młodych. Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, która prowadzi telefon, wcześniej już została pozbawiona dotacji na kolejny rok – w internetowej zbiórce w ciągu kilku dni zebrano jednak 2 mln zł na uratowanie infolinii.

Coraz częściej zrzucamy się na zadania, które państwo powinno finansować z budżetu – dokładamy do kosztownych, nierefundowanych terapii, WOŚP z naszych pieniędzy kupuje sprzęt medyczny. Wyręczamy państwo na tylu polach, że strach pomyśleć, co się z nim stanie, kiedy zacznie nam brakować na kolejne zrzutki. ©℗ JACEK TARAN

VALERY SHARIFULIN / TASS / FORUM

W CIENIU WIRUSA I POLITYKI. Zdecydowana większość przywódców państw zachodnich zbojkotuje otwarcie zimowych igrzysk olimpijskich, które zaczynają się w Pekinie w piątek 4 lutego; powodem są represje wobec Ujgurów w prowincji Sinciang (niektórzy mówią tu o ludobójstwie) i w Hongkongu. Problemem dla Pekinu jest też rozprzestrzenianie się w Chinach wariantu Omikron; kontynuując politykę „zero covidu", władze poddają twardemu lockdownowi całe miasta, gdzie wykryto infekcje. Przypadki zachorowań są też wśród sportowców – mimo rygorystycznego systemu izolacji, w jakim ma się odbywać impreza. Na zdjęciu: obok stadionu łyżwiarstwa szybkiego „Lodowa Wstęga", Pekin, 31 stycznia 2022 r. ©℗ WP

Wielka Brytania: czekając na Sue Gray

PATRYCJA BUKALSKA

Opublikuje czy nie? W całości czy tylko fragmenty? A przede wszystkim – kiedy? Takie pytania absorbują i brytyjskie media, i samych Brytyjczyków.

Chodzi o przygotowywany przez urzędniczkę służby cywilnej Sue Gray raport dotyczący organizowanych w czasie lockdownu towarzyskich spotkań i przyjęć w siedzibie premiera na Downing Street. Po całej serii doniesień o imprezach łamiących obowiązujące w tamtym czasie pandemiczne restrykcje podjęto decyzję o przeprowadzeniu wewnętrznego dochodzenia – od jego wyników zależy polityczna przyszłość Borisa Johnsona. Kiedy jednak wydawało się, że publikacja raportu jest już kwestią godzin, do akcji wkroczyła londyńska policja i poinformowała, że zaczyna własne dochodzenie. Publikacja raportu Gray została odłożona do momentu uzgodnienia, co może zostać upublicznione bez szkody dla obiektywności działań policji.

Liczne zwroty akcji w kwestii tego, czy policja prosiła, czy też nie o wstrzymanie publikacji, a także, czy ma do tego prawo, oraz co zrobi Sue Gray – to osobna historia. Wydaje się natomiast, że paradoksalnie Borisowi Johnsonowi dochodzenie policji w sprawie tego, co działo się na Downing Street, może być na rękę. Im później bowiem raport Gray ujrzy światło dzienne i im bardziej będzie rozwodniony, tym lepiej dla niego. Tym większa szansa, że Brytyjczycy – zajęci rosnącymi cenami i słuchający z niepokojem o kryzysie rosyjsko-ukraińskim (w który Londyn mocno się angażuje) – w końcu zapomną o „partygate".

Z niecierpliwością na raport czekają natomiast partyjni koledzy Johnsona, którzy mogą zadecydować o rozpoczęciu procedury wyboru nowego przywódcy. Na razie wśród torysów narasta frustracja. Publikacja raportu dałaby im możliwość ostatecznego zamknięcia „partygate" – poprzez wymianę premiera bądź pozostawienie Johnsona na stanowisku. Czas nagli: w maju odbędą się wybory lokalne, które będą testem dla rządzącej Partii Konserwatywnej (w sondażach jej notowania spadły poniżej poparcia dla opozycyjnej Partii Pracy). Wszyscy nadal czekają na Sue Gray...

W chwili pisania tego tekstu możliwą datą publikacji raportu był poniedziałek 31 stycznia lub dni następne. ©℗

Dżihadyści i Rosja zacierają ręce

WOJSKOWI OBALILI PREZYDENTA i przejęli władzę w Burkina Faso, kolejnym kraju afrykańskiego Sahelu, głównego pola bitwy światowych dżihadystów, którzy toczą wojnę przeciw Zachodowi.

Zamachowcy zarzucali prezydentowi nieudolność w walce z panoszącymi się w kraju dżihadystami. O to samo oskarżali też władze w sąsiednim Mali, gdzie w ostatnich dwóch latach doszło aż do dwóch przewrotów. W zeszłym roku pucze odbyły się także w Gwinei, Czadzie i Sudanie.

Wojskowe zamachy stanu niweczą walkę, którą z dżihadystami z Sahelu próbuje toczyć Francja i jej zachodni sojusznicy, obawiający się, że eskalacja wojny wywoła kolejny najazd uchodźców na Europę. W 2013 r. francuscy spadochroniarze zatrzymali marsz dżihadystów na Bamako, stolicę Mali. Pokonani wycofali się, ale wkrótce wrócili i przenieśli wojnę także na Burkina Faso, Mauretanię, Niger i Czad.

Do ostatniego zamachu doszło w czasie, gdy Francja i Mali wdały się w spór, który może zakończyć europejskie wsparcie dla państw Sahelu. Paryż nie uznaje puczystów z Mali, ci zaś oskarżają Paryż o obłudę (Francja nie protestowała, gdy do puczu doszło w przyjaznym jej Czadzie). Europejscy sojusznicy Francji, którzy mieli wspierać ją w operacji na Sahelu, po przewrotach w Bamako, a teraz jeszcze w Ouagadougou, wahają się, czy się nie wycofać. Podobnego gestu nie wyklucza też Francja, wypominająca afrykańskim sojusznikom niewdzięczność.

Ręce zacierają dżihadyści i Rosjanie. Rosyjscy najemnicy ze związanej z Kremlem Grupy Wagnera są już w Mali, a natychmiast po zamachu zaoferowali swoje usługi także puczystom z Burkina Faso. Od kilku lat są obecni również w Republice Środkowoafrykańskiej, którą przerobili na rosyjski protektorat, oraz w Sudanie i Libii.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

WSPARCIE

Podczas środowej katechezy Franciszek postawił św. Józefa za wzór rodzicom przeżywającym trudności. Wspomniał także tych, „którzy widzą u swoich dzieci odmienne orientacje seksualne” i wezwał, by zamiast potępiać, towarzyszyli swoim dzieciom.

GEST

W katedrze łódzkiej przedstawiciele różnych Kościołów wzajemnie umyli sobie nogi. „Żeby podejmować dialog o Kościele, trzeba wejść w ten dialog w postawie umycia nóg” – wyjaśnił abp Grzegorz Ryś. W nabożeństwie uczestniczyli duchowni Kościołów prawosławnego, ewangelicko-metodystycznego, ewangelicko-augsburskiego oraz polskokatolickiego.

NIESUBORDYNACJA

Zwierzchnik Cypryjskiego Kościoła Prawosławnego suspendował 12 księży, ponieważ sprzeciwili się jego wezwaniu do zaszczepienia się przeciwko COVID-19. Większość namawiała wiernych, by się nie szczepili. Arcybiskup Chrystostomos II nazwał to „niesłychaną niesubordynacją” i zagroził, że wydali opornych ze stanu duchownego.

MNISZKI

Systematycznie maleje liczba sióstr klauzurowych w Polsce. W 83 klasztorach, których przełożone zrzeszone są w Konferencji Przełożonych Żeńskich Klasztorów Kontemplacyjnych, żyło w ubiegłym roku 1198 mniszek – o dziesięć mniej niż w roku 2020.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „Tygodnika” co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Katolicki fake news w twoim domu

EDWARD AUGUSTYN

Trzeba sprzeciwiać się fałszywym informacjom na temat pandemii i szczepionek – mówił Franciszek podczas spotkania z przedstawicielami konsorcjum Catholic Fact-Checking, które od marca 2021 r. dementuje na swoich stronach fake newsy z katolickich mediów (np. o produkowaniu szczepionek z abortowanych płodów czy modyfikacji genomu osób zaszczepionych).

Nie chodzi o to – tłumaczył papież – by za dezinformacje, uproszczenia i spiskowe teorie obwiniać tych, którzy je szerzą z niewiedzy i strachu. Ale trudno usprawiedliwiać osoby, organizacje i media, które manipulują faktami dla zysku – ekonomicznego lub politycznego.

W Polsce do walki z fake newsami przystąpiono już następnego dnia po papieskim przemówieniu. Podczas sympozjum „Oblicza pandemii”, zorganizowanego przez Akademię Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu, pod patronatem Radia Maryja, Telewizji Trwam i „Naszego Dziennika”, można było usłyszeć, że największym oszustwem jest sama pandemia, wymyślona przez media i koncerny farmaceutyczne, „preparaty genetyczne, zwane szczepionkami”, przyczyniły się do śmierci setek osób, a maseczki niszczą dzieciom mózgi. Jak również, że rządy i koncerny blokują informacje niezależnych ekspertów (np. prelegentów sympozjum) o skutecznych metodach walki z wirusem, leczenia COVID-19 i organizacji systemu ochrony zdrowia. „Kluczowym staje się pytanie, komu wierzyć i komu zaufać, kto mówi prawdę, a kto tego nie robi” – mówiła, zachęcając do udziału w sympozjum, dyrektorka Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP. Przynajmniej z tym się zgódźmy. Bo, jak mawiał już pan Zagłoba, czasem sam diabeł się w ornat ubiera i ogonem na mszę dzwoni. ©℗

Dominikanie: nie wybraliśmy supermena

NOWYM PROWINCJAŁEM DOMINIKANÓW został dotychczasowy przeor klasztoru krakowskiego, 37-letni o. Łukasz Wiśniewski. Wyboru dokonali zakonnicy zgromadzeni na kapitule prowincjalnej, która obraduje w Krakowie od 24 stycznia do 19 lutego. Jej głównym wyzwaniem jest zmierzenie się z kryzysem wywołanym działalnością dominikanina Pawła M., oskarżonego m.in. o przestępstwa seksualne [więcej w artykule Sebastiana Dudy w dziale Wiara – red.].

Łukasz Wiśniewski do zakonu wstąpił w 2003 r. Studia z teologii dogmatycznej we Fryburgu szwajcarskim zakończył doktoratem o „instynkcie wiary” opublikowanym w prestiżowym francuskim wydawnictwie Cerf. Pracował w wydawnictwie W drodze i był duszpasterzem akademickim. Pytani przez „TP” bracia mówią: – Rozsądny, delikatny, nie jest karierowiczem, potrafi słuchać. Nie wybieramy supermena, tylko kogoś, kto ma pomóc braciom reformować zakon.

O. Wiśniewski włada czterema językami, jest „pasjonatem siatkówki i sportów wszelakich”. W homilii wygłoszonej podczas mszy inaugurującej kapitułę określił kryzys w zakonie „jako spotkanie z ubóstwem w tym wszystkim, co dotychczas wydawało się naszym bogactwem i dumą”. Z kolei w styczniowym numerze miesięcznika „W drodze” cytował przestrogę Karla Bartha: „Jeśli Kościół nie ma innego celu niż służba samemu sobie, nosi już na sobie stygmaty śmierci”. ©℗ ARTUR SPORNIAK

Pierwsze skutki raportu

WSZYSCY ŻYJĄCY RZĄDCY archidiecezji monachijskiej – dwaj byli oraz obecny – przyznali się do błędów, które wytknął im raport przedstawiający przypadki pedofilii w latach powojennych w Kościele bawarskim. Benedykt XVI (kierujący archidiecezją w latach 1977-1982) wycofał się ze swojego wcześniejszego stanowiska, odrzucającego odpowiedzialność, i zapowiedział bardziej szczegółowe ustosunkowanie się do dokumentu. Kard. Friedricha Wettera (zwierzchnika archidiecezji w latach 1982-2008) napawa „wstydem i smutkiem” fakt, że przynajmniej w jednym przypadku „nie wywiązał się ze swoich obowiązków, aby chronić dzieci i młodzież”. Obecny arcybiskup Monachium i Fryzyngi kard. Reinhard Marx powiedział, że „dla wielu ludzi Kościół stał się miejscem katastrofy, a nie zbawienia, miejscem strachu, a nie pocieszenia”. Jego zdaniem ma to systemowe przyczyny, ale moralną odpowiedzialność ponosi także on.

Biskupi niemieccy na posiedzeniu Rady Stałej Episkopatu w Würzburgu zapowiedzieli przygotowanie kolejnych raportów. Szansę dla odnowy Kościoła widzą w Drodze Synodalnej, której kolejne spotkanie odbędzie się w dniach 3-5 lutego we Frankfurcie nad Menem. ©℗ ASK

KULTURA W SKRÓCIE

MUZYKA MYSZY
Czesko-polsko-francusko-słowacka produkcja „Nawet myszy idą do nieba” ma szansę na nagrodę francuskiej Akademii Sztuki i Techniki Filmowej w kategorii najlepszy film animowany. Walczy także w dwóch kategoriach o Czeskie Lwy – jury doceniło muzykę, której twórcą jest polski kompozytor Krzysztof A. Janczak.

PRZECZAROWUJĄC ŚWIAT
Monumentalna praca Małgorzaty Mirgi-Tas, złożona z dwunastu wielkoformatowych tkanin, zostanie zaprezentowana w Pawilonie Polskim na 59. Międzynarodowej Wystawie Sztuki w Wenecji. Układ, forma i motywy dzieła nawiązują do słynnego „kalendarzowego” cyklu fresków z renesansowego Palazzo Schifanoia w włoskiej Ferrarze.

ENIGMA W POZNANIU
Polską replikę niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma, zbudowaną w początkach lat 40. we Francji, oglądać można aż do lata w poznańskim Centrum Szyfrów Enigma. To jedyny publicznie dostępny eksponat tego rodzaju.

JAZZ NA KALATÓWKACH
W Galerii Poziom 4. Filharmonii im. Mieczysława Karłowicza w Szczecinie wystawiono zdjęcia fotografa Andrzeja Dąbrowskiego. Obejrzeć można m.in. pierwszy Jazz Camping w schronisku na Kalatówkach w 1959 r., a także festiwale Jazz Jamboree lat 60. i portrety światowej sławy jazzmanów.

RDC POLSKIE RADIO **KRZYSZTOF STORY** (tekst na s. 27) będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 2 lutego o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. **Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl**
| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

ADRIANA MANRIQUE GUTIERREZ / NASA

„WITAJ W DOMU, WEBB!” – napisał administrator NASA Bill Nelson: warta 10 mld dol. misja kosmicznego teleskopu (na ilustracji) rozpoczęła się śpiewająco. Teraz trzeba odpalić instrumenty i ustawić 18 pozłacanych luster z berylu z precyzją sięgającą średnicy cząsteczki koronawirusa. Do kalibracji posłuży gwiazda HD84406 w Wielkim Wozie, na którą teleskop skieruje się w najbliższych dniach. Prawdziwe badania zaczną się po 4 miesiącach testów. Stukrotnie czulszy od Hubble’a teleskop może pokazać pierwsze galaktyki powstałe po Wielkim Wybuchu albo zrobić portretowe zdjęcia planet dziesiątki lat świetlnych stąd. Dzięki precyzji, z jaką wystrzelono teleskop, paliwa w zbiornikach Webba wystarczy nie na 8, a na ponad 20 lat obserwacji. © WB

Wszystko może być komputerem

WYOBRAŹ SOBIE, że każdy przedmiot – patelnia, szklany przycisk do papieru – może stać się procesorem, wykonującym skomplikowane obliczenia typowe dla sztucznej inteligencji. Szaleństwo? Być może, jednak to właśnie od takich słów rozpoczyna się opis nowego doniesienia na portalu czasopisma „Science”.

Pomyślmy o metalowej płytce, która po potrąceniu wydaje pewien dźwięk. Gdy zmieniamy sposób jej pobudzania („wejście”), zmienia się też kształt emitowanej fali dźwiękowej („wyjście”) – płytka dokonuje więc w pewnym sensie przetwarzania sygnału. Jest więc tak jakby procesorem komputera. To ogólna cecha materii – „komputerem” jest też choćby kawałek szkła, który „przetwarza” w pewien sposób wiązkę światła laserowego.

Teraz Loganowi Wrightowi i współpracownikom udało się przetłumaczyć program komputerowy (np. rozpoznający napisaną ręcznie literę albo wypowiedzianą na głos samogłoskę) na taki sposób pobudzania metalowej płytki albo oświetlania kryształu, że te w odpowiedzi drgają (lub świecą) na sposób będący „odpowiedzią” na zadany problem. Zastosowania? Pomyślmy choćby o mikrofonie w smartfonie, który sam „rozpoznaje”, bez kontaktowania się z procesorem, czy wypowiedziano określone słowo aktywujące. Komu tego mało, niech rozważy jedną z nazw dla tego kierunku badań: „myśląca materia”. ©℗ ŁUKASZ LAMŻA

Gazowe kulki

BAŃKI MYDLANE są przysłowiowo efemeryczne. Wystarczy najlżejsze dotknięcie lub kilka sekund (maksymalnie – minut) parowania i działania grawitacji, by prysły. Ostatnio jednak francuskim naukowcom udało się stworzyć bańki kilkumilimetrowej średnicy, które można trzymać w ręku i toczyć po stole, a pozostawione same sobie pryskają dopiero po kilkunastu... miesiącach. Rekordzistka wytrzymała 465 dni.

Oczywiście takie „pancerne bańki” nie są zrobione z wody i mydła, a z mieszaniny wody i glicerolu zawierającej mikroplastik. Jak tłumaczą w „Physical Review Fluids” Aymeric Roux i współpracownicy, glicerol przeciwdziała odparowywaniu wody, a gęsto upakowane mikrocząstki plastiku nadają całej strukturze sztywność. Uczeni mają nadzieję, że te tzw. *gas marbles* (co można przetłumaczyć jako „gazowe kulki”) znajdą zastosowanie m.in. w sekwestracji – czyli wychwytywaniu – niebezpiecznych gazów.

© TOMASZ MILLER

TEMAT TYGODNIKA

CZY PUTIN MA DUSZĘ

Po 22 latach rządów prezydent Rosji jest owładnięty myślą o tym, jakie miejsce zajmie w historii. Jego działania napędza też poszukiwanie sposobu na utrzymanie władzy. Najdłużej, jak się da. Najlepiej – wiecznie.

ANNA ŁABUSZEWSKA

Prezydent USA George W. Bush podczas spotkania w Lublanie w 2001 r. zajrzał w oczy nowego prezydenta Rosji Władimira Putina i „zobaczył w nich duszę". Opinia amerykańskiego przywódcy miała wzmocnić nadzieje na nowe otwarcie w stosunkach Rosji i Zachodu. Ale senator John McCain, krytyk agresywnej polityki Moskwy, skontrował Busha: „Zajrzałem w oczy Putina i zobaczyłem tam trzy litery: KGB". Ta zgrabna parafraza miała być ostrzeżeniem przed zimnym człowiekiem ukształtowanym przez zbrodniczą instytucję. Gdyby teraz ktokolwiek miał szansę zajrzeć w oczy rosyjskiego dyktatora, zobaczyłby w nich pięć liter: PUTIN.

Szkice do portretu

Jego droga do władzy była krótka – po okresie próbnym, podczas którego sprawdzano jego lojalność, pod koniec 1999 r. został wybrany spośród legionu urzędników przez familię prezydenta Borysa Jelcyna. Familii chodziło o znalezienie takiego kandydata, który dałby ustępującemu prezydentowi gwarancje bezpieczeństwa. Jemu, członkom jego rodziny oraz ich majętnościom. Putin sprostał tym wymaganiom i dochowuje warunków umowy do dziś. Nie walczył o najwyższy urząd w państwie, dostał go na tacy. Nie był wtedy politykiem – był funkcjonariuszem państwowym. ↦

ALEXEI DRUZHININ / SPUTNIK / EAST NEWS

Inauguracja kolejnej kadencji prezydenckiej, Kreml, Moskwa, maj 2012 r.

↦ Apetyt na władzę i zamiłowanie do skomplikowanych gier politycznych przyszły z biegiem lat.

Na początku pilnie słuchał doradców tworzących jego wizerunek (m.in. politologa Gleba Pawłowskiego). Został wówczas upozowany na nowoczesnego demokratę, otwartego na świat, ale jednocześnie stanowczego i nastawionego na uporządkowanie zabagnionych spraw Rosji.

Wkrótce otoczył się ludźmi, których znał z miejsc poprzedniej „dyslokacji": z leningradzkiego/petersburskiego KGB i merostwa, gdzie spędził lata transformacji pod skrzydłami włodarza miasta Anatolija Sobczaka. Tam nauczył się robienia interesów na dużą skalę. Ci, którzy twierdzili, że były to pokątne interesy w stylu gangsterskim, zostali uciszeni. Sformowany podczas pierwszych dwóch kadencji (2000-2008) krąg bliskich współpracowników, z niewielkimi modyfikacjami, do dziś stanowi trzon konstrukcji władzy, na której wspiera się Putin. Znajomi ze studiów (wydział prawa Uniwersytetu Petersburskiego), służby w KGB i treningów sztuk walki zostali obsadzeni na czele kluczowych instytucji i korporacji państwowych. Hermetyczna „grupa trzymająca władzę" zawiaduje biznesem, mediami, finansami. Bogaci się pod „kryszą" (opieką) prezydenta i „kryszuje" (zapewnia dyskrecję i ochronę) jego biznesy oraz rentę korupcyjną. Nad interesami grupy czuwa aparat państwowy z rozwiniętym komponentem resortów siłowych. Oto strefa komfortu Putina.

Przypomniany tu w skrócie rys pierwszych lat rządów prezydenta Rosji został skrupulatnie opisany w dziesiątkach książek. Powstało też wiele ciekawych analiz poświęconych portretowi psychologicznemu Władimira Putina. Amerykański badacz psychiki dyktatorów i przestępców James Fallon mówił w 2018 r. o Putinie: „On zachowuje się jak socjopata, ale *de facto* nie wiemy, co tak naprawdę myśli. Nie znamy żadnej profesjonalnej analizy psychiki Putina (gdyż takowa mogłaby powstać jedynie na podstawie rzetelnych badań specjalistów przy udziale samego zainteresowanego). (...) Socjopatów łączy to, że w dzieciństwie przeżyli głęboką traumę. Być może ktoś się nad nimi znęcał, bił, poniżał. Taki człowiek nienawidzi całego świata, pragnie zemsty. Nie mogę stwierdzić z całą pewnością, że Putin jest socjopatą. Niemniej widać, że ma poczucie misji – choć nie współczuje ze swoimi ludźmi, to uważa, iż wie, czego naród oczekuje. On nie wygląda na człowieka, który w ogóle odczuwa współczucie. Kombinacja tych cech wskazuje na socjopatię".

> Ukształtowały go leningradzkie podwórko, klub sportowy, gdzie trenował sambo i dżudo, i KGB. Putin to kult siły, wzgarda dla słabości, podejrzliwość, maskowanie prawdziwych zamiarów i podstęp.

Dlaczego Putin odpowiada Rosjanom? „Proponuje to, czego potrzebują – twierdzi Fallon. – Ludzie, którzy na przestrzeni setek lat żyli w warunkach zniewolenia i przemocy, nie potrafią żyć bez silnej ręki, bez dyktatora. Wyniki wyborów są sfałszowane, ale przecież ludzie popierają jego politykę. Gdybym mógł porozmawiać z Putinem, zapytałbym go, co takiego przydarzyło mu się w dzieciństwie i czy uważa on tamto swoje upokorzenie za podobne do tego, które przydarzyło się Związkowi Sowieckiemu w 1991 r. Chciałbym mu też zadać następujące pytanie: czy jeśli ktoś zagraża mojemu krajowi, to mam prawo go zabić?".

Bilans ćwierćwiecza

Postawione przez psychologa pytania mają fundamentalne znaczenie dla oceny sytuacji, w której znalazł się Putin, rozpętawszy z Zachodem wojnę nerwów o Ukrainę. Rosyjski prezydent wielokrotnie powtarzał, że uważa rozpad ZSRR za największą katastrofę geopolityczną XX wieku. Męczące Putina bóle fantomowe po utracie części obszaru postsowieckiego nie ustają, przeciwnie – ostatnio się nasiliły. Rosyjski przywódca postawił sobie za cel odzyskanie pełni kontroli nad tym obszarem i zdobycie na to akceptacji Zachodu. Kluczowa w tym kontekście pozostaje kwestia Ukrainy. Ta część analizy amerykańskiego psychologa, w której zastanawia się on nad porównaniem doznanych upokorzeń – osobistych i tych związanych z rozpadem ZSRR – wiele tłumaczy, jeśli chodzi o powody podjęcia obecnej ofensywy.

Ale może ważniejsza jest inna perspektywa – spojrzenie nie w przeszłość, lecz w przyszłość. Po 22 latach sprawowania władzy Władimir Władimirowicz owładnięty jest myślą o tym, jakie miejsce zajmie w historii. Patrzy na bilans swoich rządów. Buńczucznie zapowiadanej odbudowie pozycji Rosji w świecie stale coś staje na przeszkodzie. Perła w koronie rosyjskich carów – Ukraina, zmierza od lat w stronę Zachodu. Zdobyczą terytorialną Putina jest odbity jej Krym, niemniej z perspektywy czasu widać, że agresja w 2014 r. sprawiła, iż Rosja trwale utraciła wpływy na Ukrainie, a może nawet Ukrainę w ogóle. Ukraińcy, których Putin uważa za jeden naród z Rosjanami, w większości nie chcą słyszeć o aliansach z Moskwą.

Białoruś trzyma się rosyjskiego dyktatora dlatego, że dzięki jego „bratniej pomocy" zduszono tam obywatelski protest przeciwko Alaksandrowi Łukaszence po sfałszowanych przez tego ostatniego wyborach w sierpniu 2020 r. Azja Centralna też się trzyma, ostatnio Rosja wzmocniła tam nawet swoje pozycje, reagując na kryzys w Kazachstanie sprawnym wysłaniem wojska. Ale i tam w każdej chwili może dojść do zawirowania, które wywróci dotychczasowe sojusze. NATO zbliżyło się do granic Rosji, a przy tym do Sojuszu uparcie aspirują państwa, które Putin widzi w swojej wyłącznej orbicie.

W dodatku ukształtowany przez dyktatora reżim nie jest w stanie konkurować ani z Zachodem, ani z Chinami (ustawiający się w kontrze do Zachodu Putin pielęgnuje dobre stosunki z Pekinem). Czy takie ujemne saldo długich rządów może się znaleźć w podręcznikach historii? Nie tego pragnie Władimir Władimirowicz. Marzy mu się rola tego, który po „rozbiciu dzielnicowym" z powodzeniem scala imperium na nowo.

Być może więc Putin doszedł do wniosku, że najwyższy czas odwrócić tendencje odśrodkowe i poprawić historyczny bilans swojej prezydentury. Rok temu Kreml zakończył pomyślnie operację, dzięki której kupił sobie dodatkowy czas na realizację tych planów. Znowelizowano konstytucję, wprowadzając niezgodne z nią wcześniej „wyzerowanie" dotychczasowych kadencji prezydenckich. Zgodnie z tą manipulacją po zakończeniu obecnej kadencji w 2024 r.

Putin może wystartować w wyborach (o ile to fasadowe przedsięwzięcie można tak określić) i sprawować urząd przez kolejne dwie kadencje – do 2036 r. W rosyjskiej publicystyce, rozważającej dalsze scenariusze dla kraju, wspominano m.in. o takim: zmęczony władzą, starzejący się Putin oddaje urząd lojalnemu pomazańcowi, który gwarantuje jemu i jego rodzinie bezpieczeństwo. Czyli miałoby to być powielenie scenariusza z przełomu 1999-2000 r., gdy Jelcyn w zamian za gwarancje bezpieczeństwa namaścił Putina.

Dwa lata temu podobny eksperyment przeprowadził pierwszy prezydent Kazachstanu, Nursułtan Nazarbajew. Sam złożył urząd, wyznaczył sprawdzonego, zaufanego następcę – Kasyma-Żomarta Tokajewa. Sobie zostawił stanowisko przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa Kazachstanu, pozwalające na sprawowanie kontroli nad sceną polityczną i resortami mundurowymi. Konstrukcja, która miała trwać lata, posypała się jednak jak domek z kart w ciągu zaledwie kilku godzin w pierwszych dniach stycznia tego roku. Na fali protestów ludności przeciwko podwyżkom cen paliw Tokajew pozbył się Nazarbajewa i spadku po nim.

To doświadczenie na pewno było dogłębnie analizowane na Kremlu. Scenariusz kontrolowanego przekazania władzy w ręce nawet najbardziej oddanego następcy musiał spaść w rankingu na ostatnie miejsce.

Uparty i skryty

Co powoduje Putinem? Jakie są mechanizmy podejmowania przez niego decyzji, tworzenia więzi międzyludzkich, otrzymywania satysfakcji, rozładowywania stresu? Większość badaczy skłania się do konstatacji, że dominują w nim cechy wyrobione w dzieciństwie na leningradzkim podwórku, wzmocnione w klubie sportowym, gdzie trenował sambo i dżudo, a ugruntowane podczas szkoleń w KGB. Kult siły i wzgarda dla słabości, podejrzliwość, maskowanie prawdziwych zamiarów, zamiłowanie do wyprowadzania przeciwników w pole podstępem.

Wspomnienia z podwórka, gdzie Putin – jak sam mówi – łobuzował i zbierał cięgi od starszych i silniejszych, prowadzą nas znów do spostrzeżeń amerykańskiego psychologa o głębokiej traumie i chęci odwetu. Gdy prezydent pozwala sobie na emocje podczas publicznych wypowiedzi, zdarza mu się sięgnąć po podwórkowe mądrości, podniesione do rangi filozofii życiowej, np. „jeśli zanosi się na bójkę, uderz pierwszy". Czy kieruje się nimi również w układaniu politycznych roszad? Będzie się można o tym przekonać przy kolejnych etapach kryzysu wokół Ukrainy. Dotychczasowe posunięcia Putina świadczą raczej o chłodnej kalkulacji przy podejmowaniu decyzji.

Prezydent Rosji jest – a w każdym razie był do tej pory – ostrożny we wchodzeniu w gry, które niosą duże ryzyko. Choć czasami emocje go ponoszą, a kalkulacje zawodzą, jak w rozegraniu „operacji Krym" w 2014 r.: Kreml najwidoczniej nie spodziewał się, że jej koszty będą tak długotrwałe i wysokie, zachodnie sankcje rozciągną się na lata, a Ukraina odwróci się do agresora plecami i nie będzie już chciała jego miłości.

Aneksja Krymu była spóźnioną reakcją na kijowski Majdan i utratę przez Rosję wpływu na wyłonione w toku tamtych wydarzeń nowe władze Ukrainy. Ale w czasie, gdy w Kijowie kipiało, Putin szykował się do zimowych igrzysk olimpijskich w Soczi, nie chciał sobie psuć przyjemności spijania śmietanki w towarzystwie światowych liderów. Zawód w związku z igrzyskami był dlań potężny – zachodni przywódcy z powodu ogłoszonego bojkotu nie zasiedli na trybunie honorowej, a jeszcze na dodatek po pewnym czasie okazało się, że triumfy rosyjskich sportowców na zawodach olimpijskich były efektem niedozwolonego wsparcia.

Afera dopingowa, ujawniona przez jednego z jej wykonawców, Grigorija Rodczenkowa (nadzorował realizację zaakceptowanego przez górę niejawnego programu fałszowania na masową skalę wyników testów antydopingowych rosyjskiej kadry), jest dobrą ilustracją sposobu działania prezydenta Putina. Przeprowadzenie skrycie planu, który wychodzi daleko poza ramy prawne, a następnie – jeżeli plan wychodzi na jaw – wyparcie się go. Przy operacjach potężniejszego kalibru – jak aneksja Krymu, napaść na Donbas czy trucie przeciwników politycznych nowiczokiem – wchodzi w grę dodatkowy kamuflaż, ukrywanie faktów za zasłoną propagandy, nazywanie rusofobami tych, którzy sprawy wyciągają na światło dzienne.

Posługuję się w tekście słowem „operacja" nie bez powodu – Putin zapoznał się z technikami operacyjnymi ↦

Jak nie oddać władzy

ITAR-TASS / AFP / EAST NEWS

1999 Rozpoczyna się druga wojna czeczeńska. Za kilka miesięcy były funkcjonariusz KGB Władimir Putin zostanie prezydentem Rosji. Zapowiada, że terrorystów „utopi w kiblu". Uczyni z Kaukazu Północnego pole krwawego konfliktu, którego odpryskami będą atak terrorystyczny na moskiewską Dubrowkę (2002 r.) i na szkołę w Biesłanie (2004 r.).

2000 Na Morzu Barentsa, w wyniku eksplozji torped, tonie okręt atomowy „Kursk". Na pokładzie znajduje się 118 osób. Część przeżyła eksplozję (wiemy o tym m.in. z zapisków kapitana Kalesnikowa). Do Murmańska, gdzie dopłynąć miał „Kursk", przybywa Putin. Przez lornetkę spogląda na morze. Odmawia przyjęcia pomocy ratunkowej z zagranicy. Na pokładzie wszyscy giną.

MISHA JAPARIDZE / AP / EAST NEWS

2005 Michaił Chodorkowski, były szef koncernu naftowego Jukos, zostaje skazany na 9 lat kolonii karnej. Oligarcha był krytykiem prezydenta. Powodem jego kłopotów są „nieprawidłowości" podczas prywatyzacji koncernu; z pewnością miały miejsce, wyrok jest jednak bardzo wysoki. Putin pokazuje, że nie godzi się na istnienie w Rosji niezależnego kapitału i mediów.

2005 Putin przemawia przed połączonymi izbami parlamentu. „Rozpad ZSRR był nie tylko największą katastrofą geopolityczną XX w., ale także prawdziwym dramatem dla Rosjan"– stwierdza.

↦ w szkole KGB i ich stosowanie w polityce najwyraźniej bardzo mu odpowiada. Poruszać się skokami po bramach, strzelać zza węgła, działać z ukrycia, jak w przypadku wojen informacyjnych, akcji hakerskich czy korumpowania zachodnich elit.

Dalecy bliscy

Zapewne też ze szkoły KGB Putin wyniósł niechęć do opowiadania publicznie o swoim życiu prywatnym. Prywatność należy szanować – powtarza, indagowany czasem przez dziennikarzy o sprawy rodzinne. Człowiek, który nie stroni (w każdym razie do niedawna nie stronił) od pokazywania się z nagim torsem na konnej przejażdżce czy podczas zanurzania się w przeręblu w święto Chrztu Pańskiego, starannie ukrywa wszelkie wzmianki o tym, jak żyje i kim są bliscy mu ludzie.

Prezydent lubi pokazywać, że jest osobą wierzącą. Wielokrotnie deklarował, że wartości rodzinne – jak i wszelkie wartości tradycyjne – są dla niego ważne. Nie przeszkodziło mu to w 2013 r. rozwieść się z żoną Ludmiłą po 30 latach małżeństwa. Jeśli mówi publicznie o swojej rodzinie, to o byłej żonie nie wspomina, a córki, Marię i Katerinę, określa mianem „kobieta numer jeden", „kobieta numer dwa". Jakiś czas temu poinformował, że urodził mu się wnuk. I tyle.

Powściągliwość w prezentowaniu na zewnątrz spraw rodzinnych nie powstrzymuje dociekliwych dziennikarzy, którzy co rusz wyciągają jakieś ciekawostki. W 2008 r. gazeta „Moskowskij Korriespondient" napisała o ślubie Putina z mistrzynią w gimnastyce artystycznej, Aliną Kabajewą. Wiadomość została przez Kreml natychmiast zdementowana (Putin był wtedy formalnie mężem Ludmiły), a gazeta wkrótce przestała się ukazywać. Kabajewa zajmuje do dziś wysoką pozycję w elicie: przez pewien czas była deputowaną, potem zajęła fotel prezeski zarządu wielkiego holdingu medialnego Nacyonalnaja Media Gruppa, świetnie zarabia; niedawno pod jej auspicjami odbył się wielki turniej w gimnastyce, a telewizja poświęciła mu wiele uwagi. Ulubiona dyscyplina sportowa Aliny cieszy się zainteresowaniem państwa i zamożnych sponsorów.

Pod koniec 2020 r. na portalu Proekt Media ukazał się materiał o jeszcze jednej domniemanej rodzinie Putina: dziennikarze śledczy na podstawie dostępnych materiałów doszli do wniosku, że niejaka Swietłana Kriwonogich z Petersburga była bliską przyjaciółką prezydenta. Ich zażyłość była na tyle duża, że Swietłana w 2003 r. urodziła córkę Jelizawietę, która nosi otczestwo Władimirowna. W materiale padło przypuszczenie graniczące z pewnością, że Jelizawieta jest córką Putina i Swietłany (choć w dokumentach Jelizawiety brak danych o ojcu). Dziewczyna przez pewien czas pokazywała się w mediach społecznościowych, korzystając z chwilowego rozgłosu. Szybko jednak sprawa domniemanej „trzeciej córki" została wyciszona. Putin nigdy nie potwierdził bliskich związków ani z Kabajewą, ani Kriwonogich. Jego rzecznik prasowy zwykł mawiać, że prezydent jest zaślubiony Rosji.

Próbą przyjrzenia się prywatności Putina było zrealizowanie przez opozycjonistę Aleksieja Nawalnego i jego współpracowników filmu o pałacu w Gelendżyku. Nawalny chciał przede wszystkim pokazać schematy korupcyjne łączące prezydenta i jego biznesowych wspólników, ale przy okazji zademonstrował Rosji i światu (film miał kilkumilionową widownię) bezmiar bezguścia i manię wielkości właściciela rezydencji. Trudno się oprzeć wrażeniu, że ten wyposażony w drogie włoskie meble, obity kosztownymi tkaninami i pozłocony pałac to wymarzona rekompensata za lata biedy i wyrzeczeń.

Nawalny już wcześniej był postrzegany przez Putina jako zagrożenie jego politycznego bytu. Po ujawnieniu danych o rezydencji i wyśmianiu wielkopańskich apetytów prezydenta stał się jego osobistym wrogiem.

Najlepszą obroną jest atak

Wróćmy do bieżącej sytuacji. W połowie grudnia Putin zaczął potrząsać bronią nad głowami ukraińskich i zachodnich polityków. Postawił ultimatum, domagając się pisemnych gwarancji nierozszerzania NATO na wschód, wycofania infrastruktury Sojuszu z terytorium nowych państw członkowskich i tworzenia na nowo konstrukcji bezpieczeństwa europejskiego z uwzględnieniem decydującej roli Rosji, zgodnej z jej aspiracjami.

Rosyjski socjolog Grigorij Judin oryginalnie interpretuje wywołanie przez

2007 Podczas konferencji dot. bezpieczeństwa w Monachium Putin oskarża USA o „deptanie prawa międzynarodowego". Rozszerzenie NATO i budowę tarczy antyrakietowej w Europie określa jako „zagrożenie dla pokoju".

URIEL SINAI / GETTY IMAGES

2008 Rosja najpierw prowokuje Abchazję i Osetię Południową do wystąpienia przeciw Gruzji, a później udziela im zbrojnego wsparcia. „Wojna pięciodniowa" rozpoczyna nową erę w polityce międzynarodowej.

2013 Putin przemawia na spotkaniu Klubu Wałdajskiego. O Rosjanach i Ukraińcach mówi: „Mamy wspólną tradycję, wspólną mentalność, wspólną historię, wspólną kulturę. Mamy bardzo bliskie języki. W tym sensie, chcę to jeszcze raz powtórzyć, jesteśmy jednym narodem".

SERGEY PONOMAREV / NYT / EAST NEWS

2014 Moskwa anektuje Krym i rozpoczyna wojnę w Donbasie.

2021 Aresztowanie Aleksieja Nawalnego: Kreml czyści pole przed zaplanowanymi na 2024 r. wyborami prezydenckimi. To nie pierwsza próba pozbycia się lidera opozycji – w 2020 r. próbowano go otruć. Obecnie Nawalny przebywa w kolonii karnej.

2022 Trwa kryzys, wywołany ultimatum Putina z grudnia 2021 r., domagającego się uznania przez Zachód Ukrainy za strefę jego wpływów. ©MN

Putina ostrego kryzysu w stosunkach z Zachodem: „To nie atak, to obrona". Sytuacja się pogarsza, a zatem trzeba uciekać do przodu. Putin uznał, że warto podjąć ryzyko (choć tego nie lubi). Judin twierdzi, że wziął pod uwagę trzy elementy:

1. Zmniejszanie się zasobów poparcia dla jego prezydentury wśród ludności, zmęczenie społeczeństwa, któremu trzeba „rzucić coś na żer".

2. Sytuacja międzynarodowa, izolacja Rosji – to trzeba przerwać, obudzić Zachód i zmusić do współpracy. I trzeba zawrócić Ukrainę z drogi na Zachód. Jak wynika z artykułu Putina „O historycznej jedności Rosjan i Ukraińców" z lipca 2021 r., rozważa on dwa warianty: albo na skutek gospodarczego uduszenia Ukrainy w Kijowie dochodzą do władzy prorosyjscy politycy, a Ukraina staje się protektoratem Rosji, albo problem będzie trzeba rozwiązać przy użyciu siły. Rosja powinna – wedle tej rachuby – kontrolować przynajmniej część terytorium Ukrainy.

3. Z wypowiedzi Putina wynika, że uważa on, iż obecnie Rosja ma pewną przewagę militarną, która w niedługim czasie może zostać zniwelowana. Dlatego działać trzeba teraz, gdy można użyć tego argumentu w targach z Zachodem. Takie stanowisko prezentuje część generalicji. „Jeśli zanosi się na bójkę, uderz pierwszy". Problem w tym, że taktyka otwartego uderzenia kłóci się z preferowaną przezeń metodą działania środkami hybrydowymi – z ukrycia, pod płaszczykiem, pod pozorem niesienia gałązki oliwnej w obszar objęty wojenną zawieruchą.

> W polityce stosuje techniki operacyjne tajnych służb. Umie strzelać zza węgła i działać z ukrycia, jak w przypadku wojen informacyjnych, akcji hakerskich czy korumpowania zachodnich elit.

Przypomina się w tym miejscu jeszcze jedno wspomnienie z dzieciństwa Putina: „Szedłem po schodach, zobaczyłem szczura, zagoniłem go do kąta, a szczur się odwrócił i popędził wprost na mnie, zaczął mnie gonić, chciał wskoczyć na głowę. Musimy zawsze to mieć na uwadze, że lepiej nikogo nie zapędzać w kozi róg". Nie mogę uwolnić się od wrażenia, że Putin swoją najnowszą awanturą sam siebie zapędził do narożnika. Zalicytował bardzo wysokie stawki, tylko czy będzie w stanie je utrzymać?

I jeszcze jedno ważne pytanie: czy w sytuacji, gdy zacznie przegrywać, nie zdecyduje się na desperacki krok? Cztery lata temu podczas spotkania Klubu Wałdoyskiego zapytany o gotowość użycia broni jądrowej odpowiedział: „Nasza koncepcja to odpowiedź na uderzenie agresora. Odwet jest nieunikniony, agresor musi wiedzieć, że zostanie unicestwiony. My jako ofiary agresji, jako męczennicy trafimy do raju, a oni po prostu zdechną, bo nawet nie zdążą odprawić pokuty".

Z ikonostasu

Od ośmiu lat, od zagarnięcia Krymu, Putin nie jest mile widziany na salonach Zachodu: kontakty z przywódcami najważniejszych państw należą do rzadkości i zwykle są wymuszane kryzysem wykreowanym przez niego samego. Od dwóch lat przeważnie siedzi sam w covidowym bunkrze. Rządowi i innym podległym instytucjom wydaje polecenia za pośrednictwem „ikonostasu", jak Rosjanie nazywają wielki monitor w prezydenckim gabinecie, na którym pojawiają się w okienkach gadające głowy ministrów czy gubernatorów. Żyje w coraz bardziej zamkniętym świecie. Przez jednych wbijany w dumę, przez innych straszony wizją kolorowej rewolucji, która zagrozi jego władzy. Boi się, że jego zegar już zgasł.

W 2007 r. „Time" uhonorował Putina tytułem człowieka roku, jego stylizowane zdjęcie znalazło się na okładce pisma. Na okładce ostatniego numeru prestiżowego amerykańskiego tygodnika umieszczono portret Aleksieja Nawalnego.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Pożyczka

Czyżby pożyczka „na wieczne nieoddanie”? Tak to właśnie wygląda na pierwszy rzut oka. Zapowiadając dziesiątą plagę, Najwyższy mówi Mojżeszowi: „Oznajmij to ludowi, ażeby każdy mężczyzna u sąsiada swego i każda kobieta u sąsiadki swej wypożyczyli przedmioty srebrne i złote” (Wj 11, 2; Biblia Tysiąclecia). Talmud – roztrząsając niektóre aspekty wyjścia z Egiptu – zagaja odnośnie do tego wersu, pytając o użytą hebrajską partykułę proszącą. Nie zobaczymy jej odpowiednika w polskim tekście – nawet u Cylkowa, który jednak mruga do nas okiem, używając partykuły wzmacniającej („Pomówże w uszy ludu...”). Dlaczego więc Wszechmocny prosi Mojżesza, by porozmawiał z ludem i poprosił o podjęcie pewnych działań, miast – jak zazwyczaj – wydać dyspozycje? Proponowane wyjaśnienie dotyczy spełnienia obietnicy danej Praojcu Abrahamowi (zob. Rdz 15, 13-14): Izraelici byli zniewoleni i ciemiężeni, a wkrótce mają wyjść „z wielkim dobytkiem”. Ewentualną niechęć Izraela do spełnienia prośby wyjaśnia porównanie: to jak z więźniem, któremu powiedziano, że jutro odzyska wolność i dostanie dużo pieniędzy. On na to: błagam, wypuśćcie mnie dziś, a o nic nie będę prosił. Pragnienie dotarcia do kresu cierpień jest zbyt silne, by dobrowolnie ten moment odsuwać, nawet po to, by się wzbogacić. Można też pomyśleć, że Dzieciom Izraela niekoniecznie uśmiecha się noszenie ciężkich przedmiotów przez pustynię – jeszcze o tym nie wiedzą, ale z czego wówczas wykonaliby sprzęty do przenośnej świątyni? Poza tym mogą żywić obawy, że Egipcjanie wkrótce zatęsknią za szlachetnymi kruszcami i puszczą się w pogoń za nimi.

Prawo dotyczące zwracania wolności hebrajskiemu niewolnikowi rzuca nowe światło na pozbawienie Egipcjan cennych przedmiotów: „Gdy zaś puścisz go wolno od siebie, nie puszczaj go z niczém” (Pwt 15, 13; Cylkow), lecz godnie go wyekwipuj. Istnieje też pojęcie reparacji. Talmud pozwala się nieco ponieść fantazji, opowiadając o Egipcjanach, którzy skarżą się Aleksandrowi Macedońskiemu na Żydów i żądają oddania wziętego od nich onegdaj srebra i złota. Wygadany wysłannik rabinów, Gewiha syn Pesisy, odparowuje, by Egipcjanie zapłacili Żydom za pracę sześciuset tysięcy mężczyzn przez 430 lat (zob. Wj 12, 37 i 40), i to kładzie kres ich roszczeniom.

U Cylkowa nie ma „pożyczania” bądź „wypożyczania”, jak w Biblii Tysiąclecia – ten wątek powtarza się w Księdze Wyjścia trzykrotnie (w 3, 22, naszym wersie oraz 12, 35-36) – lecz „wyproszenie” bądź „uproszenie”. Targumy Onkelosa i Jonatana, czyli aramejskie przekłady, w tej kwestii nie są pomocne, gdyż używają tego samego czasownika, co oryginał. Tymczasem jego pierwszym znaczeniem jest właśnie „prosić”. To wiele zmienia i podważa zasadność oczekiwania zwrotu. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Ujrzałem Boga

Prorok Izajasz mówi: „Ujrzałem mojego Pana siedzącego na wysokim i wyniosłym tronie. Kraj Jego szaty wypełniał świątynię. Nad Nim unosiły się serafiny. (...) I wołał jeden do drugiego: »Święty, święty, święty Pan, Bóg Zastępów! Cała ziemia jest pełna Jego chwały!«”. Święty, zwłaszcza po trzykroć, w Biblii znaczy absolutnie „oddzielony”, „inny” od wszystkiego, cokolwiek jesteśmy w stanie zobaczyć i pomyśleć. Izajasz tę rzeczywistość, niemożliwą do przedstawienia, próbuje opisać, stąd mamy owych serafinów, istoty o cechach ludzkich, ponadludzkich i zwierzęcych. W zderzeniu z tak absolutną innością wszystko oczywiste jawi się jako nieoczywiste, ale nasączone treścią, którą z trudem, błądząc i grzesząc, odkrywamy. To odkrywanie w widzialnej rzeczywistości jej niewidzialnego wnętrza przerasta ludzkie możliwości, dlatego przeraża, ale też pociąga człowieka i jest powołaniem proroków. Dlatego na pytanie Boga: „Kogo mam posłać? Kto by nam poszedł?” do tego dzieła, Izajasz odpowiada: „Oto ja, poślij mnie!”.

Po wiekach, kiedy proroctwo Izajasza zaczęło się spełniać, podobna rzecz przydarzyła się prorokowi Nowego Przymierza, Szymonowi, późniejszemu Apostołowi Piotrowi. Po cudownym połowie ryb „Szymon Piotr rzucił się Jezusowi do kolan i powiedział: »Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem grzesznym człowiekiem«”. (...) A Jezus powiedział do Szymona: »Nie bój się, odtąd będziesz łowił ludzi«. Potem [Szymon, Jakub i Jan] wyciągnęli łodzie na ląd, zostawili wszystko i poszli za Nim”.

Zarówno Izajasz, jak i Szymon-Piotr, a po nich niezliczone szeregi innych, starali się iść tam, gdzie, jak wierzyli, Bóg pragnie ich posłać. W rezultacie wielu z nich za to zaufanie Bogu zapłaciło życiem. I tak jest po dziś dzień. Z tym że dzisiaj o obecności Boga i Jego działaniu nie upewniają nas serafiny, a nawet cuda, ale ciałem Boga jest człowiek.

Izajasz i Piotr w obecności Boga drżeli ze strachu, my też drżymy, ale nie z powodu Boga. „Tam, gdzie jest miłość, nie ma lęku, lecz doskonała miłość odrzuca lęk, ponieważ lęk wiąże się z karą. Kto natomiast się lęka, nie osiągnie doskonałej miłości”, mówi Jan Apostoł. My drżymy, patrząc w lustro. Wystarczy pamiętać, że owszem, widzimy siebie, ale na odwyrtkę. Prawe jest lewe, a lewe jest prawe. Ten lusterkowy przekręt pokazuje, że jednak jest w nas coś z serafinów i cherubinów, a to znaczy, że mamy do czynienia z Bogiem, który mówi: „Będziesz miłował Pana swego Boga całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem. To jest największe i pierwsze przykazanie. Drugie jest podobne do niego: Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego. Na tych dwóch przykazaniach opiera się całe Prawo i Prorocy”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Dawid i Goliat

Chciałbym jeszcze na chwilę wrócić do historii Dawida, w której – dzięki liturgii – uczestniczymy od jakiegoś czasu. Chodzi mi o opisaną w 17. rozdziale Pierwszej Księgi Samuela scenę walki Dawida z Goliatem.

Czytając ten tekst, zwracamy zwykle (automatycznie?) uwagę na kontrast między Dawidem a filistyńskim wojownikiem. Goliat to olbrzym – miał ponad sześć łokci (dobrze ponad 3 metry) wzrostu; jego osłonę stanowiły brązowe hełm i zbroja (ważąca blisko 20 kg), w ręku miał włócznię „jak wał tkacki", a jej grot ważył niemal 2 kg (600 sykli żelaza); resztę jego uzbrojenia stanowiły miecz, zakrzywiony nóż i tarcza. Dawid wyrusza do walki ze swoim przeciwnikiem z kijem w ręku i procą; do torby pasterskiej wkłada pięć gładkich kamieni wydobytych ze strumienia. Idzie nieosłonięty – Saul próbował go ubrać we własną zbroję; Dawid jednak nie potrafił w niej się poruszać.

Widząc to, Saul mówi: „To niemożliwe, byś stawił czoło temu Filistynowi i walczył z nim. Ty jesteś jeszcze chłopcem, a on wojownikiem od młodości" (1 Krl 17, 33). Nic dziwnego, iż ten kontrast Dawida wobec Goliata stał się w kolejnych pokoleniach i do dziś jest przysłowiowy.

Myślę jednak, że to nie ten kontrast jest najważniejszy w opisywanym epizodzie; nie on jest rozstrzygający. O wiele ważniejszy – dla następnych dziejów Izraela – jest kontrast między Dawidem a... Saulem. Saul – jak cała jego armia – jest „przelęknięty i przerażony". Ani przez chwilę nie myśli o tym, by mógł pójść walczyć z Goliatem – gotów jest jednak obficie zapłacić każdemu, kto się na to porwie („obsypie go bogactwem, a córkę swą odda mu za żonę, rodzinę zaś jego uczyni wolną od danin w Izraelu"). W zestawieniu z Saulem Dawid szokuje wręcz swoim męstwem – nie boi się Filistyna; niejednokrotnie, broniąc swoich owiec, stawał do walki z lwami i niedźwiedziami. Nie dlatego, że potrafi się bić. Mówi o tym wyraźnie Saulowi: „Pan wyrwał mnie z łap lwów i niedźwiedzi" i dlatego „wybawi mnie również z ręki tego Filistyna" (w. 37). To samo później powie Goliatowi: „Ty idziesz na mnie z mieczem, dzidą i zakrzywionym nożem, ja zaś idę na ciebie w imię Pana Zastępów, Boga wojsk izraelskich, którym dzisiaj urągałeś. Dziś właśnie odda cię Pan w moją rękę, pokonam cię i utnę ci głowę" (w. 45n). Dawid wie, Komu zawdzięcza zwycięstwo – dlatego zbroję i miecz Goliata złoży jako wotum „w przybytku" (w. 54).

To właśnie jest największy kontrast między Dawidem („chłopcem") a Saulem – królem Izraela, który ostatecznie już zapomniał, co znaczy zaufanie do Boga (którego przecież reprezentuje); wie, że On istnieje, ale już z Nim nie rozmawia. Właśnie dlatego to Dawid zostanie królem w jego miejsce. ©

Uczniowie powiedzieli: „Dwudziestu czterech proroków prorokowało w Izraelu i wszyscy mówili o Tobie". On im odpowiedział: „Porzuciliście Żyjącego, który jest przed wami, i mówicie o zmarłych".

EWANGELIA TOMASZA

Religia jest narzędziem. Tylko mądrość, a nie wiara bądź intelekt, może sprawić, by narzędzie przestało być bożkiem.

FARIDUDDIN ATTAR

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (6 – 13 II)

5. niedziela zwykła: Iz 6, 1-2a. 3-8; Ps 138; 1 Kor 15, 1-11; Łk 5, 1-11;
Poniedziałek: 1 Krl 8, 1-7. 9-13; Ps 132; Mk 6, 53-56;
Wtorek: 1 Krl 8, 22-23. 27-30; Ps 84; Mk 7, 1-13;
Środa: 1 Krl 10, 1-10; Ps 37; Mk 7, 14-23;
Czwartek: 1 Krl 11, 4-13; Ps 106; Mk 7, 24-30;
Piątek: 1 Krl 11, 29-32. 12, 19; Ps 81; Mk 7, 31-37;
Sobota: 1 Krl 12, 26-32. 13, 33-34; Ps 106; Mk 8, 1-10;
6. niedziela zwykła: Jr 17, 5-8; Ps 1; 1 Kor 15, 12. 16-20; Łk 6, 17. 20-26.

SYSTEM TRZESZCZY

W zderzeniu z piątą falą pandemii instytucje państwa polskiego i gospodarka otrą się wkrótce o granice wydolności. Pierwsza linia, jaką stanowi system opieki zdrowotnej,w zasadzie już została przerwana.

MACIEJ MÜLLER, MAREK RABIJ

JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Oglądając telewizyjne relacje sprzed szpitalnych oddziałów ratunkowych, gdzie ponownie ustawiają się kolejki karetek, można mieć dojmujące poczucie, że liderzy polskiego życia publicznego nie rozumieją, iż balansują na granicy katastrofy. Liczba osób skierowanych na kwarantannę przekroczyła właśnie milion. Jeśli dołożyć do tego 440 tys. osób trafiających średnio co tydzień na zwolnienie lekarskie z innych powodów, okaże się, że już dziś niezdatny do pracy jest co dziesiąty czynny zawodowo mieszkaniec Polski.

Tymczasem fala omikronowa dopiero narasta. Według prognoz zespołu MOCOS zajmującego się modelowaniem przebiegu pandemii COVID19, jej szczyt wypadnie w połowie lutego, a liczba wykrywanych zakażeń sięgnie wtedy przynajmniej 120 tys. dziennie. Fala ta uderzy w system ochrony zdrowia: chronicznie niedofinansowany, od lat niereformowany, mierzący się z poważnymi brakami kadrowymi. Lekarze, ratownicy i pielęgniarki od wielu tygodni skarżą się na narastające wypalenie oraz frustrację ze względu na brak realnego wsparcia ze strony władz.

Nie ma nic poza covidem

Minister zdrowia Adam Niedzielski zapowiedział: jesteśmy w stanie zapewnić chorym na covid nawet 60 tys. łóżek. Według Łukasza Jankowskiego, prezesa warszawskiej Okręgowej Izby Lekarskiej, oznacza to katastrofę dla wszystkich pozostałych pacjentów. – W szpitalach są wolne miejsca tylko na oddziałach covidowych – mówi. – Chorzy wymagający pomocy specjalistycznej, np. z zaburzeniami rytmu serca, tułają się za to od szpitala do szpitala. Nieraz sami dzwonią na oddziały, bo na SOR-ze zalecili im hospitalizację, ale nie mają miejsc.

Jankowski podkreśla, że lekarze z oddziałów ratunkowych obserwują obecnie szturm pacjentów z zaniedbanymi chorobami przewlekłymi. – To ci, którzy np. przez kilka miesięcy nie zgłaszali się po pomoc z obawy przed infekcją, i doszło u nich do poważnego zaostrzenia przebiegu. Chorzy hematologicznie czy onkologicznie trafiają na SOR-y już nawet w stanie zagrożenia życia. Wszyscy boimy się tego, co przyniesie fala omikronowa, ale to nie usprawiedliwia położenia nacisku wyłącznie na leczenie covidu – podkreśla Jankowski. – Przekształcanie kolejnych oddziałów w covidowe oznacza przesuwanie planowych zabiegów. W miarę narastania fali może się też okazać, że pomoc medyczna jest dostępna tylko w przypadkach zagrożenia życia.

Jankowski zwraca jednak uwagę, że optymistyczna wersja rozwoju sytuacji zakłada, iż populacja osób zaszczepionych oraz tych, które nabyły odporność po przechorowaniu, sprawi że przypadków hospitalizacji i zgonów podczas piątej fali może być nieco mniej niż w poprzedniej.

Znajduje to potwierdzenie w obserwacjach Ireneusza Szafrańca, ratownika medycznego, prezesa elekta Polskiego Towarzystwa Ratowników Medycznych. – Liczba wyjazdów covidowych na szczęście nie odzwierciedla wzrostów zakażeń – podkreśla. – Omikron wywołuje łagodniejsze objawy i mniejszy odsetek pacjentów wymaga interwencji medycznych. Wyjazdów jest teraz mniej więcej tyle samo, co przed falą

Mobilny punkt testowania na COVID-19 przy Muzeum Lotnictwa Polskiego. Kraków, 26 stycznia 2022 r.

omikronową. Spada jednak liczba wyjazdów związanych z innymi zachorowaniami, co oznacza, że system ochrony zdrowia przestawia się na leczenie właściwie wyłącznie covidu. To z pewnością odbije się na liczbie zgonów pacjentów cierpiących na inne schorzenia. To dość brutalna prawda, z którą ratownicy stykają się na co dzień.

Zatykanie się systemu widać w tym miejscu szczególnie. Jak twierdzi Szafraniec, nieustannie brakuje wolnych karetek, a poza tym ratownicy też chorują, co powoduje braki w obsadzie ambulansów. Przeładowane są również SOR-y, a ich pracownicy na skraju wyczerpania. Każdy chory z covidem wymaga przecież dodatkowego czasu poświęconego na dekontaminację pomieszczeń i inne procedury bezpieczeństwa. Szafraniec: – W województwie dolnośląskim, w okolicach Legnicy czy Lubina, karetki z pacjentami w stanie zagrożenia życia czekają nawet po kilka godzin. SOR-y to zresztą krytyczny fragment systemu ratownictwa. Zespoły powinny wiedzieć: przed tym szpitalem już jest kolejka, jedź gdzie indziej. Ale takich informacji brakuje, jest tylko zapis w ustawie nakazujący jechać do najbliższego oddziału.

Według Szafrańca Ministerstwo Zdrowia powinno wydać wyraźną dyspozycję, czy zespoły ratownictwa muszą reagować na każde wezwanie. – Szacuję, że ok. 90 proc. przypadków, do których jeździmy, powinien obsłużyć lekarz rodzinny – mówi. – Przecież ratownik ma ograniczony zakres uprawnień: nie wypisze recepty, nie wystawi skierowania na badania. Ale dyspozytorzy pogotowia są pozbawieni ochrony prawnej, więc przyjmują wezwania z obawy przed konsekwencjami. Zdaję sobie sprawę, że ten klincz ma charakter systemowy, że gabinety POZ też są sparaliżowane skalą zakażeń, ale ich niewydolność dodatkowo obciąża system ratownictwa medycznego. ↦

Bez pierwszego kontaktu

Podstawowa opieka zdrowotna – która zgodnie z założeniami systemu ma zajmować się nawet 80 procentami przypadków wymagających konsultacji medycznej – nie dysponuje już rezerwami. W przychodniach lekarzy rodzinnych, gdzie na ogół pacjent może umówić się na wizytę z dnia na dzień, pojawiły się duże kolejki. – To zjawisko normalne w okresach zwiększonej zachorowalności, np. w sezonach infekcyjnych każdej wiosny i jesieni – mówi dr Jacek Krajewski, prezes Porozumienia Zielonogórskiego, organizacji skupiającej większość świadczeniodawców POZ w Polsce. – Jednak obecnie przyjmuje ono skalę nieporównywalnie większą, bo jest wywołane falą pandemiczną. Pacjenci muszą dziś czekać na przyjęcie nawet kilka dni.

Do przychodni dr. Krajewskiego trafia teraz po kilkunastu pacjentów covidowych dziennie. Po każdym trzeba odkazić pomieszczenie, co dodatkowo ogranicza możliwość przyjmowania innych. – A w czasie, który poświęca się na pacjenta z covidem, można przyjąć trzech-czterech innych – mówi dr Krajewski.

Przychodnie radzą sobie z tym problemem różnie: np. wyznaczając konkretne, na ogół popołudniowe godziny przyjęć dla chorych z infekcją. Sytuację utrudnia jednak wprowadzony ostatnio rozporządzeniem ministra obowiązek osobistego przebadania w ciągu 48 godzin każdego pacjenta mającego ponad 60 lat, który uzyskał dodatni wynik testu. – To typowa decyzja *ad hoc*, podjęta głównie dla efektu medialnego – podkreśla prezes Porozumienia Zielonogórskiego. – Taką wizytę musimy odbyć bez względu na objawy kliniczne pacjenta, czyli nawet w sytuacji, kiedy ma łagodne objawy i nie potrzebuje opieki medycznej. Organizacja wyjazdu zabierze lekarzowi mnóstwo czasu, który mógłby poświęcić innym pacjentom.

Lekarze z Porozumienia uważają, że rozporządzenie ministra Niedzielskiego stworzyło z chorych na covid grupę pacjentów uprzywilejowanych (nawet jeśli są niezaszczepieni). Innymi słowy: ostatni segment systemu, który jeszcze zajmował się innymi chorobami, jest siłą przestawiany na walkę wyłącznie z pandemią – i to za pomocą przepisów pisanych na kolanie. – Przed pandemią lekarze rodzinni podczas regularnych, planowych wizyt monitorowali stan pacjentów z cukrzycą, nadciśnieniem tętniczym i innymi chorobami przewlekłymi. Koronawirus to utrudnił, a w efekcie narasta tzw. dług zdrowotny – tłumaczy dr Krajewski. – Jeśli pacjent nie otrzyma porady w odpowiednim czasie, może dojść np. do rozregulowania cukrzycy i groźnych powikłań. Dług zdrowotny ma też znaczenie ekonomiczne, bo zaniedbane choroby serca czy układu oddechowego będą w przyszłości wymagały droższych leków i terapii.

W wielu sektorach infrastruktury krytycznej nie ma dziś żadnych ludzkich rezerw, a do obsadzenia jest ponad 150 tys. etatów.
Piąta fala pandemii tylko pogłębi te problemy.

23 niezbędnych ludzi

Zmagania medyków z pandemią obserwują ekonomiści i specjaliści od bezpieczeństwa publicznego – z rosnącym niepokojem. Perspektywa tymczasowej, ale nagłej absencji milionów pracowników to coś, czego do niedawna nie uwzględniały żadne analizy. Przykład: w raporcie opublikowanym w kwietniu 2020 r. eksperci międzynarodowej firmy doradczej EY za kluczowe zagrożenie dla infrastruktury krytycznej (urzędy, łączność, transport żywności, ochrona zdrowia, zaopatrzenie w wodę i energię, dostęp do paliw), niezbędnej do funkcjonowania krajów rozwiniętych, uznali np. ataki hakerskie na sieci firmowe w wykonaniu... „młodych ludzi znużonych domową kwarantanną". Na ryzyko ziszczenia się takiego scenariusza zdaniem autorów najbardziej narażone były przedsiębiorstwa z branży medycznej, farmaceutycznej oraz spożywczej. Czyli sektorów gospodarki podejrzewanych przez – by użyć języka raportu – „haktywistów i ekoterrorystów" o spiskowanie przeciwko konsumentom. Z dzisiejszej perspektywy, gdy boimy się nagłego zachorowania np. całych zmian w piekarniach, opisane w raporcie zagrożenia wydają się śmieszne.

Przepisy wprowadzone w kwietniu 2020 r. w ramach tzw. drugiej tarczy antykryzysowej zawierały pakiet rozwiązań prawnych, który umożliwiał pracodawcom przygotowanie lub przeciwdziałanie ewentualnym brakom kadrowym, np. poprzez wydłużenie czasu pracy. Pierwsza fala pandemii obeszła się jednak z polską gospodarką dość łagodnie i w rezultacie specjalne rozwiązania w większości firm pozostały na papierze.

– Kiedy w marcu 2020 r. to wszystko się zaczynało, wpadliśmy na pomysł, żeby stworzyć listę osób kluczowych dla funkcjonowania naszego przedsiębiorstwa – tłumaczy prezes jednej z największych wytwórni papieru w Polsce. – W jednym z naszych zakładów spośród 450 pracowników wytypowaliśmy 23 osoby, które po prostu musiały być w pracy. Pojawił się pomysł, żeby stworzyć tym ludziom komfortowe warunki noclegowe na terenie firmy, w nowoczesnych kontenerach mieszkalnych. Oczywiście, zaopatrywalibyśmy ich w żywność i inne niezbędne rzeczy, a rodzinom zapewnilibyśmy wsparcie logistyczne na czas tego dyżuru. Pracownicy dostaliby też za to specjalne premie. Wróciliśmy do tego pomysłu kilka tygodni temu, kiedy stało się jasne, że idzie piąta fala, ale widzimy ogromny opór ze strony pracowników – kwituje prezes.

Niemcy, które w ciągu kilku najbliższych tygodni również spodziewają się wzrostu liczby wykrywanych przypadków do nawet 600 tys. dziennie, gorączkowo przygotowują kluczowe instytucje do uderzenia Omikrona. „W ramach naszych przygotowań do wszystkich możliwych scenariuszy kryzysowych rozważamy różne środki, w tym możliwość tymczasowego zakwaterowania pracowników bezpośrednio w miejscu pracy" – powiedział rzecznik firmy energetycznej Eon w wywiadzie dla „Rheinische Post".

W elektrowni Isar, która zaopatruje 3,5 mln gospodarstw domowych i wytwarza 12 proc. energii elektrycznej w Bawarii, kierownictwo tymczasowo zmniejszyło liczbę pracowników na każdej zmianie. Skreślone z grafików osoby zasilą zespoły rezerwowe, utrzymywane w stanie gotowości na wypadek, gdyby na którejś zmianie doszło do licznych zachorowań. „Zwiększyliśmy też zapas niezbędnych materiałów operacyjnych, aby móc przez dłuższy czas autonomicznie utrzymać działalność w zakładzie" – tłumaczy rzeczniczka spółki.

Z kolei przewodnicząca zarządu Niemieckiego Związku Przemysłu Energe-

tycznego i Gospodarki Wodnej (BDEW), Kerstin Andreae, powiedziała portalowi ntv.de, że związek będzie naciskać na szybkie uchwalenie przepisów, które pozwolą na uprzywilejowane traktowanie kluczowego personelu, np. w dostępie do opieki nad dziećmi w nagłych wypadkach. „To samo dotyczy preferencji w kampanii szczepień, gdy tylko dostępna będzie szczepionka dostosowana do Omikrona, lub preferencyjnego traktowania testów PCR – wyjaśnia Andreae. – Jeśli te środki okażą się niewystarczające, to ewentualne zwolnienie kluczowego personelu z kwarantanny miałoby sens jako ostatni krok".

– Tymczasem w Polsce – irytuje się właściciel dużego zakładu zajmującego się recyklingiem – nadal czekamy na ustawę, która pozwoliłaby sprawdzić, kto się zaszczepił, a kto nie. Z całym szacunkiem dla personelu biurowego, ale jeśli zachoruje mi jedna czwarta pracowników księgowości, to trudno, później wystawimy niektóre faktury. W naszym procesie produkcyjnym kluczowa jest za to para technologiczna. Obsługą wytwarzającej ją instalacji, w systemie dwuzmianowym, zajmują się łącznie 22 osoby i proszę mi wierzyć: niech mi jednocześnie zachorują trzy, a jesteśmy na skraju katastrofy. Nie przesunę tam np. elektryka z działu logistyki, bo nie będzie miał uprawnień wymaganych do pracy z takimi napięciami, z jakimi tam pracujemy.

Prezes zapewnia, że chciałby jedynie wiedzieć, którzy pracownicy, jako niezaszczepieni, stanowią większą grupę ryzyka. – Mając takie informacje, moglibyśmy trzymać z dala od nich osoby kluczowe dla funkcjonowania zakładu. Jeśli to się nazywa segregacja sanitarna, to trudno. Wolę to od paraliżu firmy.

Omikron w procentach

W połowie stycznia płk Konrad Korpowski, szef Rządowego Centrum Bezpieczeństwa, rozesłał pismo do spółek i podmiotów zarządzających infrastrukturą krytyczną państwa z apelem, „by przyjąć jako najgorszy możliwy wariant, w którym ze względu na zachorowania, izolację i kwarantannę czasowo nie będzie dostępnych 25-30 procent personelu". Dokument, do którego dotarł TVN24, zaadresowano m.in. do policji, Narodowego Banku Polskiego oraz strategicznych spółek Skarbu Państwa, jak Orlen, PGNiG czy PKP. Rządowe Centrum Bezpieczeństwa długo nie chciało go komentować, w końcu jednak potwierdziło jego autentyczność, zastrzegając przy tym, że wspomniane 25-30 proc. absencji zapożyczyło z dokumentów rozsyłanych przez bliźniacze instytucje w krajach UE.

Czy więc rzeczywiście grozi nam taki scenariusz? I czy musi oznaczać paraliż dla kluczowych instytucji? Zanim wyciągniemy wnioski, przeanalizujmy *stress test*, jaki polska gospodarka przechodzi co roku, podczas wakacji.

Z badania firmy Pollster wynika, że w 2021 r. urlop w lipcu i sierpniu planowało 78 proc. pracowników. W tym czasie w Polsce pracowało 16,59 mln osób, a to oznacza, że na czas wakacji z rynku pracy schodzi na jakiś czas 12,9 mln osób. Przy założeniu, że większość z nas bierze urlop na dwa tygodnie, można przyjąć, że średnia absencji podczas tych ośmiu wakacyjnych tygodni oscyluje na poziomie 1,61 mln osób – a gospodarka, jak wiemy, nie popada z tego powodu w drgawki. Dla pełnego obrazu trzeba jednak zaznaczyć, że w niemal każdej firmie sezon urlopowy poprzedzony jest dokładnym planowaniem, właśnie dla uniknięcia paraliżu spowodowanego absencjami. W przemyśle, produkcji spożywczej i wszędzie tam, gdzie kluczowe jest utrzymanie stałej produkcji, na czas wakacji planuje się przerwy serwisowe. Pułap 1,6 mln dodatkowych nieobecności mimo wszystko można jednak uznać za bezpieczny dla polskiej gospodarki.

W 2020 r. – to najnowsze dostępne statystyki roczne Zakładu Ubezpieczeń Społecznych – lekarze wystawili w Polsce 22,7 mln zwolnień, łącznie na 266,6 mln dni. Przeciętny chory przebywał zatem na L4 niemal 12 dni. W porównaniu z rokiem 2019 liczba zwolnień wzrosła symbolicznie, bo o 0,3 proc. Wyraźnie, bo o 4,4 proc., wydłużył się za to czas absencji. W całym 2020 r. pozytywny wynik testu na covid miało jednak w Polsce tylko 1,3 mln osób. Zmarło 28,9 tys. osób, a koronawirus nie był nawet w czołówce schorzeń wymagających zwolnień lekarskich.

Dziś sytuacja wygląda nieporównywalnie gorzej. Już pod koniec ubiegłego roku liczba zwolnień lekarskich rosła z miesiąca na miesiąc w tempie ponad 40 proc. Modele matematyczne MOCOS wskazują, że w szczycie piątej fali liczba osób w kwarantannie – nawet po jej niedawnym skróceniu do siedmiu dni – przekroczy 2 miliony. Pewien odsetek stanowić będą oczywiście niepracujący oraz dzieci, ale w tym ostatnim przypadku i tak będzie to oznaczać przymusowe zwolnienie dla rodziców. Wraz z innymi chorymi mielibyśmy zatem tymczasowo poza rynkiem pracy około 15-16 proc. aktywnych zawodowo mieszkańców Polski.

Sytuacja może być o tyle trudniejsza, że w wielu sektorach polskiej infrastruktury krytycznej nie ma dziś *de facto* żadnych ludzkich rezerw. Z danych GUS wynika, że na koniec trzeciego kwartału 2021 r. na obsadzenie w całym kraju czekało aż 153,5 tys. etatów, z czego aż połowa przypadała na budownictwo, przemysł i handel. Piąta fala pandemii tylko pogłębi tu problemy kadrowe. Wielkie sieci handlowe już zapowiedziały, że poradzą sobie z absencjami dzięki ponad 400 mln zł, które w ubiegłym roku branża zainwestowała w kasy samoobsługowe. Potencjalnie bezpieczna wydaje się też bankowość. Wprawdzie – jak wynika ze wstępnych szacunków Komisji Nadzoru Finansowego – liczba etatów w tej branży zmalała w zeszłym roku o ok. 8,3 tys., ale banki tną zatrudnienie przede wszystkim w obsłudze klienta, przenosząc ją do internetu, co czyni je stosunkowo odpornymi na epidemiczne zawirowania. Presja na cięcie kosztów (branża ma za sobą kilka lat z rekordowo niskimi stopami procentowymi, które ograniczały możliwość zarabiania na kredytach) uderzyła rykoszetem także w działy IT. Na grupach dyskusyjnych dla programistów można dziś np. wyczytać relacje bankowych informatyków z Krakowa, którzy zdradzają potencjalnym kolegom z pracy, że do ich obowiązków będzie należeć także piecza nad systemami informatycznymi oddziałów w Nowym Sączu. To nowość dla tego środowiska.

Jak podkreśla prof. Joanna Tyrowicz, ekonomistka z Uniwersytetu Warszawskiego, wszystkie szacunki wpływu piątej fali na polski rynek pracy są jednak obarczone dużym marginesem błędu. W modelach matematycznych, podkreśla badaczka, trudno uwzględnić zmienną, jaką nadal jest obawa przed utratą pracy. W mniejszych miejscowościach pracownicy, zwłaszcza ci gorzej wykwalifikowani, mogą nadal czuć presję na kontynuowanie pracy podczas choroby. To zaś oznacza zaniżone statystyki covidowe i większe zagrożenie dla ludzi – jeszcze – zdrowych.

©℗ MACIEJ MÜLLER, MAREK RABIJ

Edward Rozrzutny

JAKUB SZUMSKI

W filmie o I sekretarzu PZPR nie znajdziemy ani prawdy czasu, ani prawdy ekranu. Ważne jest tylko to, że tytułowego bohatera można użyć we współczesnych wojnach kulturowych.

Dwudziestego grudnia 1970 r., po brutalnie stłumionym robotniczym powstaniu na Wybrzeżu, Edward Gierek objął władzę w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Był to wyjątkowy moment. W relacjach Wschód-Zachód następowało odprężenie, w bloku wschodnim zdecydowano się na zwiększone inwestycje w przemysł lekki i artykuły konsumpcyjne, w Polsce w dorosłość wkraczało pokolenie powojennego baby boomu. Jego przedstawiciele mieli nadzieję na dobre i spokojne życie. Skończyło się to wszystko katastrofą gospodarczą i rewoltą Solidarności, która zachwiała całym systemem. Ale niezależnie od niej epokę Gierka, od jej początków do dnia dzisiejszego, ocenia się bardzo różnie – zazwyczaj przez pryzmat bieżących problemów.

Edward Gierek Superstar

To, co przeżywamy dzisiaj, nazwać można postmodernistyczną fazą pamięci o Gierku i jego czasach. W sporze o III RP i dziedzictwo PRL, jaki toczy się pomiędzy lewicą i liberałami, a któremu prawica tylko sekunduje – Gierek reprezentować ma alternatywę dla terapii szokowej, bezrobocia i nierówności. Pół żartem, pół serio były I sekretarz stał się ikoną antykapitalistycznej i obrazoburczej internetowej lewicy. W tworzonych na potrzeby mediów społecznościowych memach Gierek pomstuje na PO, neoliberałów, deweloperów i komentuje współczesne wydarzenia.

Doskonałą ilustracją tego trendu jest obecny od dwóch tygodni na ekranach kin biograficzny film „Gierek" Michała Węgrzyna. Kontekst lat 70. praktycznie tu nie występuje: został sprowadzony do kilku haseł, rekwizytów i próbującej udawać epokę scenografii. W scenariuszu mocniej przebija się współczesna fascynacja spiskami, rolą tajnych służb i wszechmocnych rynków finansowych. Bohaterowie filmu są (czasem świadomie, czasem nie) parodiami historycznych postaci, które mają przedstawiać. Filmowy Generał (Wojciech Jaruzelski) to komiksowy szwarccharakter, który pośród napadów furii i obłąkańczego śmiechu (!) snuje plany przejęcia kontroli nad światem. Towarzysz Maślak (wzorowany na Stanisławie Kani) zagrany jest na modłę komika w formule stand-up, gestykulującego w przerysowany sposób i w każdym zdaniu rzucającego grepsami. Aktorzy komunikują się przy pomocy nieudanego mariażu języka z epoki (czasem cytatów z przemówień) i wyrażeń zupełnie nam współczesnych.

Oczywiście od filmu fabularnego nie można wymagać wierności faktom czy ich drobiazgowego odtworzenia. Coś musi zostać pominięte, pewne wątki uwypuklone. Problem w tym, że autorzy „Gierka" deklarują chęć przywrócenia zafałszowanej do tej pory „prawdziwej historii" tamtej epoki i zarazem pragną przyznania historycznych zasług I sekretarzowi – jednocześnie tworząc wokół niego kolejne mity.

JAROSŁAW SOSIŃSKI / GLOBAL STUDIO / MATERIAŁY PRASOWE

Michał Koterski w filmie „Gierek", reż. Michał Węgrzyn, 2022 r.

Konsumpcja jest dobra

Lata 70. wbrew pozorom nie są łatwe do opisania. Plany ekipy Gierka zakładały jednoczesne zwiększenie konsumpcji i liczne inwestycje, które miały w ciągu kilku lat przekształcić Polskę w kraj nowoczesny i eksportujący swoje wyroby przemysłowe na cały świat. Gdy eksperci z czasów Gomułki wskazywali, że zbyt silna konsumpcja uniemożliwi rozwój gospodarczy, nowe Biuro Polityczne KC PZPR odpowiadało, że „wbrew starym poglądom wzrost konsumpcji nie powoduje ograniczeń we wzroście dochodu narodowego, a odwrotnie – sprzyja temu wzrostowi, gdyż stwarza bodźce wzrostu społecznej wydajności pracy, nie dającej się niczym zastąpić". Mówiąc prościej: zapewnienie wysokiego poziomu konsumpcji miało być warunkiem rozwoju społeczeństwa, jego napędem do działania.

Ten model początkowo zadziałał. Wraz z zamrożeniem cen na podstawowe produkty, w ciągu kilku lat nastąpił skokowy wzrost płac i świadczeń społecznych. Aby zaspokajać potrzeby Polaków, zaciągano kredyty za granicą i kupowano technologie konieczne do uruchamiania nowych zakładów. Co roku w ręce obywateli trafiały dziesiątki tysięcy urządzeń i pojazdów. W stosunku do poprzedniej dekady, do 1980 r. wyprodukowano prawie trzy razy więcej odkurzaczy, prawie dwa razy więcej lodówek, prawie sześć razy więcej samochodów. Ich wejście do powszechnego użycia zmieniło życie Polaków, a przede wszystkim Polek, które wcześniej dużą część dnia przeznaczać musiały na obowiązki domowe.

Dekada Gierka upływała pod hasłem zbliżenia z ZSRR, ale w rzeczywistości na wielką skalę weszły wówczas do Polski wzory zachodniej kultury. Telewizja pokazywała amerykańskie i brytyjskie seriale, a w soboty emitowana była pierwsza polska telewizja śniadaniowa, czyli Studio 2. Od 1972 r. w Warszawskich Zakładach Piwowarskich produkowano coca-colę, dawniej symbol zgniłego Zachodu. Marka posiadanych rzeczy też zaczęła mieć znaczenie – jeansy Wrangler sprzedawane były w sklepach Pewex, w których płacić trzeba było w dolarach lub bonach. Pomimo urzędowych ograniczeń nastąpił rozwój prywatnej przedsiębiorczości, ale również czarnego rynku.

Oczywiście nie wszyscy patrzyli na ów czas z zachwytem. Historyk Krzysztof Pomian, usunięty z pracy na UW w 1968 r., początkowo sceptycznie odnosił się do wyjazdu z kraju. „Jednak w trakcie wydarzyła się gierkowska prosperity – wspominał powód emigracji. – Wytworzyła ona klimat, gdzie osobom takim jak ja coraz trudniej było oddychać. Czułem się coraz bardziej nieswojo, podobnie zresztą jak Karol Modzelewski, Jacek Kuroń, Adam Michnik. W imię czego miałem tu siedzieć, skoro wszystkim tu było tak dobrze?".

Lepszy złodziej niż bandyta

W czasie, gdy „wszystkim było tu dobrze", rozbudzone aspiracje społeczne zaczęły zderzać się z istotą systemu socjalistycznego, czyli jego autorytarnym charakterem. Społeczeństwo odczuwało coraz mocniej brak wolności, a dysydenci budowali obraz gierkowskiej PRL jako państwa totalitarnego, w którym człowiek codziennie konfrontowany był z moralnymi dylematami. Waldemar Kuczyński już pod koniec lat 70. przygotował kompleksową analizę gospodarki, która zwiastowała jej spektakularny upadek. Wyrwanie społeczeństwa z konsumpcyjnego stuporu i życie w prawdzie wymagało jednak samoorganizacji.

Krótki, acz intensywny okres niechęci do byłego I sekretarza nastąpił na początku lat 80. Po strajkach sierpniowych i legalizacji Solidarności władze nie były w stanie dalej ukrywać katastrofalnego stanu gospodarki. „Propaganda sukcesu" została zastąpiona realizmem. We wrześniu 1980 r. w telewizyjnym wywiadzie minister finansów Marian Krzak poinformował, że zadłużenie zagraniczne Polski wynosi 20 mld dolarów. Wydawało się przy tym jasne, że kryzys gospodarczy był efektem błędnych decyzji ostatniego przywódcy. Od epoki lat 70. odciąć się chciała zarówno elita władzy, która obiecywała „odnowę", jak i Solidarność, która wyrosła ze sprzeciwu wobec dotychczasowych metod sprawowania władzy.

Doszły do tego plotki związane z osobistą nieuczciwością i nadużywaniem stanowiska przez byłego lidera kraju. W kwietniu 1981 r. „Trybuna Robotnicza", dziennik Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, poinformowała o domu, który dla Gierka wybudowały państwowe przedsiębiorstwa i który został mu bezpłatnie przekazany. Śledztwo karne w tej sprawie zostało ostatecznie zarzucone, ale sprawa fatalnie odbiła się na wizerunku właściciela. W efekcie 13 grudnia 1981 r., wraz z 35 innymi byłymi działaczami partyjnymi i państwowymi, jako współwinny kryzysu gospodarczego i korupcji, Edward Gierek został internowany. Ponad rok przebywał w rządowym ośrodku wypoczynkowym Promnik pod Warszawą oraz w ośrodku hotelowym Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Głębokiem na Poligonie Drawskim.

Ale już w połowie lat 80. na murach polskich miast zobaczyć można było napisy głoszące: „Wracaj Gierek do koryta, lepszy złodziej niż bandyta". W humorystycznym „poczcie pierwszych sekretarzy" Gierek przedstawiany był jako „Edward Rozrzutny", Jaruzelski natomiast jako „Wojciech Okrutny". Z perspektywy kilku lat rozrzutność wydawała się łatwiejsza do zniesienia. Sam dawny przywódca, po wyjściu z ośrodka internowania pod koniec 1982 r., żył raczej w zapomnieniu.

Anty-Balcerowicz

Gdy w 2004 r. w sondażu „Gazety Wyborczej", TVN i Radia Zet 46 proc. badanych uznało Edwarda Gierka za osobę „która zrobiła najwięcej dla Polski wśród przywódców powojennych", analitycy polskiej rzeczywistości byli w szoku. Nie dostrzegli rodzącej się nostalgii za tamtymi czasami, chociaż już trzy lata wcześniej ↦

↦ prywatny pogrzeb I sekretarza w Sosnowcu zgromadził 10 tysięcy osób, które z własnej woli chciały oddać cześć komunistycznemu politykowi.

Żaden przywódca PRL nie cieszył się tak autentyczną sympatią. Mit Gierka doskonale pasował też do rozczarowania reformami lat 90., a on sam był rodzajem przeciwieństwa Leszka Balcerowicza. Sympatyczny ojczulek kontra zimny technokrata. Politykę gospodarczą Gierka, opartą na pełnym zatrudnieniu, industrializacji i budowie państwa opiekuńczego, łatwo było przeciwstawić nowym czasom, gdzie ogromne bezrobocie postrzegano do pewnego stopnia jako element dyscypliny społecznej, nie dbano o fabryki, promowano natomiast usługi i sektor finansowy, a opiekuńczość zastępowano konkurencją prywatnych interesów. Czasy Gierka jednoczyły tych, którym kapitalistyczna Polska nie miała wiele do zaoferowania: bezrobotnych, którzy stracili pracę w przemyśle, pracowników byłych PGR-ów, od których państwo się odwróciło, czy mieszkańców dawnych miast wojewódzkich, którzy inwestycjom dekady gierkowskiej zawdzięczali rosnące znaczenie swoich małych ojczyzn, a w czasach III RP obserwowali ich powolny upadek.

Te okoliczności sprawiły, że Gierek (zachęcony przez dziennikarza Janusza Rolickiego) stał się pierwszym przywódcą PRL, który przedstawił spójną, odmienną od solidarnościowej wizję dziejów powojennych Polski. W latach 1990-1993 na rynku ukazały się: bestsellerowy wywiad rzeka „Przerwana dekada", sprzedany w milionowym nakładzie, jego kontynuacja – „Replika" – oraz nieznacznie przepisane wspomnienia, zatytułowane „Smak życia". Były komunistyczny przywódca ruszył także w tourneé po kraju: spotykał się ze zwolennikami i kreślił pesymistyczną wizję kapitalistycznej gospodarki, w której po upadku państwowych przedsiębiorstw zapanuje bezrobocie i głębokie nierówności. Dla jego wiernych słuchaczy wizja ta wkrótce stała się rzeczywistością.

W „Przerwanej dekadzie" dawny przywódca przedstawiał się jako wizjoner i reformator, który pomimo trudności gospodarczych drugiej połowy swych rządów miał plan wyjścia na prostą. Scenariusze te zostały pokrzyżowane przez rzekomy spisek, który pozbawił go władzy. Gierek spekulował, że strajki z 1976 i 1980 r. były wywołane przez Służbę Bezpieczeństwa nadzorowaną przez Stanisława Kanię, który w porozumieniu z Moskwą miał dążyć do jego osłabienia, a następnie odebrania mu władzy, gdyż nadmierna rzekomo samodzielność i łagodność Gierka w jej sprawowaniu nie były do pogodzenia z polityką ZSRR.

Autorzy filmu uznali mit epoki Gierka za atrakcyjniejszy niż fascynująca rzeczywistość przełomu lat 70. i 80.

Przykłady graniczących z manipulacją nieścisłości można wymieniać bez końca.

Rozdźwięk pomiędzy tą autokreacją i oddolnym postrzeganiem Gierka przez wielbicieli a tym, co można było zaobserwować w opiniotwórczych mediach III RP, rozszerzał się. Fascynację liderem komunistycznej partii i jego czasami ówcześni komentatorzy opisywali jako zjawisko przejściowe, element gospodarczego szoku. Z kolei utrzymywanie się mitu było widziane jako rodzaj patologii, nieumiejętności dostosowania się do warunków wolnego rynku i demokracji. Socjolog Piotr Sztompka pisał o „cywilizacyjnej niekompetencji" Polaków (wyniesionej z czasów socjalizmu), którzy z nostalgią spoglądali na dawne państwo skromnego życia, ale „pełnego zatrudnienia", gdyż brakowało im umiejętności do poprawy swego losu w ramach nowych reguł.

Produkt filmopodobny

Autorzy obecnego dziś na ekranach filmu uznali ten mit i własną kreację epoki Gierka za atrakcyjniejszą niż fascynująca przecież – i wyłaniająca się ze świadectw i dokumentów – rzeczywistość przełomu lat 70. i 80. Przykłady graniczących z manipulacją nieścisłości można wymieniać bez końca.

Skupmy się na tych, które są kluczowe dla prowadzonej przez scenarzystów narracji o wymierzonym w I sekretarza wielopiętrowym spisku. Bez zdradzania zbyt wielu szczegółów: tezy Gierka z lat 90. zostały potraktowane poważnie, a na dokładkę sprowadzono je do absurdu, odbierając im choćby cień wiarygodności. Zmiana na stanowisku partyjnego przywódcy, 5 września 1980 r., rzeczywiście dokonała się w czasie, gdy Gierek przebywał w szpitalu z podejrzeniem zawału. Tyle że on sam od dłuższego czasu rozważał rezygnację, a redaktor naczelny „Polityki" Mieczysław F. Rakowski pracował już nad jego pożegnalnym wystąpieniem.

Fałszywa jest również dychotomia pomiędzy filmowym Gierkiem, który działać miał w relacjach z ZSRR autonomicznie, a czarnymi charakterami, przyjmującymi bezpośrednie rozkazy z Moskwy. W rzeczywistości rządzący w PRL w pełni świadomie podporządkowywali się geopolitycznym ograniczeniom i uważali, że w ramach nierównego sojuszu z Moskwą można co najwyżej stopniowo rozszerzać własne pole manewru.

Posługując się metaforą Barei, można stwierdzić, że w filmie nie ma ani „prawdy czasu", gdyż wydarzenia historyczne zostały świadomie przeinaczone, ani „prawdy ekranu", gdyż nieporadność produkcyjna nie pozwala uwierzyć w realność przedstawionego świata. W ramach nieświadomego hołdu dla czasów PRL twórcy „Gierka" uraczyli nas produktem filmopodobnym, gdzie manipulacje łączą się ze słabym aktorstwem i chaotycznym scenariuszem pełnym niepotrzebnych wątków pobocznych.

A przecież nad epoką Gierka potrzebna jest prawdziwa debata. Warto np. zastanowić się, na ile katastrofa gospodarcza końca lat 70. spowodowana była błędnymi decyzjami i niekompetencją, a na ile sytuacją międzynarodową? Dlaczego niektóre kraje socjalistyczne, zadłużone podobnie jak Polska, otrzymywały kolejne pożyczki na lepszych warunkach? Czy skrajne zadłużenie jest ceną wartą zapłacenia za rozwój gospodarczy? Czy można być patriotą w warunkach pełnej dominacji Moskwy? Czy prowadzona przez Gierka gra między Wschodem a Zachodem przyniosła jakieś korzyści? Niestety, film nie potrafi zmierzyć się z tymi kwestiami i wyrządza niedźwiedzią przysługę tym, którzy chcieliby w bardziej zniuansowany sposób spojrzeć na lata 70.

© JAKUB SZUMSKI

Autor jest historykiem, pracuje w Imre Kertész Kolleg na Uniwersytecie w Jenie. Bada historię powojennej Polski i wschodnich Niemiec. W 2018 r. wydał książkę „Rozliczenie z ekipą Gierka 1980-1984".

ADAM NAWRO / MATERIAŁY PRASOWE

Podniesienie flagi w polskiej stacji badawczej w Oazie Bungera. 23 stycznia 2022 r.

Antarktyda: Reaktywacja

KRZYSZTOF STORY

Nigdy nikt nie dzwonił do mnie z tak daleka. Moje „halo" musi pokonać ponad 14 500 kilometrów w linii prostej, by dotrzeć do uszu prof. Marka Lewandowskiego w Oazie Bungera na Antarktydzie.

Tak naprawdę mój głos pokonuje dużo większy dystans, bo rozmawiamy dzięki telefonii satelitarnej. Ale żeby cokolwiek usłyszeć, profesor i tak musi stać na zewnątrz, co przy antarktycznych chłodach i huraganowych wiatrach jest bardzo nieprzyjemne. – Dotarliśmy tu i ożywiliśmy stację. Teraz zabieramy się za cel numer dwa: bezpieczny powrót do domu – mówi uradowany geofizyk.

Prof. Lewandowskiemu w misji towarzyszą: geolożka Monika Kusiak i geomorfolog Adam Nawrot z Instytutu Geofizyki PAN oraz Wojciech Miloch, fizyk jonosfery z Uniwersytetu w Oslo. Wszyscy dotarli do Oazy Bungera na Ziemi Wilkesa we wschodniej części Antarktydy, do nieczynnej od 42 lat stacji polarnej im. Antoniego Bolesława Dobrowolskiego. To pierwsza polska wyprawa naukowa na kontynentalną Antarktydę od ponad czterech dekad.

Polski wątek w historii polarnych części świata ma już ponad 100 lat. Zaczyna się od geografa Henryka Arctowskiego i meteorologa Antoniego Bolesława Dobrowolskiego, którzy w latach 1897-1899 uczestniczyli w belgijskiej wyprawie. Arctowski był wtedy kierownikiem naukowym misji, a Dobrowolski jego asystentem. Jako pierwsi Polacy nie tylko dotarli w ten odległy rejon kuli ziemskiej, ale też przetrwali tam zimę, gdy ich statek „Belgica" na 13 miesięcy utknął w lodzie.

Dzisiaj, gdy słyszymy „polska stacja polarna", najczęściej myślimy o dwóch miejscach, po jednym na każdą półkulę. Północ: stacja Hornsund im. Stanisława Siedleckiego na Spitsbergenie, południe: antarktyczna stacja im. Henryka Arctowskiego. To oznacza, że polska nauka nie dysponuje stałym przyczółkiem na samej Antarktydzie, bo „Arctowski" znajduje się na Wyspie Króla Jerzego w archipelagu Szetlandów Południowych, ponad 100 kilometrów od kontynentu.

Tę lukę ma wypełnić „ta trzecia" – stacja im. A.B. Dobrowolskiego w Oazie Bungera (oaza w realiach Antarktydy oznacza miejsce bez pokrywy lodowej). ZSRR zbudował ją w 1957 r. i niemal od razu przekazał ją Polsce. Nigdy nie funkcjonowała jako całoroczna (jak dwie pozostałe polskie stacje), a w sumie dotarły tam ledwie trzy wyprawy – ostatnia w 1979 r. Później ze względu na trudności logistyczne i finansowe bazę opuszczono. I dopiero teraz, po 5 latach zdobywania pieniędzy i trudnych przygotowań (rząd w 2018 r. zdecydował się dofinansować projekt), do „Dobrowolskiego" wraca życie, a w oazie znów słychać polski język.

Między Krakowem i Warszawą

Na mapach satelitarnych znajduję współrzędne stacji: 66°16′29″S 100°45′00″E. Zdjęcie fatalnej jakości, ale widać dwa małe domki na brzegu ogromnego Jeziora Figurowego. Oaza to mała skalna plamka pośrodku lodowej pustki, kilkadziesiąt kilometrów od brzegu oceanu.

Na zdjęciach załogi widać więcej, np. dwa pawilony mieszkalne. Jeden to „Warszawa", drugi – „Kraków". Bliżej „Warszawy" helikopter zrzucił dwa 5-tonowe kontenery z całym sprzętem ekspedycji. Za „Krakowem" stoi mała budka, która ↦

↦ trochę kojarzy się z wychodkiem, a w rzeczywistości jest pawilonem „niemagnetycznym” do bardzo specjalistycznych badań. Kilkaset metrów dalej znajduje się letnia rosyjska stacja Oasis 2.

To właśnie od sąsiadów naukowcy z PAN dostali podstawowe informacje o stanie, w jakim znajduje się opuszczona stacja. Szczegóły poznaję już z dziennika wyprawy, pisanego na bieżąco przez Lewandowskiego. 11 stycznia: „Adam wysiada pierwszy i prowadzi akcję rozładunkową. Sytuacja nie jest banalna, bo helikopter nie wyłącza śmigieł, które wzniecają burzę piaskową, siekąc piaskiem po oczach. Pracujemy więc w goglach pod presją czasu. Monika zabezpiecza lżejsze bagaże, aby nie odleciały, Wojtek wyciąga resztę z wnętrza helikoptera”.

12 stycznia: „Zwiedzamy oba budynki i już wiemy, że łatwo nie będzie. Panuje w nich nieład i zimna, niszcząca wilgoć, spotęgowana warstwami lodu i śnieżnymi zaspami. Decydujemy o przeznaczeniu »Warszawy« na bazę główną, gdyż jest w lepszym stanie niż »Kraków«. Liczymy, że może jeszcze tej nocy uda nam się oczyścić i dogrzać jedną z czterech izb, aby przenocować pod dachem. Do tego potrzebne nam są kontenery, w których znajdują się narzędzia i wyposażenie. Ze sobą mamy tylko namioty i śpiwory oraz rzeczy osobiste”.

13 stycznia: „Na pierwszy ogień poszedł salon, z którego usunęliśmy wszystko, co dało się ruszyć. Zostały gołe ściany i pusta podłoga, dzięki czemu znów pojawiło się echo, słyszane tu ostatni raz w 1956 roku”.

Załoga często czuje się jak w wehikule czasu. Pamiątki po starych wyprawach, części do zezłomowanego już śmigłowca, zamokła gazeta z 1978 r. Lewandowski mówi mi przez telefon: – Przywieziemy wszystko do Polski. Chciałbym, żeby w Muzeum Badań Polarnych w Puławach powstała kopia jednego z budynków stacji, żeby pokazać tę historię.

Porządki to misja godna naukowców: śmieci zbierają częściej niż próbki do badań, a od metody naukowej ważniejsza okazuje się zasada „3W”: wynieś, wyrzuć, wyszczotkuj. W „Warszawie” dzięki olejowemu piecowi temperatura potrafi już przekraczać 20 stopni. Jest samoczyszcząca się toaleta, zbiorniki pełne wody. Kierownik wyprawy śpi w domu, ale młodsi koledzy i koleżanka wolą swoje namioty. 23 stycznia, w rocznicę przekazania Polsce stacji przez ZSRR, na specjalnie zbudowany za „Krakowem” i „Warszawą” maszt wędruje polska flaga.

ADAM NAWROT / MATERIAŁY PRASOWE

Od lewej: Wojciech Miloch, Monika Kusiak, Marek Lewandowski, Adam Nawrot, przed „Akademikiem Fiedorowem”. Bremerhaven, Niemcy, 10 listopada 2021 r.

Dookoła stacji rozciąga się antarktyczny pejzaż, który naukowcy codziennie przeżywają na nowo: – Ten polodowcowy krajobraz odsłonił się całkiem niedawno – opisuje prof. Lewandowski. – Tuż obok mamy jezioro słodkowodne, z którego czerpiemy wodę, dwa kilometry dalej jezioro słonowodne połączone z oceanem gdzieś pod lodowcem Shackletona. Dookoła wzgórza pokryte osadem morenowym, po którym bardzo ciężko się chodzi. Kojarzy mi się to z Marsem, tak musiał wyglądać, gdy jeszcze była na nim woda.

Antarktyczna asceza dotyczy także przyrody nieożywionej: – Nie ma tu prawie żadnych zwierząt, rośnie trochę porostów, mchów, ale poza tym: kamień na kamieniu. Czasem jedynie trafi się jakiś ptak. Największym wydarzeniem była wizyta czterech pingwinów. Niestety, już sobie poszły – dodaje Lewandowski.

Pierwszy krok

Rozmawiamy o jednym z najbardziej niedostępnych miejsc na planecie. By tu dotrzeć, polscy badacze spędzili dwa miesiące na pokładzie rosyjskiego lodołamacza „Akademik Fedorow”, a ze statku do samej bazy czekał ich jeszcze lot śmigłowcem. Współpraca z Rosjanami była jedyną szansą dla tego projektu, bo Polska nie posiada statku, który mógłby dopłynąć na Antarktydę. Bezcenne okazały się też informacje oraz pomoc załogi stacji Oasis 2 już na miejscu. Podniesienie flagi polarnicy z obu krajów świętowali wspólnie. Jak mówi Krzysztof Otto, taka solidarność, nie zawsze oczywista wśród naukowców, w świecie polarnym jest normą.

Na Antarktydzie panuje dziś lato, co oznacza, że temperatura spada nocami do -10 stopni (w ciągu dnia oscyluje w okolicy zera), ale najbardziej wychładza wiatr, który w Oazie Bungera potrafi osiągać nawet 250 km/h, a i przy dużo mniejszych prędkościach uniemożliwia pracę w terenie. Pod względem logistyki to zupełnie inne realia niż choćby w stacji Siedleckiego na Spitsbergenie. Tam przy dobrej pogodzie ratunkowy śmigłowiec może dolecieć poniżej trzech godzin. Tutaj ewentualna ewakuacja trwałaby nawet trzy tygodnie. Zimą, gdy zamarznie znaczna część oceanu, utrzymanie stałej załogi jest prawie niewykonalne.

Czy warto zatem podejmować to kosztowne ryzyko? Warto, bo stacje polarne od lat dostarczają naukowcom z całego świata danych, które mogą okazać się bezcenne choćby w badaniach zmian klimatu. Jak jednak utrzymać stację, do której bezpiecznie dotrzeć da się tylko w wąskim okienku pomiędzy grudniem a marcem?

– Docelowo chcemy, żeby w stacji Dobrowolskiego pracowały automaty, nie ludzie – tłumaczy Lewandowski. – Aparatura ta będzie rejestrowała fale sejsmiczne, zmienność pola magnetycznego, warunki pogodowe.

Droga do tego jest jeszcze daleka. Dużym problemem okazuje się stabilne źródło zasilania, które przetrwa mroźną i wietrzną antarktyczną noc. Konieczne będą też następne wyprawy, ale czwórka naukowców z PAN przez półtora miesiąca pobytu na „Dobrowolskim” przygotuje stację również dla kolejnych ekip. Wykonują obecnie testowe pomiary, a ich wyniki oraz aparaturę w połowie lutego zabiorą na pokład lodołamacza „Akademik Fedorow” i rozpoczną długą podróż powrotną do Polski. Tam na spokojnie będzie można ocenić stan bazy, wprowadzić ewentualne poprawki.

– Intensywność rejsu i pobytu tutaj jest tak wysoka, że zaczynamy odczuwać trudy tych trzech miesięcy. Wszystko jest tak nowe, że każdy kolejny dzień zdaje się niepodobny do poprzedniego. Musimy reagować, uczyć się i działać na bieżąco. Więc tak: trochę już marzymy o tym, żeby znaleźć się w domu – mówi prof. Marek Lewandowski.

Chwilę później zrywa nam zasięg.

©℗ KRZYSZTOF STORY

JACEK

Podsiadło:
Skarbona i złotówa

„Na ulicach Radomia pojawiła się przed kilku dniami pierwsza taksówka. Jest to piękny w linii, nowoczesny wóz koloru seledynowego ze srebrem. (...) Taksówka ma ogromne powodzenie i nie można jej nigdy dopaść na żadnym postoju, ciągle bowiem jest w ruchu" – zachwycało się „Życie Radomskie" w 1947 r. Z biegiem lat taksówek przybywało, ale zawsze było ich za mało. W świecie na opak, jakim był PRL, postoje taxi stały się *de facto* postojami pasażerów wyczekujących, aż zjawi się jakaś zbłąkana taksówka. Do taksówkarza zwanego taksiarzem lub taryfiarzem szybko przylgnęło też określenie „złotówa". Na długo przed „Zmiennikami" pojawią się w tym środowisku absurdy „jak z Barei", toteż chętnie będzie ono portretowane w kinematografii.

„Zaraz po pierwszym trudniej w Warszawie o taksówkę niż o dziewczynę" – żali się nowo poznanej dziewczynie pan Wołodyjowski w „Niewinnych czarodziejach". W „Ósmym dniu tygodnia", półkowniku z 1958 r., polska Brigitte Bardot przywołuje taksówkę wzruszającym dziś okrzykiem: „Taksa!". W 1963 r. w „Ostatnim kursie" taryfiarz Kloss rozpracowuje mordującą w Gdyni taksówkarzy bandę Brunnera, a w „Smarkuli" Ignacy Rzecki ratuje w swojej taksówce z rąk zagranicznego obłapiacza jedną z dwóch polskich Audrey Hepburn. W obu filmach ważne role grają ówczesne taksometry. Można im się przyjrzeć z bliska i odczytać, że produkowała je Poznańska Fabryka Wodomierzy i Gazomierzy.

Minie ćwierć wieku i taksometr wyostrzy konflikt interesów między kierowcą taksówki a jej pasażerem, Rzecki zaś wróci do pracy na taryfie w „Zmiennikach". Już w pierwszym odcinku, przy okazji krytyki rumuńskiej dacii jako pojazdu zbyt delikatnego na polskie drogi, da niezapomnianą charakterystykę polskiego pasażera: „Dziewięćdziesiąt procent klientów to ludzie z rozmachem, w stu procentach nietrzeźwi, wstanie taki, to łbem sufit przebije, a przy pierwszym kursie drzwi urwie". W warszawskiej balladzie bohater wraca na Bródno po dłuższej nieobecności spowodowanej tym, iż dostał „dwa lata z pośpiechu". Bródno tymczasem zdążyło się zmienić: „Tu bloki, tam bloki i nie wiem, gdzie jestem, to chyba dzielnica nie ta. Wnerwiam się na taksiarza: »Gdzieś ty mnie przywiózł, lewarku?!« »A bo co?« »Mówiłem ci chyba wyraźnie, na Bródno! Jak wyjdę z nerw...« A on na to: »Wujek, ty strąku łuskany...« (myślałem, że serce mi pęknie!) »...jak nie znasz, czerstwiaku, dokładnie Warszawy, wypada spytać mie grzecznie!«".

„Słowo Ludu" w 1971 r. udawało optymizm: „Podniosła się kultura współżycia między kierowcami taksówek a pasażerami. Nie znaczy to wcale, że wszystko jest w tym zakresie w porządku. (...) Zbyt wiele jest jeszcze wozów, które wywołują u pasażerów uczucie obrzydzenia. Można się przykleić do siedzenia oblepionego zastarzałym brudem". Podniesienie się kultury współżycia potwierdza chyba epitet „dama kameliowa", jaki w „07 zgłoś się" wystosował pod adresem prostytutki Skarbony kierowca oburzony faktem, iż Skarbona po zapłaceniu za przejazd ostentacyjnie oczekiwała wydania reszty. W 1984 r. wzrost kultury współżycia dał się zauważyć gołym okiem. Reporterka „Dziennika Telewizyjnego" dziwiła się wówczas niepomiernie, iż od kilku dni taksówki wystające w Poznaniu pod hotelami i przed dworcem znowu zajęły się „przewożeniem zwykłych śmiertelników, takich jak my". Tę niespodziewaną poprawę sytuacji usiłował logicznie uzasadnić dyrektor Zrzeszenia Transportu Prywatnego Maciejewski: „Trudna sytuacja paliwowa spowodowała wstrzymanie wydawania koncesji. Rzecz jasna, że nie wszystkim, tylko na te samochody, które poruszają się na benzynę. Natomiast na olej napędowy, czyli na tak zwaną popularnie ropę, normalnie koncesje możemy w dalszym ciągu wydawać. Będziemy po prostu niektórym naszym członkom wstrzymywali pozwolenie na prowadzenie taksówek z uwagi na nieprzestrzeganie [tu wyjątkowo chybione cięcie telewizyjnego montażysty – JP] tego regulaminu i wyszukują sobie pracy, która była już przedmiotem krytyki prasowej, na dworcu, wyszukując specjalnych pasażerów. Konkretnie pasażerów zagranicznych, unikając przewozu naszych obywateli".

Życie taksówkarza było jedną wielką grą. Wszak w PRL-u w każdej chwili do taksówki mogła wsiąść domorosła, albo i prawdziwa, Irena Dziedzic. W „Czy jest tu panna na wydaniu" taksiarz dostaje od Maliniaka pytanie: „Co by pan zrobił, jakby pan wygrał milion?", i bez namysłu odpowiada: „Psa bym sobie kupił". Bo taksówkarze nie myślą i nie mówią jak leci, tylko jak poeci. Może dlatego, że jednych i drugich obowiązuje licencja. Bożena Stramek, publikując w „Języku Polskim" wyniki badań żargonu taksówkarzy szczecińskich, podkreślała, że najczęściej posługują się oni metaforą i metonimią. To z jej artykułu dowiedziałem się, że „klient oczytany" jest synonim klienta nietrzeźwego. A Wacek Stefanek, wioząc pana Sułka w „Brunecie wieczorową porą", po tym, jak wypowiedź „Jeden, wiesz pan, był pilotem na samolotach. Ten to był dopiero zalatany!" spotyka się z uznaniem pasażera, przyznaje wprost: „Wiesz pan, jak człowiek siedzi za tym kółkiem, to mu takie różne rzeczy, panie... Ja to, wiesz pan, mam łeb do satyry".

Marzenia taksówkarza nie były wyrafinowane. W „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz" pan za kółkiem zdradza je nie komu innemu, jak Rzeckiemu: „Jeździć na taksówce w Nowym Jorku". Na uwagę, że „Tłok tam straszny", odpowiada podręcznikowo: „Nie tylko! Tam jest i nierówność społeczna, i trusty, i kartele, i wszechpotężna władza kapitału, ale tam, jak ktoś kogoś gania samochodem, to oba dymają tak, że aż kurz idzie!". ©

WIARA

W KLERYKALNEJ SKORUPIE

SEBASTIAN DUDA

Kryzys polskich dominikanów to element zjawiska charakterystycznego dla całego katolicyzmu. Chodzi o systemową perwersję, wynikającą ze specyficznego rozumienia kapłaństwa hierarchicznego jako doskonałej „reprezentacji Chrystusa".

W poniedziałek 24 stycznia rozpoczęła się w Krakowie kapituła polskich dominikanów. Takie spotkanie odbywa się co cztery lata. Czarno-biali bracia gromadzą się w swoim najstarszym w kraju klasztorze, by wybrać prowincjała i radę prowincjalną. To także dobra okazja, by przyjrzeć się życiu wspólnoty w ostatnich latach i zaplanować działania na kolejną kadencję. Obrady kapituły potrwają do 19 lutego.

Ubiegły rok był niewątpliwie dla dominikanów czasem przesilenia. Opinią publiczną wstrząsnęły informacje o przestępstwach i niegodziwościach Pawła M. Zakonnik, który przed laty był duszpasterzem młodzieży i studentów, przekształcał powierzone mu duszpasterstwa w grupy o znamionach sekty. Skrzywdził wielu ludzi, stosując wobec nich psychomanipulację, a także dopuszczając się aktów przemocy duchowej, fizycznej, seksualnej i finansowej. Gdy na początku zeszłego roku w mediach ujawniono kilka bulwersujących faktów związanych z jego działalnością, okazało się, że władze polskiej prowincji przez ponad 20 lat nie podjęły wystarczających działań, by sprawę rzetelnie wyjaśnić, jak również odpowiednio zadośćuczynić osobom skrzywdzonym.

Grzech człowieka i błędy systemu

W marcu 2021 r. prowincjał o. Paweł Kozacki zdecydował o powołaniu niezależnej komisji eksperckiej, która pod przewodnictwem Tomasza Terlikowskiego miała przyjrzeć się wieloletniemu funkcjonowaniu Pawła M. w zakonie. Efektem kilkumiesięcznych prac (brał w nich udział autor niniejszego tekstu) był opublikowany 15 września raport, który odbił się w Polsce szerokim echem. Zwracano uwagę na fakt, że zakon zwrócił się do zewnętrznego grona ekspertów, by obiektywnie wyjaśnić wszystko, co wiąże się z tą sprawą. To sytuacja w polskim Kościele bez precedensu, ale pojawiły się liczne głosy, że decyzja o. Kozackiego powinna stać się impulsem do powoływania kolejnych komisji, które zajęłyby się bulwersującymi przypadkami także w innych katolickich instytucjach i wspólnotach. Na razie wydaje się, że szybko to nie nastąpi. Także dlatego, że wśród samych dominikanów precedens ten wywołał niemałe perturbacje.

Okazało się bowiem, że nie tylko rozmiar wyrządzonego przez Pawła M. zła wstrząsnął opinią publiczną. Na jaw wyszły również wieloletnie zaniedbania polskich władz zakonu, za które odpowiedzialny był nie tylko zmarły pod koniec 2020 r. o. Maciej Zięba (a taką nieuzasadnioną konstatację próbowano często wyciągać z raportu komisji). Zawinili także inni dominikanie. Przez lata jedynym właściwie orędownikiem pokrzywdzonych przez Pawła M. był w zakonie o. Marcin Mogielski, który bezskutecznie upominał się o sprawiedliwość. Wiedział, jak bardzo te osoby zostały psychicznie i duchowo okaleczone. Dominikańska wspólnota zakonna nie dała im odpowiedniego wsparcia (i nie chodziło bynajmniej tylko o zadośćuczynienia finansowe). Dlaczego tak się stało?

W toku prac komisji dla mnie i dla moich kolegów stało się jasne, że nie można sprowadzać tych wieloletnich zaniechań wyłącznie do odpowiedzialności kolejnych prowincjałów, członków władz prowincji, a także przełożonych i współbraci, z którymi Paweł M. mieszkał i działał w różnych klasztorach (choć ich winy w wielu przypadkach należy uznać za bezsporne). Niezdolność do udzielenia duchowego wsparcia, unikanie asysty duchowej (a przecież dominikanie są do niej szczególnie powołani) wiąże się także z wadami strukturalnymi w samym zakonie.

W raporcie wskazywaliśmy na to wielokrotnie. Napisaliśmy m.in., że „większość pokrzywdzonych, opowiadając o własnej krzywdzie, nie oczekiwała niczego innego, jak tylko wprowadzenia wobec Pawła M. konkretnych restrykcji, aby w konsekwencji ich zastosowania już nigdy nikogo nie skrzywdził. Tymczasem brak współczucia wobec osób pokrzywdzonych, a co za tym idzie pobłażliwe traktowanie samego M., doprowadziły do kolejnych krzywd, co sprawiło, że kolejni przełożeni zakonnika – i wielu innych braci – stali się współwinni czynów, jakich on się dopuścił; oni sami też stali się powodem cierpienia kolejnych pokrzywdzonych. Pytanie zatem, dlaczego współczucie wobec swego brata, który okazał się krzywdzicielem, stawiane było ponad współczucie wobec tych, którzy przez niego cierpieli? Czy mamy tu do czynienia z tym samym szkodliwym zjawiskiem, które w perspektywie Kościoła piętnujemy jako »klerykalizm«"?

Gorszące tłumaczenia papieża seniora

Kryzys polskich dominikanów to zatem element znacznie szerszego zjawiska, charakterystycznego dla całego katolicyzmu. Chodzi o systemową perwersję, która wynika ze specyficznego rozumienia kapłaństwa hierarchicznego jako doskonałej „reprezentacji Chrystusa". Oto dlaczego dobrostan i wizerunek duchowieństwa przedkłada się często w Kościele nad wszystko inne – także nad Ewangelię. Za usprawiedliwienie klerykalnej niewrażliwości na los ofiar, które zostały skrzywdzone przez „reprezentantów Chrystusa", uznaje się niejednokrotnie tzw. dobro Kościoła (odnajdywane w partykularnym „dobru zakonu" czy „dobru" innej katolickiej wspólnoty bądź instytucji).

Miarą tego „dobra" nie musi być wcale Ewangelia. Wystarczy, że jest nią np. prawo. W tym kontekście nie zaskakuje, że największe, jak wiem, kontrowersje wśród dominikanów po publikacji raportu wzbudziły nie konkretne zaniedbania w posłudze duchowej zakonników, ale jasne ustalenie, że polska prowincja zakonu w sprawie Pawła M. nie działała w zgodzie z prawem kościelnym i świeckim (czego powodem była niska jakość wiedzy i doradztwa prawnego w samej wspólnocie).

Ten styl myślenia nie cechuje bynajmniej tylko czarno-białych braci w Polsce. Ostatnio zgorszenie wywołały przecież tłumaczenia Benedykta XVI po ogłoszeniu raportu renomowanej kancelarii prawnej Westpfahl Spilker Wastl, w którym kolejnym ordynariuszom archidiecezji monachijskiej – Josephowi Ratzingerowi, Friedrichowi Wetterowi oraz Reinhardowi Marksowi – zarzucono niewłaściwe reagowanie na przypadki pedofilii wśród kleru. Raport wywołał trzęsienie ziemi w niemieckim Kościele także z powodu wyjaśnień złożonych w ponad osiemdziesięciostronicowym elaboracie przez papieża seniora. ↦

DAWID LASOCIŃSKI / FORUM

Walka duchowa – jeden z siedmiu murali przedstawiających wizje św. Dominika, wykonany z inicjatywy łódzkich dominikanów z okazji 800-lecia powstania zakonu, ul. Żeromskiego, Łódź, kwiecień 2014 r.

Benedykt XVI, odnosząc się do zarzutu, że nie postąpił z wymaganą surowością względem księdza, który masturbował się w obecności dwunastoletniej dziewczynki, z kompletnym brakiem wrażliwości zacytował suche przepisy prawa kanonicznego. Zaznaczył, że czyn co prawda był „niegodny kapłana", ale ostatecznie nie doszło do dotykania narządów płciowych małoletniej. Tym samym zarówno w świetle prawa kościelnego, jak i świeckiego nie można było stwierdzić przestępstwa. Poza tym – wedle Benedykta XVI – sprawca działał jako „anonimowa osoba prywatna" i „nie był rozpoznawalny jako ksiądz".

Naprawdę trudno nie dostrzegać w tych wyjaśnieniach papieża seniora gorszącego przejawu klerykalnej mentalności. Czy wolno się zatem dziwić, że taka sama mentalność cechuje wielu polskich dominikanów?

W wyjaśnieniach Benedykta XVI na temat skandalu pedofilskiego w Bawarii trudno nie dostrzec klerykalnej mentalności. Czy wolno się zatem dziwić, **że cechuje też ona wielu polskich dominikanów?**

Bierność potęguje zło

W raporcie komisji Terlikowskiego znalazły się konkretne rekomendacje dla Zakonu Kaznodziejskiego w Polsce. W tekście zamieściliśmy również taki zapis: „Ponieważ wielu dominikanów do dzisiaj nie wierzy w to, co się stało za przyczyną Pawła M., uważając to za zły sen lub przesadne i wyolbrzymione nagłośnienie czegoś, co jest trudne do udowodnienia, dlatego rekomendujemy, aby stworzyć odpowiedni program formacji »ku wrażliwości«, który objąłby wszystkich braci bez względu na wiek.

Program taki miałby za zadanie uświadomienie ogromu zła, jakiego może dokonać jeden człowiek, ale jakie dodatkowo może zostać spotęgowane przez bierność innych. Da im to podstawową wiedzę na temat przyczyn i skutków nadużyć wobec osób objętych działalnością duszpasterską Zakonu, a jednocześnie nauczy właściwego reagowania na niepokojące sygnały, jakie mogą płynąć zarówno spoza Zakonu, jak i od innych braci".

To, że zalecany przez komisję Terlikowskiego program formacyjny jest dominikanom potrzebny, pokazały wypadki po publikacji raportu. Rozmowy władz prowincji z poszkodowanymi przez Pawła M. na temat odpowiedniego zadośćuczynienia znalazły się w impasie. Zakonnikom zabrakło wrażliwości i gotowości do bezpośredniego wysłuchania osób, które doznały krzywdy. Próbowano zawęzić kwestię tylko do negocjowania ewentualnych kwot w ramach zadośćuczynienia finansowego. To jednak dla ludzi pokiereszowanych przez Pawła M. nie mogło być wystarczające.

Na szczęście pojawiła się w zakonie grupa, która – jak określił to o. Paweł Gużyński w rozmowie ze Zbigniewem Nosowskim na portalu więź.pl – „z poruszenia serca" postanowiła wyjść ku skrzywdzonym. Latem ubiegłego roku zaczęli wreszcie rozmawiać z osobami, z którymi przez wiele lat zakon rozmawiać nie chciał. Było to (jak mi powiedziało kilka osób poszkodowanych przez Pawła M.) doświadczenie wstrząsające i oczyszczające dla obu stron.

Grupa siedmiu i jej sojusznicy

We wspomnianej grupie, oprócz o. Gużyńskiego, znalazło się sześciu dominikanów (Marcin Mogielski, Tomasz Biłka, Wojciech Jędrzejewski, Gaweł Włodarczyk, Maciej Biskup, Maciej Kosiec), ale ich poczynania zyskały wsparcie także innych zakonników. Nie wszyscy bowiem polscy dominikanie dostrzegli w raporcie komisji Terlikowskiego li tylko niesprawiedliwy (jak niektórzy obwieścili publicznie) atak na wizerunek i prestiż ich zakonnej wspólnoty. Dobrze, że znaleźli się również tacy, którzy dostrzegli w spotkaniu z pokrzywdzonymi szansę na uzdrowienie relacji wewnątrz zakonu i rozbicie niszczącej ewangeliczną wrażliwość klerykalnej skorupy. To oni skłonili władze prowincji do wysłuchania opowieści osób, które najbardziej skrzywdził Paweł M.

Stało się to 18 grudnia 2021 r. w barokowym refektarzu dominikańskiego klasztoru we Wrocławiu, w którym przed laty wydarzyły się najbardziej przerażające wypadki związane z działalnością Pawła M. Owo spotkanie

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, na skutek wniosku Marka Sławomira Starosielskiego, pod sygn. I Ns 763/20, toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia udziału w 9/16 części we współwłasności nieruchomości położonej w Sulejówku, w obrębie 14, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 57, o powierzchni 0,0811 ha.

Sąd wzywa zainteresowanych, a w szczególności: Władysławę Lidię Chrulską, Katarzynę Maśko, Czesława Mariana Polowego i Ryszarda Bogusława Polowego, ewentualnie ich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 430/21 toczy się postępowanie z wniosku Julii Niekraszuk i Mai Niekraszuk o stwierdzenie nabycia spadku po Wiesławie Dudek, c. Henryka i Eleonory z d. Czapla, zm. 3 sierpnia 2021 r., ostatnio stale zamieszkałej w Poniatowej. W skład spadku po Wiesławie Dudek wchodzi nieruchomość stanowiąca działki oznaczone w ewidencji gruntuów numerami 129, 121, 46 o łącznej powierzchni 1,2924 ha, położona w Heninie i Kraczewicach Prywatnych, gminie Poniatowa, dla których prowadzona jest księga wieczysta kw LU1O/00053269/3.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy Wiesławy Dudek w ciągu trzech miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

doprowadziło ostatecznie do podpisania 22 stycznia – w ostatnim dniu sprawowania prowincjalskiego urzędu przez o. Pawła Kozackiego – ugód z dziewięcioma skrzywdzonymi w sprawie godziwego zadośćuczynienia finansowego. Otwarta pozostaje kwestia zadośćuczynienia pozafinansowego. Zależy ono, jak się zdaje, od przebiegu odbywającej się właśnie kapituły.

Jest pewne, że na jej obradach ścierają się różne wizje dotyczące przyszłości polskich dominikanów. Nie wszyscy bowiem prezentują taką postawę jak wspomniana grupa siedmiu i wspierający jej działania bracia. Wiadomo jednak, że *status quo* jest nie do utrzymania. Z drugiej strony pewne jest również, że źródłem uzdrowienia nie mogą być jedynie zmiany personalne i ewentualne pociągnięcie do odpowiedzialności zakonników winnych zaniedbań w sprawie Pawła M., a także w innych kwestiach dla zakonu newralgicznych. Bez wątpienia potrzebne są również przekształcenia systemowe.

Konkretne wskazówki można znaleźć w raporcie komisji Terlikowskiego. Za kluczowy punkt polscy dominikanie uznać powinni, że „trzeba wykazać maksimum wrażliwości na cierpienie innych. Jest to ta sama wrażliwość, która ewangelicznemu Samarytaninowi nie pozwoliła przejść obojętnie obok pokrzywdzonego, lecz skłoniła go do miłosiernego działania. (...) Trzeba zweryfikować program formacyjny tak, aby młodzi bracia już od samego początku byli na tę krzywdę szczerze i głęboko wyczuleni. Również w podobny sposób należy zadbać o tych, którzy już złożyli zakonną profesję, a którzy zdecydowanie za często obierają wygodną dla nich, choć dramatyczną w skutkach, metodę ucieczki w obłok niewiedzy, filozofowania, czasami też prezentują postawę lekceważenia lub – nie mając ku temu żadnych podstaw – nie dowierzają faktom".

Najbliższe lata pokażą, czy polscy dominikanie są zdolni do systemowych reform. Gdyby się im to udało, choćby tylko częściowo, byłby to znak nadziei dla całego Kościoła w Polsce. A może i gdzie indziej także.

© SEBASTIAN DUDA

GUIDO KIRCHNER / DPA /PAP

Monika Schmelter i Marie Kortenbusch – teolożki z Lüdinghausen na dziedzińcu tamtejszego klasztoru franciszkanek, 24 stycznia 2022 r.

Doktrynalny poligon

ARTUR SPORNIAK

Zbiorowy coming out w niemieckim Kościele spotkał się z przychylnością nie tylko społeczeństwa, ale także biskupów.

Tuż przed dziewiątą rano w poniedziałek 24 stycznia strona inicjatywy „#OutInChurch – dla Kościoła bez strachu" zawiesiła się. Powodem przeciążenia serwera było zainteresowanie, jakie wzbudził pierwszy masowy *coming out* w Kościele katolickim. 125 osób publicznie przyznało, że identyfikuje się jako lesbijki, geje, bi i osoby transpłciowe, interpłciowe, queer lub osoby niebinarne, będąc jednocześnie katolikami aktywnie zaangażowanymi w życie Kościoła.

Znaleźli się wśród nich byli i obecni księża, zakonnicy, nauczyciele religii, pracownicy diecezjalni, referenci pastoralni, studenci teologii czy lekarze katolickich szpitali. Niektórzy wystąpili anonimowo, wskazując na główny powód zorganizowania akcji – lęk przed utratą pracy w Kościele. #OutInChurch jest precedensową inicjatywą, by osoby LGBTIQ+ mogły poczuć się w Kościele bezpieczne.

Siedem postulatów

Kościół katolicki w Niemczech jest jednym z największych pracodawców – zatrudnia 1,4 mln osób. Posiada też przywileje, m.in. dużą autonomię wobec obowiązującego prawa pracy. Zatrudniani w Kościele podpisują dokument lojalności, zobowiązując się do przestrzegania m.in. zasad moralnych. Osoby, które np. zawierały drugi związek małżeński po rozwodzie, traciły pracę. Zagrożone jej utratą były też osoby po coming oucie.

„Mam nadzieję, że wkrótce skończą się dwa skandale: że podam tutaj swoje pełne imię i nazwisko, co mnie może kosztować pracę, i że państwo niemieckie zezwala na to Kościołowi" – mówi 41-letni anonimowy referent pastoralny, gej. „Musimy rozmawiać ze sobą w Kościele, a nie o sobie. Dlatego pokazuję swoją twarz" – oznajmia z kolei 62-letni jezuita o. Ralf Klein. W materiale filmowym powie, że jako gej żyje w celibacie. Ale są też osoby przyznające, że żyją ↦

↦ w związkach, czy wręcz pary opowiadające o sobie. Słyszymy przejmujące historie o miłości, ukrywaniu się i o wykluczeniu.

Świadectwom towarzyszy petycja z siedmioma postulatami. Te mniej radykalne domagają się zmiany kościelnego prawa pracy („Jawne życie zgodnie z własną orientacją seksualną i tożsamością płciową, nawet w związku partnerskim lub małżeństwie cywilnym, nigdy nie może być postrzegane jako naruszenie lojalności lub powód do rozwiązania umowy o pracę"), odnoszą się do języka i argumentów używanych w Kościele („Zniesławiające i przestarzałe twierdzenia nauczania Kościoła na temat płci i seksualności muszą zostać zrewidowane na podstawie wiedzy teologicznej i ludzkiej wiedzy naukowej").

Ale są też postulaty „o wszystko": „Osoby LGBTIQ+ muszą mieć niedyskryminujący dostęp do wszystkich dziedzin działalności i zawodów w Kościele" czy też „Kościół nie może odmawiać osobom lub parom LGBTIQ+ błogosławieństwa Bożego i dostępu do sakramentów". Petycję kończy oczekiwanie, że biskupi uznają winę Kościoła za cierpienie, jakiego w historii doznawały osoby nieheteroseksualne, i będą pracować nad zmianami, o które sygnatariusze apelują.

Reakcja biskupów

Czy to oczekiwanie jest realne? Kościół w Niemczech już reformuje prawo pracy. Wymusza to na nim m.in. prawodawstwo Unii Europejskiej. W 2018 r. głośno było o wyroku Trybunału Sprawiedliwości UE, który stanął w obronie ordynatora katolickiego szpitala w Düsseldorfie zwolnionego z powodu zawarcia drugiego małżeństwa po rozwodzie. Sędziowie zwrócili uwagę, że nie ma związku między kościelną interpretacją instytucji małżeństwa a obowiązkami zawodowymi ordynatora oddziału szpitala. Taki związek jednak istnieje w kościelnych zawodach związanych z przekazywaniem wiary. Czy przyznające się publicznie do życia w związku referentki pastoralne nie muszą bać się o pracę?

Niektóre niemieckie diecezje już ogłosiły, że osoby LGBTIQ+ po coming oucie nie będą zwalniane. Zadeklarował to m.in. wikariusz generalny diecezji Würzburg. Akcję #OutInChurch publicznie wsparło także kilku biskupów, m.in. diecezji Essen, Osnabrück, Drezna i Hamburga. Z ramienia episkopatu wypowiedział się bp Helmut Dieser z Akwizgranu. W ramach niemieckiej Drogi Synodalnej (dyskusji biskupów ze świeckimi o najważniejszych problemach Kościoła) przewodniczy on forum dyskutującym o nauczaniu seksualnym. Jest przekonany, że „na Drodze Synodalnej mamy przestrzeń, aby odpowiedzieć na te pytania w sposób konstruktywny".

W Niemczech biskupi – przyparci ostatnio do muru przez raport monachijski, ukazujący niewłaściwe postępowanie hierarchii w sprawach wykorzystania seksualnego nieletnich przez duchownych – są w stanie pójść na ustępstwa. Kościół nad Renem już jest doktrynalnym poligonem. Ale jakie to będzie miało przełożenie na Kościół powszechny?

W Polsce Katolicka Agencja Informacyjna szczegółową relację o akcji #OutInChurch na wszelki wypadek opatrzyła zestawem punktów katechizmu odnoszących się do homoseksualizmu.

©℗ ARTUR SPORNIAK

REKLAMA

2CELLOS

WORLD TOUR 2022

13 MAJA 2022

ATLAS ARENA ŁÓDŹ

BILETY: BILETSERWIS.PL

2CELLOS.COM

PRESTIGE MJM WE WSPÓŁPRACY Z ONE FINIX LIVE PREZENTUJE

Prestige MJM

ALBUM W SPRZEDAŻY OD 17 WRZEŚNIA

Prestige MJM · BILET SERWIS · Classic · TYGODNIK POWSZECHNY · VIVA! · TwojSTYL · HELIOS · TUŁÓDŹ.PL · TOYA TV · VIXON · PRESS SERVICE

Charyzmat i władza

EDWARD AUGUSTYN

Żadna z powstałych po Soborze wspólnot nie odcisnęła takiego śladu na współczesnym włoskim katolicyzmie. Franciszek podjął walkę z założycielem wspólnoty w Bose.

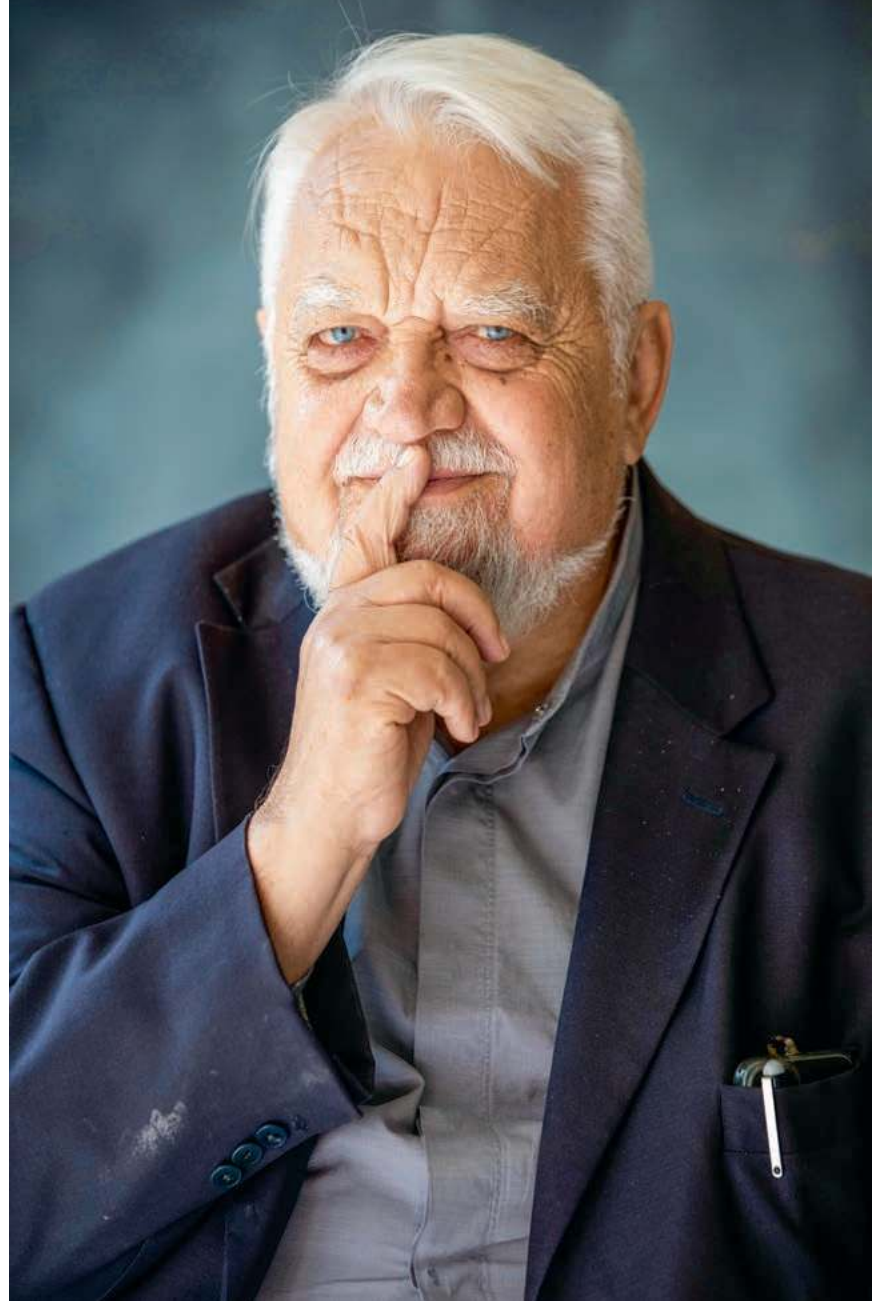

LEONARDO CENDAMO / GETTY IMAGES

Br. Enzo Bianchi, założyciel wspólnoty w Bose, Turyn, październik 2021 r.

„Prosty był początek waszej misji" – pisał w listopadzie 2018 r. papież Franciszek do brata Enza Bianchiego z okazji 50 lat „żyznej obecności w Kościele i społeczeństwie". Dwa lata później zakazał mu dalszego pobytu w klasztorze i posługiwania się nazwą wspólnoty, którą założył. Koniec też miał być prosty, ale się skomplikował.

Eksperymentalne łączenie

8 grudnia 1965 r., w dniu zakończenia Soboru Watykańskiego II, 25-letni Bianchi, student ekonomii na uniwersytecie w Turynie, rzucił wszystko i wyjechał w Alpy. Zamieszkał sam w opuszczonym i oddalonym od ludzi domku w Bose, gdzie oddawał się studiowaniu Pisma Świętego. Trzy lata później dołączyli do niego pierwsi naśladowcy – jedna kobieta i dwóch mężczyzn, w tym protestancki pastor. Tak zrodziła się dziwna, damsko-męska, ekumeniczna, ale katolicka wspólnota. W gorącej posoborowej atmosferze takie eksperymenty były możliwe: w samych Włoszech powstało kilka podobnych wspólnot. Żadna jednak, poza Bose, nie przetrwała. I żadna nie odcisnęła takiego śladu na współczesnym włoskim katolicyzmie.

– To była nie tylko próba odnowy życia monastycznego w zachodnim chrześcijaństwie – mówi „Tygodnikowi" prof. Massimo Faggioli, historyk Kościoła, który sam 20 lat temu nosił się z zamiarem wstąpienia do wspólnoty i do dziś pozostaje z nią w dobrych relacjach. – Bose łączyło doświadczenie wszystkich ruchów posoborowej odnowy: ekumenicznych, biblijnych, liturgicznych, patrystycznych. Było miejscem, gdzie kultura chrześcijańska spotyka kulturę współczesną – filozofię i sztukę. Było jak haust świeżego powietrza w rozczarowującym Kościele parafii, biskupów i watykańskiej kurii.

Mnisi z Bose przełamali istniejące od wieków tabu: pokazali, że możliwa jest zakonna wspólnota kobiet i mężczyzn, katolików i niekatolików. Przez 50 lat istnienia wspólnoty wychowali dwa pokolenia otwartych katolików. Na organizowane przez nich rekolekcje, ekumeniczne spotkania modlitewne, konferencje i panele przyjeżdżali intelektualiści, artyści, biskupi, kardynałowie, patriarchowie i politycy. Ale też zwykli ludzie, szukający ciszy i pięknej liturgii, nawiązującej do nabożeństw prawosławnych. Dziś wspólnota, złożona z blisko 80 sióstr i braci, różnych wyznań i narodowości, ma sympatyków również we Francji, Niemczech, Wielkiej Brytanii.

– Jedynie Amerykanom trudno wytłumaczyć to zjawisko – mówi prof. Faggioli, na co dzień wykładowca uniwersytetu w Filadelfii. – Bose to katolicyzm bardzo europejski, międzynarodowy, wielojęzyczny, zafascynowany chrześcijaństwem wschodnim. Do tego wyrafinowany estetycznie i intelektualnie.

Szczególny autor

Fenomen Bose to bez wątpienia zasługa charyzmatycznego założyciela. ↦

↦ Enzo Bianchi okazał się nie tylko duchowym przywódcą, ale też przenikliwym myślicielem i genialnym organizatorem – znalazł w XX-wiecznym katolicyzmie niszę, którą skutecznie zagospodarował. Wspólnota zdobywała uznanie i pozyskiwała fundusze na szeroko prowadzoną działalność. Bianchiego cenili duchowni wszystkich wyznań i politycy od centrum po lewą stronę. Był wyróżniany przez papieży: w 2004 r. Jan Paweł II wybrał go do watykańskiej delegacji, która zwróciła patriarchatowi moskiewskiemu ikonę Matki Bożej Kazańskiej; Benedykt XVI dwukrotnie (w 2008 i 2012 r.) powoływał na eksperta synodów biskupich; Franciszek mianował konsultorem Papieskiej Rady ds. Wspierania Jedności Chrześcijan (2014) i audytorem synodu o młodzieży (2018).

Jego książki sprzedają się w milionowych nakładach, wydawane są w najlepszych, nie tylko katolickich, wydawnictwach. Jest częstym gościem w telewizji i radiu, pisze do najważniejszych włoskich gazet, a biskupi proszą go – nawet teraz, mimo nałożonych kar – o wygłoszenie rekolekcji czy wykładów. Ta popularność okazała się szczególnie przydatna w ostatnich dwóch latach – sympatycy Bianchiego zażarcie bronią go dziś przed wszelkimi oskarżeniami.

W grudniu 2019 r. Watykan przeprowadził w Bose wizytację, a pół roku później „dekretem szczególnym" usunął Bianchiego ze wspólnoty. Powodem miało być „nieefektywne przekazanie urzędu": w 2016 r. brat Enzo zrezygnował z przełożeństwa, wybierając dla siebie tytuł „przeora emeryta", a jego następca, Luciano Manicardi, skarżył się na trudności, jakie w skutecznym sprawowaniu władzy stwarzała obecność i charakter byłego przełożonego. Można rzec – typowe problemy, spotykane często w kościelnych i zakonnych wspólnotach, niewymagające zwykle tak drastycznych sankcji. Tymczasem, zgodnie z dekretem Sekretariatu Stanu, potwierdzonym osobiście przez papieża, Bianchiemu nie tylko nakazano wyprowadzkę z Bose (miał na to 10 dni), ale zakazano zakładania w przyszłości jakiejkolwiek wspólnoty, stowarzyszenia czy organizacji kościelnej. Podobne kary – tyle że na określony czas – otrzymali jego najbliżsi współpracownicy: s. Antonella Casiraghi, przełożona mniszek, br. Lino Breda, sekretarz wspólnoty, i br. Goffredo Boselli, odpowiedzialny za liturgię. Ten ostatni dostał dodatkowo zakaz utrzymywania jakichkolwiek kontaktów z byłym przeorem.

> Watykański dekret nakazywał Bianchiemu wyprowadzkę z Bose i zakazywał zakładania w przyszłości jakiejkolwiek wspólnoty. **Właśnie kupił on dużą posiadłość obok Bose.**

Trudno się dziwić karuzeli podejrzeń, jaką rozkręciły media, by dociec „prawdziwej" przyczyny kar. Zauważono, że wśród watykańskich wizytatorów był o. Amedeo Cencini, ekspert w sprawach nadużyć, również seksualnych. Z kolei obrońcy Bianchiego powtarzali, że wyroki pozbawiające wolności osobistej wydał „sąd kapturowy" – oskarżeni nie mieli żadnego procesu ani możliwości obrony. Chyba nikt nie wierzył, że powodem kar był konflikt personalny między starym a nowym przeorem. Sam dekret sugerował zresztą, że problem był bardziej złożony: w uzasadnieniu czytamy, że Bianchi „w niewłaściwy sposób wykorzystywał swój moralny autorytet", a jego zachowanie było „niestosowne i pozbawione szacunku", czym doprowadził „do zgorszenia i cierpienia licznych członków wspólnoty".

I nagle coraz więcej osób zaczęło mówić o autorytarnych cechach i dyktatorskich zapędach założyciela Bose. Osoby, które spędziły tam jakiś czas, opowiadały o przypadkach lekceważenia podwładnych i ich problemów, także zdrowotnych. Bianchi miał traktować wspólnotę jak swoją własność i zaplecze dla realizowania prywatnych ambicji. Zamknięta społeczność, silny, charyzmatyczny, uwielbiany przez tłum przywódca, przekonany o swej wyjątkowej misji i pozostający poza jakąkolwiek kontrolą – to wręcz podręcznikowy przykład sytuacji sprzyjającej nadużyciom, spotykanej zwłaszcza w kościelnych wspólnotach, którymi przez lata, a często dożywotnio, kierują ich założyciele.

Mało kto miał dotąd odwagę zająć się tym problemem – poprzedni papieże zdawali się go nie dostrzegać. Franciszek postanowił rozwiązać go niemal systemowo: od kilku lat zarządza wizytacje w tego typu wspólnotach, domaga się rewizji ich konstytucji i statutów, wyznacza kadencje sprawowania urzędu przez przełożonych.

To jeszcze nie koniec

Z czwórki ukaranych zakonników dwoje – s. Antonella i br. Lino – zastosowało się do papieskiego rozporządzenia. Bianchi zwlekał z wyprowadzką przez wiele miesięcy, tłumacząc się wiekiem (ma 79 lat) i trudnościami technicznymi. Odrzucił propozycję, by przenieść się wraz z kilkoma swoimi zwolennikami do klasztoru w Cellole, który wspólnota gotowa była mu „wynająć" pod warunkiem, że nie będzie używać jej nazwy ani nie stworzy żadnej nowej społeczności zakonnej.

W lutym 2021 r. wyjechał – wraz z br. Goffredem – do rodzinnego Turynu. W styczniu tego roku media odkryły, że kupił dom z 18-hektarową działką, niedaleko Bose. Nie umknęło ich uwadze (pomogły w tym też przecieki ze wspólnoty), że inwestycja wymagała niemałych nakładów finansowych, a zgodnie z regułą i składanymi ślubami wszystkie dochody zakonników, także te ze sprzedanych książek i praw autorskich, powinny były trafić do klasztornej kasy.

– Nie sądzę, by Enzo Bianchi zorganizował w tej posiadłości nową wspólnotę – mówi Massimo Faggioli. – Byłoby to jawne złamanie papieskiego zakazu, więc oficjalnie tego nie zrobi. Ale być może zgromadzi wokół siebie jakąś nieformalną grupę sympatyków. On nie potrafi już żyć samotnie i w ukryciu. Jest jak średniowieczny opat, który potrzebuje dworu i audytorium.

A wspólnota w Bose? Prof. Faggioli nie ma wątpliwości, że przetrwa trudny czas, choć pewnie straci na znaczeniu i liczebności. Przestanie też być „przedsiębiorstwem", jak za Bianchiego, pozyskującym fundusze na organizację wielkich konwencji z setkami zapraszanych gości. Powróci do życia zakonnego i ekumenicznego, do czytania Pisma Świętego i Ojców Kościoła. Pozbywając się założyciela, wróci do swoich korzeni i charyzmatu.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

LINH PHAM / GETTY IMAGES

Buddyjski mnich i mistrz zen Thích Nhât Hạnh (w środku, na wózku inwalidzkim) podczas uroczystości rozpoczęcia Nowego Roku Księżycowego w świątyni Tù Hiêu, Hue, Wietnam, 25 stycznia 2020 r.

Nauczyciel pokoju

PIOTR SIKORA

Był obok Dalajlamy najbardziej znanym i inspirującym mistrzem buddyjskim na świecie. Zmarł wietnamski mnich Thích Nhât Hạnh.

Świat Zachodu ulega szybkiej sekularyzacji. Jednocześnie w ludziach nie znika głód duchowości, pragnienie szczęścia opartego na czymś głębszym niż tylko materialna pomyślność – popularność rozmaitych nauczycieli duchowych zdaje się potwierdzać tę tezę.

22 stycznia zmarł jeden z nich – 95-letni mnich buddyjski Thích Nhât Hạnh. Zmuszony do emigracji z rodzinnego Wietnamu, założył we Francji wspólnotę-klasztor Plum Village, do której przybywało tysiące ludzi. Był autorem licznych książek, przetłumaczonych na kilkadziesiąt języków (niektóre z nich także na język polski), a ich łączny nakład przekroczył 5 mln egzemplarzy.

Oddychaj i bądź

Co pociągało ludzi w nauczaniu wietnamskiego mnicha zen? Zapewne prostota. To, co Thích Nhât Hạnh rozpoznał jako istotę mądrości przekazywanej w swojej buddyjskiej tradycji, okazało się bardzo proste (chociaż niekoniecznie łatwe) i możliwe do realizacji przez ludzi niezależnie od zewnętrznych uwarunkowań ich życia, a nawet – niezależnie od wyznawanej przez nich religii.

Kluczem do pełni życia, przekonuje założyciel „wioski śliwy" (warto pamiętać, że dzika śliwa – jedna z „czworga szlachetnych", pozostałymi są bambus, orchidea i chryzantema – symbolizuje w tradycji zen prostotę i czystość), jest uważność: przytomne skupienie na chwili obecnej i na tym, co w owej chwili się robi. Podstawą takiego skupienia jest intencja. Jesz posiłek? Niech twoim celem będzie sam proces jedzenia. Jeśli jesz w samotności – najważniejsze niech będzie samo gryzienie, smakowanie, przełykanie pokarmu. Jest to kolacja z przyjaciółmi? Celem niech będzie spotkanie przy stole, zarówno smakowanie potraw, jak i kontakt z bliskimi osobami.

Zasada ta stosuje się, mówi Thích Nhât Hạnh, także do czynności, które zwykliśmy traktować jako zło konieczne. Zmywasz naczynia? Zmywaj je – intencjonalnie – nie po to, by umyć, lecz po to, by zmywać. Wtedy nawet w zmywaniu możesz odkrywać coś, co daje radość i satysfakcję. Przyjemny dotyk ciepłej wody, stopniowo wyłaniającą się spod warstwy brudu czystość ceramicznej powierzchni talerza.

Jak jednak osiągnąć takie skupienie i wytrwać w nim, skoro nasz umysł wyrywany jest z teraźniejszości przez nacechowane silnymi emocjami wspomnienia albo pragnienia i lęki dotyczące przyszłości? Nie walcz ze sobą gwałtownie – odpowiada mistrz zen – wystarczy, że zachowasz delikatną świadomość oddechu – umysł stopniowo nauczy się uspokajać, wracać do siebie i chwili obecnej.

Dzisiaj, gdy wielu nauczycieli *mindfulness* powtarza podobne nauki w licznych książkach, wykładach i kursach, nauki Nhât Hạnh mogą wydać się mało oryginalne. Warto jednak pamiętać, że to właśnie jego interpretacja buddyjskiej tradycji jest jednym z głównych źródeł ↦

↦ inspiracji dużej części współczesnych, także świeckich, szkół uważności.

Budda przeciw karabinom

Ruch *mindfulness* bywa dziś krytykowany za to, że skupiając adeptów na osiąganiu wewnętrznego pokoju we wszelkich warunkach życia, osłabia społeczne zaangażowanie – aktywną walkę z rozmaitymi formami ekonomicznej niesprawiedliwości, politycznych konfliktów i nadużywania władzy, a także z ludzką, osobistą krzywdą. Takiego zarzutu nie da się jednak postawić Thíchowi – ani w odniesieniu do jego życia, ani nauki.

Nhất Hạnh już na przełomie lat 50. i 60. w rodzinnym Wietnamie był jednym z mnichów najbardziej zaangażowanych w walkę z nierównościami społecznymi – przekonując, że cenione przez buddyzm współczucie powinno się przejawiać także w praktycznej działalności na rzecz ludzi cierpiących.

Tuż przed wybuchem wojny wietnamskiej oraz w jej trakcie zaangażował się w działalność pokojową. Z powodu tego zaangażowania musiał opuścić ojczyznę. W Stanach Zjednoczonych poznał m.in. Martina Luthera Kinga, który w 1967 r. zgłosił go do Pokojowej Nagrody Nobla. Po upadku Południa ratował *boat people* – ludzi uciekających przed komunistycznym rządem przez morze do sąsiednich krajów. Dopiero w 2005 r. zezwolono mu na powrót do Wietnamu.

Bardzo ważnym motywem nauczania Thích Nhất Hạnha było podkreślanie związku wewnętrznego stanu ducha człowieka z jakością jego działań w przestrzeni publicznej. Nie da się – głosił – wprowadzać pokoju społecznego, nie poradziwszy sobie z własnymi wewnętrznymi konfliktami. Jego wizja, w której pokój na płaszczyźnie społecznej ściśle łączy się z pokojem ducha, kierowała sposobem, w jaki w późniejszych latach angażował się w działania na rzecz pojednania – choćby wówczas, gdy do Plum Village zapraszał Żydów i Palestyńczyków, aby wspólnie medytowali w ciszy, uczyli się mówić o swoich doświadczeniach i słuchać nawzajem.

Nie sposób jednoznacznie ocenić skuteczności takiego podejścia. Patrząc z geopolitycznej perspektywy na przykład na strefę Gazy czy Jerozolimę – trudno zobaczyć jego pozytywne rezultaty. Choć z drugiej strony warto mieć świadomość, że część bojowników Irlandzkiej Armii Republikańskiej, która zrezygnowała z przemocy i postanowiła działać w sposób pokojowy, przyznała, że idee Thích Nhất Hạnha były ważną inspiracją ich przemiany.

> Angażował się w działania **na rzecz pojednania zwaśnionych stron,** ponieważ uważał, że pokój na płaszczyźnie społecznej ściśle łączy się z pokojem ducha.

Bycie pomiędzy

Rozwijając „buddyzm zaangażowany", Thích Nhất Hạnh już w połowie lat 60. założył Zakon Współbycia (albo międzybycia – Order of Interbeing) – wspólnotę, która ma łączyć cechy buddyjskiego monastycyzmu i zaangażowania społecznego. Jej regułą jest „czternaście ćwiczeń uważności" – tj. praktykowanie i rozwijanie określonych postaw wobec siebie i świata. Ciekawe, jak wyglądałby świat, gdybyśmy wszyscy nimi się zainspirowali.

Trzy pierwsze – otwartość, brak przywiązania do własnych opinii i wolność myślenia – stanowią poznawczy fundament pozostałych. Człowiek, który je kultywuje, nie jest przywiązany do jakiejkolwiek doktryny czy ideologii, ma świadomość, że nasza wiedza o świecie nie jest „ukończona" – a zatem nie trzyma się kurczowo swoich aktualnych opinii, lecz jest gotów stale się uczyć, także od tych, którzy postrzegają świat inaczej i mają odmienne poglądy. Nie narzuca także swojej wizji świata innym, pozwala każdemu samemu rozwijać swoje poznanie; nie zwalcza nawet fanatyków – lecz próbuje cierpliwie wchodzić z nimi w dialog.

Otwartość umysłu na poziomie intelektualnym powinna łączyć się z uważnością zarówno na negatywne, jak i pozytywne aspekty rzeczywistości. Służą temu ćwiczenia świadomości cierpienia, troski o gniew i szczęśliwego zanurzenia się w chwili obecnej. Podczas wojny wietnamskiej Thích Nhất Hạnh doświadczył bezpośrednio ogromu cierpienia ofiar działań zbrojnych. Pełna otwartość na cierpienie, swoje i innych – pisał później – jest trudna, mamy tendencję, by zamykać na nie oczy, uciekać w iluzję. Utrzymywanie świadomości cierpienia – konieczne, by zrozumieć jego przyczyny i skutecznie je leczyć – wymaga wysiłku. Podobnie jest z gniewem – łatwo mu ulec albo go tłumić. Każda z tych reakcji mnoży jednak cierpienie. Gniew trzeba otoczyć troską – przyglądać mu się, bez agresywnych działań, badać, skąd i dlaczego się pojawia – tylko w ten sposób można się naprawdę od niego uwolnić.

Koncentracja jedynie na ciemnej stronie rzeczywistości także tworzy iluzję. Uważne zanurzenie się w chwili obecnej – bez osądów, bez roztrząsania negatywnych doświadczeń z przeszłości i bez poddawania się lękom o przyszłość – pozwala odnaleźć pokój i szczęście nawet pośród wielkich trudności życiowych.

Jest to tym bardziej możliwe, im bardziej zwracamy uwagę na właściwy sposób życia (o czym mówią kolejne reguły Zakonu współbycia): życie proste, dbanie o zdrowie fizyczne i psychiczne, szacunek dla środowiska i wszelkich form życia.

Właściwy sposób życia to także budowanie właściwych relacji z innymi ludźmi. Tu reguła sformułowana przez Nhất Hạnha zaleca rozwijanie zdolności prawdziwej komunikacji: ćwiczenie się w głębokim słuchaniu, bez osądzania, a z drugiej strony – w mówieniu (czy szerzej: ekspresji), które nigdy nie jest niszczące. Potrzebna jest ochrona i budowanie wspólnoty – przez szczodrość, niewykorzystywanie jej do egoistycznych celów, integrację impulsów seksualnych w budowanie trwałych związków opartych na wzajemnym szacunku. Ale także aktywne przeciwdziałanie opresji i niesprawiedliwości. W tym ostatnim działaniu trzeba jednak uważać, by nie stać się jedną ze stron konfliktu (zwłaszcza, gdy ma on wymiar polityczny).

Cisza

Jedna z ostatnich książek Nhất Hạnha (wydana także po polsku) nosi tytuł „Cisza. Siła spokoju w świecie pełnym zgiełku". W 2014 r. jej autor przeżył udar mózgu, który pozbawił go zdolności mówienia. Człowiek, który przez wiele lat mówił o wartości ciszy, zamilkł aż do niedawnej śmierci. Niektórzy twierdzą, że te ostatnie lata jego życia były najbardziej wymowne ze wszystkich.

©℗ PIOTR SIKORA

WOJCIECH

Bonowicz: *Strach na łagodnym stoku*

Na trudny czas swoją najnowszą książkę przysłał mi Piotr Mitzner. Książkę z wierszami, zatytułowaną „Mucha!". Książkę poważną, przy której co rusz wybuchałem śmiechem.

Oto na przykład wiersz zatytułowany „Poeta":

poeta idzie do sklepu / poeta pisze: / olej sól mąka gazeta

poeta pisze / bo poeta nie pamięta

No tak, czytam i widzę siebie z nieśmiertelną karteczką z zakupami. Wystarczy, że pozycji jest więcej niż trzy, a ja na wszelki wypadek robię listę. Poeta pamięta? Okazuje się, że nie bardzo. Jak każdy, cierpi na zaniki pamięci, bywa zdezorientowany, gubi się w najprostszych sytuacjach. Poezja nie ma już siły dźwigać na sobie tylu obowiązków, ile kiedyś. Ale może wpłynąć na nasz sposób patrzenia, pomóc nam dostrzec coś, czego na co dzień nie dostrzegamy. Choćby humorystyczny potencjał sytuacji, które się nam przytrafiają.

Krótki wiersz jest jak mem – albo raczej mem jest jak krótki wiersz, w którym zapisano nietuzinkową myśl czy zabawne zdarzenie. Jak w „Postrzyżynach":

dziś fryzjer / pomylił maszynki / – nie za krótko? – pyta – za krótko – no i co teraz? / – teraz to już nic

Kilka zdań, jak kilka kresek, i powstaje scenka, przy której nie sposób się nie uśmiechnąć. Końcowe „teraz to już nic" to wyraz bezradności: nic się już nie da zrobić, nic poprawić, można tylko czekać, aż włosy odrosną. Jak powiada obiegowa mądrość: łatwiej grube pocienkować, niźli cienkie pogrubasić. Z długim i krótkim podobnie. Ale to końcowe wyznanie to także swoista deklaracja poety. Żeby wiersz działał, trzeba go umiejętnie przeciąć, przyciąć, nie przegadać. Zresztą w wierszach Piotra często powraca motyw dyscyplinowania słów, przywoływania siebie piszącego do porządku.

W ogóle Piotr lubi żartować z siebie: z upływu czasu, który odbiera mu siły, ze wspomnień, z którymi nie wiadomo, co zrobić. W wierszu zatytułowanym „Wreszcie" pisze o niewyrównanych rachunkach z przeszłości – i także ten motyw obraca w żart:

prześladuje mnie Jurek Filet z 7B / naderwał mi ucho i zabrał pięć złotych

dziś jest starszy / po siedemdziesiątce

on idzie o lasce / ja jeszcze nie

nie dogoni mnie / nie boję się Fileta

spróbuję / odebrać mu te pięć złotych

W lutym 2020 r. byliśmy razem z Piotrem w Mińsku, żeby wspólnie z białoruskimi poetkami i poetami czytać wiersze. Mińsk nie wydawał się wtedy groźny, choć ulice i chodniki lśniły czystością, która zawsze jest trochę podejrzana i każe myśleć o państwie autorytarnym. Reminiscencje tego pobytu są zresztą w tomie; w jednym z wierszy Piotr opisuje swój ówczesny sen, w którym na łagodnym stoku... wypasał owce. Ale owce zostały pożarte przez niedźwiedzie i Piotr z konieczności został pasterzem niedźwiedzi. Pisze w tym wierszu: „tylko strach / na łagodnym stoku". Mińsk był wtedy zimny, ale słoneczny, niebo jednolicie niebieskie, a ludzie, których spotykaliśmy, uśmiechnięci i pełni życia. Jaki jest teraz?

Czytam wiersze Piotra, śmieję się – i jednocześnie myślę o tym mieście strachu. Wiersz jest czymś delikatnym, ale nie tak delikatnym jak skóra czy oko. Wiersz uśmiecha się jak człowiek. I jak człowiek czeka w napięciu na to, co nadejdzie. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydziale Cywilnym, w sprawie I Ns 194/20 z wniosku Małgorzaty Skoczyńskiej toczy się postępowanie o stwierdzenie, że Lucyna Trojanowska i Bolesław Trojanowski z dniem 23 kwietnia 1991 roku nabyli przez zasiedzenie na zasadzie wspólności majątkowej małżeńskiej, na własność nieruchomość gruntową położoną w Chełmie przy ulicy Nadrzecznej, której granice przebiegają od zachodu wzdłuż ściany budynku nr 7756 znajdującej się w granicy między działkami 104 i 109, od północy granica przebiega wzdłuż ściany budynku nr 756, przylegającej do ściany budynku znajdującego się na sąsiedniej działce nr 110 do narożnika budynku nr 757, znajdującego się na dzałce nr 109, od wschodu granica przebiega częściowo wzdłuż zachodniej szczytowej ściany budynku nr 757, położonego na działce nr 109, do zetknięcia się z granicą od strony południowej, od strony południowej wzdłuż ściany budynku nr 756 od granicy z działką 104 do zetknięcia się z granicą od strony wschodniej – stanowiącej aktualnie część działki nr 109 o powierzchni 0,0384, dla której Sąd Rejonowy w Chełmie prowadzi KW o nr. LU1C/00000035/6

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i udowodnili swoje prawo do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu o zasiedzenie.

GORĄCZKA WIRTUALNEGO ZŁOTA

Nowy rok rozpoczął się od poważnego tąpnięcia na rynku kryptowalut. Bitcoin, największa z wirtualnych monet, stracił 50 proc. wartości. Kolejne rządy na świecie chcą ten rynek uregulować.

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Po miesiącach problemów z dostawami prądu sytuacja w Kazachstanie stawała się coraz bardziej napięta. Czarę goryczy przelało ponad dwukrotne podwyższenie cen na gaz LPG. Kraj stanął w obliczu buntu zagrażającego autorytarnym władzom. Siły porządkowe starały się rozegnać demonstracje rozlewające się po 19-milionowym Kazachstanie. Doszło do grabieży i podpaleń budynków publicznych. W Ałmaty, największym kazachstańskim mieście, demonstranci zajęli m.in. lotnisko.

Zginęło ponad 220 osób, a ok. 10 tys. trafiło do więzień. Władze Kazachstanu poprosiły o wsparcie państwa Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, które niemal natychmiast wysłały wojska. Jednak chwilowe odcięcie internetu, które miało utrudnić organizację rebelii, wywołało wstrząs w skali globalnej. Tąpnął rynek kryptowalut, osłabiony przez negatywne opinie amerykańskiego Systemu Rezerwy Federalnej, słabe notowania tamtejszej giełdy i ograniczanie stymulacji gospodarek dotkniętych pandemią. A Kazachstan to jeden z kryptowalutowych rajów. Według danych Centrum Finansów Alternatywnych Uniwersytetu Cambridge wydobywa się tam aż 18 proc. bitcoinów, czyli największej wirtualnej monety.

By sprawę skomplikować jeszcze bardziej, wszystko to zbiegło się z narastającą na świecie dyskusją, co zrobić z wirtualnymi pieniędzmi – zabronić ich czy zaakceptować po stosownych regulacjach.

W rezultacie od listopada do końca stycznia cena bitcoina spadła o ponad połowę – z rekordowych 273 tys. zł za jedną monetę do 133 tys. zł, by następnie nieznacznie wzrosnąć. Także pozostałe kryptowaluty zanotowały kilkudziesięcioprocentowe spadki.

PAVEL MIKHEYEV / REUTERS / FORUM

Kopalnia kryptowalut obok elektrowni węglowej w pobliżu miasta Jekybastuz w Kazachstanie, listopad 2021 r.

Od wolności do zysku

Do maja ubiegłego roku niemal połowę bitcoinów w skali globu wydobywano w Chinach. Jednak władze zdelegalizowały obrót kryptowalutami, a w rezultacie także ich pozyskiwanie. Głównym powodem tej decyzji było ukrócenie oszustw podatkowych i prania pieniędzy.

Bitcoin, który wszedł do obiegu 13 lat temu, zgodnie z założeniem miał umożliwiać dokonywanie transakcji poza scentralizowanymi strukturami i bez pośredników, a przy tym pozostać zupełnie anonimowy oraz gwarantować bezpieczeństwo środków (przedrostek „krypto" pochodzi od kryptografii). To właśnie idea utopijnej wolności przyciągnęła do niego tak wielu ludzi. Szybko jednak wirtualnymi monetami zainteresowali się ci, dla których ważny był wyłącznie zysk.

– Większość z inwestujących w ten rynek nie liczy na to, że wyłamie się z oficjalnego obiegu gotówki, bo kolejne regulacje to utrudniają, a z czasem pewnie uczynią niemożliwym. Nad libertariańskim czy anarchistycznym duchem zwyciężyła wiara, uzasadniona lub nie, w to, że można dzięki sektorowi krypto zdobyć bogactwo – mówi Filip Konopczyński z Fundacji Kaleckiego, która zajmuje się polityką gospodarczą.

Kupione za grosze i wzbudzające często uśmiech politowania kryptowaluty po latach, miesiącach, a czasami tygodniach uczyniły z wielu ludzi milionerów. Każdy inwestujący liczy po cichu, że i jemu uda się powtórzyć ten sukces.

Kopacze XXI wieku

Bitcoiny nie pojawiają się znikąd, trzeba je wykopać czy wydobyć. Tak potocznie określa się proces pozyskiwania tej waluty. Bitcoin to łańcuch bloków (*blockchain*), które umożliwiają zapisywanie transakcji. W 2009 r., by zostać kopaczem, wystarczył domowy komputer. Trzeba było udostępnić całą moc obliczeniową maszyny, by rozwiązać skomplikowane zadanie matematyczne. Jeśli się to powiodło, do łańcucha był dodawany kolejny blok i powiększał sieć. Natomiast kopacz był wynagradzany monetami.

Zgodnie z założeniem twórców każdy kolejny blok staje się coraz trudniejszy do dodania. Obecnie kopanie bitcoinów na domowych urządzeniach może skończyć się niebotycznymi rachunkami za prąd i awarią komputera. A nagrody są coraz mniejsze. W 2009 r. za dołączenie bloku otrzymywało się 50 bitcoinów, obecnie 6,25, a za ostatni blok będzie to raptem 0,00000168 bitcoina. Wówczas w obrocie znajdzie się cała pula 21 mln monet.

Obecnie bitcoiny, ale także inne z kilkunastu tysięcy kryptowalut (niektóre emitowane są w określonej liczbie i nie da się poszerzać ich łańcucha bloków), wydobywa się za pomocą koparek. Tak mówi się o komputerach zbudowanych z płyty głównej i kilkunastu kart graficznych. Takie urządzenia mogą kosztować nawet kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Jeden taki komputer to zbyt mało, by dorobić się na wydobyciu najpopularniejszych kryptowalut. Dlatego kopacze łączą wysiłki, by skutecznie rywalizować z ludźmi rozsianymi po świecie. Jednak nawet oni nie mogą marzyć o profitach, które przez lata ciągnęły duże firmy – najpierw z wydobycia, a potem także z obrotu kryptowalutami. Obecnie bitcoin i inne monety coraz częściej wiążą się nie z opowieściami o pojedynczych dorobkiewiczach, tylko z obejmującymi rynek korporacyjnymi molochami.

↦

Wyłączone komputery

Zgodnie z danymi zebranymi przez brytyjski dziennik „Financial Times" przynajmniej 87 849 koparek sprowadzono do Kazachstanu z Chin. Ich właścicieli zwabiła geograficzna bliskość i tania energia.

W rezultacie w Kazachstanie zużycie prądu wzrosło o 8 proc. Od czterech do ośmiu razy więcej w porównaniu do kilku ostatnich lat. System energetyczny szybko przestał radzić sobie ze zwiększonym zapotrzebowaniem. W październiku trzy elektrownie wyłączano awaryjnie. Państwowe przedsiębiorstwo energetyczne ostrzegło, że energia będzie reglamentowana dla 50 oficjalnie zarejestrowanych kopaczy, a w razie problemów zostaną odcięci od prądu jako pierwsi. Od 2022 r. kopacze muszą dopłacać jednego tenge (niecały jeden grosz) do każdej kilowatogodziny. Problem jest daleki od rozwiązania, bo nie wiadomo, ile nielegalnych kopalń jest rozsianych po Kazachstanie w domowych piwnicach i porzuconych fabrykach.

Jeden z kopaczy żalił się „Financial Times", że jego dochody spadły o jedną trzecią – z 1200 dolarów dziennie do 800, a koparki przez znacz ną część czasu stały wyłączone. Poszukiwacze wirtualnych monet spodziewali się, że zima da im się we znaki, ale wybuch protestów przerósł ich oczekiwania.

Kopalnie jak na razie nie znikają z Kazachstanu, bo przeniesienie ich jest kosztowne i ryzykowne (sprzęt łatwo może ulec zniszczeniu). Coraz trudniej też znaleźć miejsce, gdzie kopacze mogliby się udać. Wiele krajów rozważa wprowadzenie zakazu wydobycia lub obrotu kryptowalutą.

Kosowo zabrania kopania

Zanim w Kazachstanie wyłączono internet, władze Kosowa, gdzie mieszka mniej niż 2 mln ludzi, ogłosiły zakaz wydobycia wirtualnych pieniędzy. Na decyzję wpłynęła grudniowa awaria największej elektrociepłowni w kraju, co doprowadziło do przerw w dostawach prądu i konieczności importowania energii z zagranicy. Europa z kolei jest nękana kryzysem energetycznym spowodowanym ograniczeniem dostaw gazu z Rosji. Ceny prądu rosną, a kopacze stają się pierwszym celem rządów, które chcą zmniejszyć energochłonność.

Wydobywanie kryptowalut, często nielegalne, stało się szczególnie popularne na północy Kosowa, zamieszkałej przez serbską mniejszość, gdzie od wojny z końca lat 90. użytkownicy indywidualni nie musieli płacić za prąd. Jak informuje portal Balkan Insight, od wprowadzenia zakazu policja i celnicy skonfiskowali ok. 400 koparek, które nie posiadały dowodów pochodzenia. Reszta z legalnie ściągniętego do Kosowa sprzętu o wartości 22 mln euro nie została ruszona. Początkowo wybuchła panika i wielu kopaczy postanowiło sprzęt sprzedać. Na portalach społecznościowych zaroiło się od używanych koparek.

Posiadacze legalnych komputerów do pozyskiwania kryptowalut wciąż jednak mają nadzieję, że prawo zostało wprowadzone tymczasowo i wkrótce znowu będą mogli rozpocząć wydobycie.

Bitcoin staje się passé

W raporcie z 2018 r. Bank Światowy określał niemal czteromilionową Gruzję mianem jednego z najaktywniejszych obszarów kopania wirtualnych pieniędzy na świecie. Świadczył o tym gwałtowny wzrost konsumpcji prądu. W rezultacie Gruzja musiała zacząć importować energię elektryczną.

To właśnie jej niska cena zachęciła poszukiwaczy wirtualnych monet, a przy tym brak regulacji i zachęty rządu w postaci stref ekonomicznych. Do Gruzji ściągnęły duże zagraniczne firmy, takie jak amerykańska Bitfury (w 2019 r. konsumowali tyle prądu, co niemal 50 tys. gospodarstw domowych). W kraju bitcoin wzbudził duże zainteresowanie. W rezultacie na polach rosły metalowe hangary, a domowe piwnice zajmowały potężne komputery, które dają tyle ciepła, że niektórzy korzystali z nich, by dogrzewać przydomowe uprawy warzyw. W stołecznym Tbilisi pojawiły się bankomaty i kantory, w których można wymienić niektóre wirtualne monety na banknoty znajdujące się w oficjalnym obiegu.

Od kilkunastu miesięcy mówi się, że kryptowaluty tracą w Gruzji na popularności. Szczególnie że ceny na prąd dla energochłonnych przedsiębiorstw poszły mocno w górę, a wzmożona konkurencja i wahania cen wirtualnych pieniędzy zmniejszyły opłacalność kopania. Według danych Centrum Finansów Alternatywnych Uniwersytetu Cambridge we wrześniu 2019 r. udział Gruzji w kopaniu

bitcoina wynosił 0,32 proc., a w sierpniu 2021 r. było to już 0,18 proc.

Jak przekonuje George Gwazawa z CryptX Group, mającej siedzibę w Gruzji i zajmującej się obrotem kryptowalutami oraz usługami w sferze blockchain, spadki zmniejszenia wydobycia bitcoina nie oznaczają, że branża się kurczy. – Posiadamy jeden z największych kantorów kryptowalutowych w Gruzji. W ostatnim czasie baza naszych klientów znacząco wzrosła. To nie tylko kupcy detaliczni, ale także ci zarabiający na wydobyciu.

Co więc się zmieniło? Kopacze w Gruzji porzucili bitcoina, którego wydobywanie stało się mniej opłacalne, i przenieśli się na inne, łatwiejsze do pozyskania wirtualne waluty, takie jak helium.

– W ciągu ostatnich trzech miesięcy tylko w Tbilisi pojawiło się około 100-200 urządzeń wydobywających tę kryptowalutę – mówi Gwazawa.

Pożeracze prądu

Przed nowym rokiem w Mestii, stolicy wysokogórskiej Swanetii w północnej Gruzji, w jednym z kościołów mieszkańcy obiecali sobie, że wstrzymają się z nielegalnym kopaniem kryptowalut. Ten proceder rozpowszechnił się dzięki

PAVEL MIKHEYEV / REUTERS / FORUM

Wnętrze kopalni kryptowalut, Jekybastuz, listopad 2021 r.

brakowi opłat za prąd dla gospodarstw domowych, co w założeniu miało służyć rozwojowi regionu.

W zimowych warunkach, gdy zapotrzebowanie na energię jest znacznie większe, komputery pracujące na pełnych obrotach powodują liczne awarie linii wysokiego napięcia. Ich naprawa w górach zimą jest nie lada wyzwaniem. Natomiast ciemność i chłód skutecznie odstraszają turystów, dzięki którym zarabia wielu mieszkańców Swanetii.

Postanowienia noworoczne, jak to zazwyczaj bywa, przyniosły marny efekt. W pierwszych dniach stycznia firma Energo Pro Georgia dostarczająca prąd do regionu poinformowała, że zużycie energii na takim poziomie jest niemożliwe do utrzymania. Mestia, stolica Swanetii, zużywa 27 megawatów zamiast 7 megawatów, które – jak szacowano – miały w zupełności zaspokoić potrzeby dwutysięcznego miasta.

Drugim regionem, gdzie konsumpcja energii wymknęła się spod kontroli, jest nieuznawana przez większość świata Abchazja. Separatystyczny region działa w ramach wspólnego z Gruzją systemu energetycznego. Od 2019 r. rozpoczął się tam boom wydobycia kryptowalut, co doprowadzało do regularnych przerw w dostawach prądu. Samozwańcze władze republiki próbują się uporać z komputerowymi kopalniami, ale bezskutecznie. Choć teren zamieszkuje tylko ok. 250 tys. osób, powstało tam 625 kopalń kryptowalut. Jak mówi analityk do spraw energetyki Wachtang Minadze, Abchazja zużywa więcej prądu niż stolica Gruzji Tbilisi, zamieszkała przez 1,1 mln ludzi. Czyli *per capita* mieszkańcy nieuznawanej republiki zużywają go ponad czterokrotnie więcej.

– W Abchazji zużywa się więcej prądu na osobę niż w Niemczech czy Korei Południowej – mówi Minadze.

Nuka Mszwidobadze, także zajmująca się rynkiem energetycznym, zaznacza, że legalne kopalnie płwwacące rachunki nie powinny być ograniczane, bo – jak mówi – to biznes jak każdy inny. – To nie tylko wydobycie kryptowalut odpowiada za zużycie energii. Rośnie gospodarka, więc zużywa się więcej prądu – twierdzi.

Dodaje, że ten trend się utrzyma w przyszłości. Rozwiązanie widzi w energii odnawialnej, która zmniejszy ślad węglowy rosnącej konsumpcji, a także nie będzie blokowała rozwoju gospodarki.

Koniec Dzikiego Zachodu

O negatywnym wpływie kopania wirtualnych monet na środowisko często mówią różne rządy i organizacje międzynarodowe, ale niekoniecznie to jest ich największym zmartwieniem.

– Nie wiem, czy regulatorzy tak bardzo zaczęli troszczyć się o planetę, czy jest to po prostu przekonujący argument, dzięki któremu można podjąć działania zmierzające do ukrócenia prawnej samowolki – mówi Filip Konopczyński.

Decyzje władz Kosowa wpisują się w szerszy trend. Przykłady radzenia sobie z rynkiem zdecentralizowanych systemów finansowych można mnożyć. Od zeszłego roku Iran wprowadza czasowe moratoria na kopanie kryptowalut. Rosja od samego początku niechętnie przygląda się zdecentralizowanym systemom finansowym opartym na blockchainie. W tym roku bank centralny chce zabronić inwestycji w kryptowaluty na terenie kraju, by utrudnić pranie pieniędzy i finansowanie terroryzmu. W Szwecji przebąkuje się o zakazaniu ich wydobycia, a także proponuje, by stało się tak na terenie całej Unii Europejskiej. Islandia, która posiada duże złoża energii geotermalnej, ze względu na znajdujący się tam energochłonny przemysł ciężki i centra przetwarzania danych ogłosiła, że od grudnia ubiegłego roku nie zezwala na powstawanie nowych kopalń kryptowalut.

George Gwazawa z CryptX Group przekonuje jednak, że branża wychodziła już z większych opresji. – W przeszłości bitcoin kilkukrotnie tracił od 50 do 80 proc. wartości – mówi. – Za jakiś czasy kryptowaluty znowu wystrzelą.

Uważa, że regulacje do pewnego stopnia wyjdą branży na korzyść. – Wcześniej był to dziki zachód. Każdy robił, co chciał, dopuszczano się działań niezgodnych z prawem. Jeśli branża chce przetrwać i się rozwijać, pewne regulacje są konieczne – dodaje.

Konopczyński uważa, że jest to naturalny proces każdej nowej sfery biznesu. Firmy, które skorzystały na braku regulacji i dzięki temu zbudowały pozycję, teraz chcą działać, opierając się na zasadach, i chronić swoje interesy przed zakusami bezwzględnej konkurencji.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Cena zbliżenia

BARTOSZ KOWALSKI

W tym roku kończy się ważność poufnej umowy, którą Watykan i Chiny zawarły prawie cztery lata temu. Kto na niej zyskał?

Papież Franciszek niechętnie komentuje swoją politykę wobec komunistycznych Chin. Mimo to we wrześniu 2021 r. udzielił wywiadu radiowego, w którym bronił układu, jaki trzy lata wcześniej Watykan zawarł z Pekinem w sprawie nominacji chińskich biskupów. Odwołując się do logiki zimnowojennej *Ostpolitik* wobec państw komunistycznych, Franciszek starał się dowieść, że strategia „małych kroków" przełożyła się wtedy na postępy dyplomatyczne i poszerzyła zakres swobód religijnych w Europie Środkowo-Wschodniej. Jednocześnie przyznał, że efekty umowy z 2018 r. mogą być dla niektórych wątpliwe, a Chiny nie są łatwym partnerem.

Tymczasowe (bo pierwotnie zawarte na dwa lata) porozumienie podpisano w okresie, gdy sprawy religijne w Chinach pod rządami Xi Jinpinga zostały niemal całkowicie podporządkowane partii komunistycznej i jej państwu. Krajowe Biuro ds. Religijnych (odpowiednik Urzędu ds. Wyznań w PRL), które dotąd podlegało rządowi, w 2018 r. wcielono do Wydziału Zjednoczonego Frontu Pracy Komitetu Centralnego KPCh, czyli poddano bezpośredniej kontroli partyjnej.

Upartyjnienie spraw religijnych idzie w parze z powtarzającymi się apelami Xi Jinpinga o sinizację religii – nasycenie jej „kulturą chińską" i adaptowanie do teologii socjalizmu z chińską specyfiką. Zgodnie z wytycznymi Xi główne cele „pracy religijnej" to, jak to jest ujmowane, przeciwdziałanie zagranicznej infiltracji i religijnemu ekstremizmowi. Dotyczy to zwłaszcza religii „obcych": chrześcijaństwa i islamu.

Mimo to – i mimo strukturalnych różnic między Chinami a Watykanem – w 2020 r. oba państwa przedłużyły wspomnianą umowę na dwa lata. W tym roku będą musiały podjąć decyzję, czy znów ją przedłużyć. Jaki jest bilans tej próby zbliżenia?

Papież Franciszek z grupą pielgrzymów z Chin podczas cotygodniowej audiencji generalnej na placu św. Piotra w Watykanie. 2 października 2019 r.

Władza partii czy papieża?

Większość z 10 mln katolików w Chinach należy do Kościoła oficjalnego, podlegającego strukturom partyjno-państwowym i oficjalnie nieuznającego zwierzchnictwa papieża. Pozostali związani są z Kościołem podziemnym, którego biskupi nie są nominowani lub akceptowani przez władze w Pekinie.

We wrześniu 2018 r. Watykan i Chiny osiągnęły porozumienie – jego treści nie ujawniono – na mocy którego papież miał uzyskać prawo głosu w procesie nominowania biskupów w Kościele oficjalnym. W zamian Watykan uznał biskupów desygnowanych poprzednio przez władze komunistyczne, akceptując nawet część tych biskupów, których wcześniej ekskomunikował. Według nieoficjalnych informacji w praktyce wygląda to tak, że zgodnie z tą umową Chiny przedstawiają Watykanowi kilku kandydatów na biskupa, spośród których papież wybiera jednego.

Teoretycznie Franciszek ma więc ostatnie słowo. Jednak w praktyce Pekin wskazuje tylko kandydatów lojalnych wobec siebie. W ten sposób umowa uprzywilejowuje Chiny, gdyż władze w Pekinie będą zawsze wysuwać kandydatów zaufanych. Natomiast Watykan nie może – z uwagi na potrzeby duszpasterskie – odrzucać kandydatur strony chińskiej w nieskończoność. Tym samym prerogatywy Watykanu w zakresie powoływania biskupów wydają się pozorne. Możemy jednak w tej kwestii opierać się jedynie na źródłach nieoficjalnych, gdyż szczegółowe zapisy umowy są ściśle strzeżone przed oczami wiernych.

Jakie cele ma Watykan?

Motorem porozumienia z 2018 r. była strona watykańska i sam papież, dla którego relacyjność jest często ważniejsza od doktryny – co widać choćby na przykładzie deklaracji zawartej z sunnickimi muzułmanami w Abu Zabi w 2019 r.

Koncyliacyjny kierunek polityki zagranicznej Watykanu dotyczy też wysiłków na rzecz normalizacji stosunków z komunistycznym Chinami – śladami wydeptanymi przez Jana Pawła II. W listopadzie 1983 r. ówczesny papież napisał list do przywódcy Chin Deng Xiaopinga, w którym – sygnalizując ustępstwa w kwestii Tajwanu (Watykan utrzymuje z nim relacje dyplomatyczne) – domagał się bezpośredniego kontaktu między Watykanem a chińskimi władzami. List pozostał bez odpowiedzi.

Główną przesłanką stojącą dziś za watykańską ideą *reapprochement* [pojednania – red.] z Pekinem jest uzyskanie formalnej kontroli nad mianowaniem biskupów w Chinach (zakładając, że takie istotnie są założenia porozumienia z 2018 r.). Jednak po upływie trzech lat w chińskim prawodawstwie nie ma śladu po tej umowie, a Watykan nie jest w nim wymieniany jako podmiot procesu nominowania biskupów.

Co więcej, zgodnie z przepisami dotyczącymi pracowników organizacji religijnych z maja 2021 r. tzw. personelowi religijnemu – w przypadku katolików: księżom i biskupom – zabrania się poddawać obcej dominacji i bez autoryzacji przyjmować stanowiska w hierarchii religijnej od zagranicznych struktur oraz podejmować się działań, które podważają zasadę niezależności administracji religijnej.

Kontrola Watykanu nad mianowaniem biskupów jest więc gwarantowana jedynie przez ów tajny układ, który najwyraźniej stoi w sprzeczności z chińskim prawodawstwem. Naturalnie jeśli umowa daje papieżowi prawo do współdecydowania o nominacjach, a Chiny respektują jej postanowienia, Stolica Apostolska zyskałaby pewien wpływ, którego dotąd nie miała (nad kapłanami Kościoła podziemnego i tak nie posiadała pełnej kontroli).

Po stronie zysków należy odnotować, że Watykan zdołał utworzyć pierwszą nową diecezję w Chinach od momentu przejęcia władzy przez komunistów w 1949 r. Niektórzy obserwatorzy postrzegają to jako rezultat umowy z 2018 r. i znak oficjalnego uznania przez Pekin instytucjonalnej władzy papieża na chińskim terytorium. Biorąc jednak pod uwagę instrumentalne podejście Chin do prawa oraz fakt, że to stronie watykańskiej bardziej zależało na podpisaniu umowy, wydaje się, że swobodne interpretowanie przepisów przez władze chińskie nie będzie otwarcie kwestionowane przez papieża.

Co Chiny zyskują w zamian?

Z perspektywy Pekinu główną kwestią jest Tajwan, gdyż Watykan jest dziś jedynym państwem Europy, które formalnie uznaje władze w Tajpej. Prócz pogłębiania dyplomatycznej izolacji Tajwanu, celem Pekinu jest skłonienie Watykanu do odżegnywania się od publicznej krytyki Chin. Faktycznie w ostatnich latach Watykan konsekwentnie unikał otwartego angażowania się, które Pekin mógłby interpretować jako akt „ingerencji w wewnętrzne sprawy Chin".

Być może najbardziej jaskrawym efektem tej polityki jest fakt, że Franciszek nie przedstawił dotąd publicznego stanowiska w sprawie represji i radykalnej asymilacji Ujgurów i innych muzułmańskich mniejszości w Sinciangu [o sytuacji w tym regionie pisaliśmy w „TP" nr 17 i 25/2021 – red.]. Choć napomknął o tym w swej książce opublikowanej w 2020 r., trudno to uznać za publiczną deklarację. Papież nie odniósł się w tej książce w ogóle do sytuacji katolików w Chinach, co można odczytać jako kolejną koncesję na rzecz Pekinu.

Najwyraźniej z tych samych powodów Watykan nie został sygnatariuszem Deklaracji przeciwko Arbitralnym Zatrzymaniom w Relacjach Międzypaństwowych, zainicjowanej przez Kanadę w lutym 2021 r. Poza Stolicą Apostolską spośród państw Europy tylko najbliżsi partnerzy polityczni Pekinu zdystansowali się od dokumentu, w tym Rosja, Białoruś i Węgry.

Z perspektywy KPCh ważną rolę w procesie normalizacji relacji z Watykanem odgrywa coś jeszcze. Umowa będzie prowadzić również do – przynajmniej częściowego – ujawniania się członków Kościoła podziemnego i ich akcesji do struktur oficjalnych. Zdaniem badacza Marka Tylkowskiego na skutek tej umowy zmniejszać będzie się więc liczba biskupów podziemnych, a wierni i biskupi pragnący trwać w Kościele podziemnym będą nieuchronnie tracić kontakt z Kościołem hierarchicznym. Pekin może wykorzystywać to do stygmatyzowania i prześladowania ich jako sekty.

Bilans zbliżenia

Mimo umowy z 2018 r. w ostatnich latach sytuacja katolików w Chinach nie poprawiła się. Przeciwnie – stopień prześladowań i inwigilacji duchownych i wiernych się zwiększył, zwłaszcza tych skupionych w Kościele podziemnym. Nadal zdarzają się wyburzenia obiektów sakralnych lub ich zamykanie pod byle pretekstem; krzyże są usuwane z budynków kościelnych, a księża i zakonnice, którzy nie chcą się podporządkować władzom, są zatrzymywani. Natomiast w Kościele oficjalnym panuje więcej względnej swobody, która jednak idzie w parze z cenzurą katolickiego nauczania i polityczną indoktrynacją wiernych. Skala presji wywieranej na katolików jest przy tym w Chinach zróżnicowana regionalnie i często zależy od stopnia elastyczności władz lokalnych wobec aktywności wiernych i duchowieństwa.

Cele, które przyświecały Watykanowi przy tej umowie, wydają się z kolei trudne do zrealizowania, gdyż są sprzeczne z systemowymi i ideologicznymi uwarunkowaniami Chin komunistycznych. W ten sposób umowa jest korzystna przede wszystkim dla Pekinu, sankcjonując w gruncie rzeczy stosowaną wcześniej praktykę wyboru biskupów z grona zaufanych z punktu widzenia władz. Można też zakładać, że jeśli Watykan naruszy „wewnętrzne sprawy Chin", Pekin po prostu zerwie umowę. Ponadto, jak już powiedziano, Watykan nie jest wymieniany w chińskich przepisach (jako czynnik w procesie desygnowania biskupów), co wskazuje, że faktyczna wartość umowy z 2018 r. jest niewielka.

Z politycznego punktu widzenia porozumienie jest więc dla Watykanu głównie narzędziem utrzymania obecności instytucjonalnej w Chinach i (choćby ograniczonej) kontroli nad katolikami i duchowieństwem. Jednak w obliczu postępującej sinizacji religii w ChRL trudno uznać za realny scenariusz, w którym władze przyznają Kościołowi katolickiemu koncesję na stworzenie wyłomu w polityce ścisłej kontroli własnych obywateli. ©

Autor jest adiunktem w Katedrze Studiów Azjatyckich Uniwersytetu Łódzkiego i analitykiem w Ośrodku Spraw Azjatyckich UŁ. Anglojęzyczna wersja tekstu ukazała się także na portalu chinaobservers.eu.

MASSIMO VALICCHIA / NURPHOTO / GETTY IMAGES

ROBERT GAUTHIER / LOS ANGELES TIMES / GETTY IMAGES

Przed zebraniem rady szkolnej, podczas której ma być omawiany proponowany zakaz nauczania krytycznej teorii rasowej w szkołach. Yorba Linda, Kalifornia, listopad 2021 r.

Pozdrowienia ze strzelnicy

MARTA ZDZIEBORSKA

Wyzwiska, groźby śmierci i patrole policji pod domem – to rzeczywistość urzędników amerykańskich kuratoriów oświaty. W spolaryzowanym kraju konflikt kulturowy nie omija także szkół.

Jest 6 stycznia 2021 r., sześć godzin po szturmie zwolenników Donalda Trumpa na Kapitol. Kristen McNeill, kuratorka oświaty z 470-tysięcznego hrabstwa Washoe w stanie Nevada, publikuje na Facebooku oświadczenie. Potępia w nim waszyngtońskie zamieszki i oferuje pomoc psychologa, gdyby uczniowie jej potrzebowali. W końcu telewizyjne relacje ze szturmu wstrząsnęły Amerykanami (i światem) – w ciągu zaledwie kilkudziesięciu minut rozwścieczony tłum wybił szyby w budynku Kapitolu, miejscu uchodzącym dotąd za nietykalne i za symbol amerykańskiej demokracji. Atakujący wtargnęli na salę obrad, plądrowali biura kongresmenów.

Z punktu widzenia McNeill, kuratorki i nauczycielki z niemal 30-letnim stażem, tak należało zareagować na waszyngtońskie zamieszki. Innego zdania są jednak rodzice uczniów, którzy zarzucają jej stronniczość i uważają, że nie powinna zajmować stanowiska w sprawach politycznych. Tylko w ciągu jednej nocy pod opublikowanym na Facebooku oświadczeniem kuratorki pojawia się niemal 800 komentarzy.

„Dorwijmy ich w domu"

Wydarzenia z 6 stycznia 2021 r. uruchamiają falę hejtu wobec Kristen McNeill i innych członków kuratorium oświaty, które w USA składa się z wyłonionych w lokalnych wyborach aktywistów (jest to działalność społeczna, pełniona równolegle z pracą zawodową). Na spotkaniach gremium odpowiedzialnego za funkcjonowanie szkół w hrabstwie Washoe pojawiają się rozeźleni rodzice. Siłą rozpędu protestują nie tylko w sprawie oświadczenia kuratorki, ale także przeciwko szkolnemu nakazowi noszenia maseczek i nowemu programowi edukacji seksualnej, który uwzględnia prawa uczniów LGBT.

Nagonka przenosi się także do internetu, gdzie członkowie kuratorium padają ofiarami bezpośrednich obelg i gróźb. Ktoś publikuje nawet adresy zamieszkania wszystkich urzędników, sugerując, że najwyższa pora, by „dorwać ich w domu". Groźby odnoszą skutek – z zasiadania w kuratorium rezygnują trzy osoby, a Kristen McNeill ogłasza odejście na wcześniejszą emeryturę.

Spacer z paralizatorem

– Nie tak wyobrażałem sobie działania społecznikowskie – mówi „Tygodnikowi" Kurt Thigpen, marketingowiec z Reno (stolicy hrabstwa Washoe), który rozpoczął wolontariat dla kuratorium zaledwie dwa dni przed szturmem na Kapitol.

Thigpen wspomina, że nagonka ze strony rodziców na początku omijała go szerokim łukiem. Wszystko zmieniło się, gdy podczas jednego ze spotkań zabrał głos przeciwko atakom na kuratorkę Kristen McNeill.

Od tamtej pory Kurt, zdeklarowany gej, zaczął dostawać dziesiątki maili, telefonów i obraźliwych wiadomości w mediach społecznościowych. To uruchomiło w nim traumatyczne wspomnienia z czasów, gdy jako nastolatek padł ofiarą homofobicznych prześladowań. Wystarczyło zaledwie kilka miesięcy, by po dołączeniu do kuratorium oświaty mężczyzna nabawił się depresji i myśli samobójczych.

– Po raz kolejny w swoim życiu cierpiałem na napady lękowe, bezsenność i miałem objawy psychosomatyczne, takie jak silny ból serca – wspomina Kurt. – W pewnym momencie było tak źle, że nie byłem

w stanie wstać rano z łóżka. Bałem się wychodzić z domu, nie mówiąc już o udziale w zebraniach kuratorium oświaty. Musiałem w końcu zrezygnować – dodaje.

Po tym, jak w sierpniu 2021 r. odszedł z kuratorium, Kurt Thigpen nadal zachowuje ostrożność. Zamontował w domu monitoring, nie udostępnia na Facebooku swojej lokalizacji, chodzi z paralizatorem w kieszeni.

Jak uczyć o rasizmie

W historii Kurta Thigpena z Nevady jak w lustrze mogą przejrzeć się członkowie innych kuratoriów oświaty, którzy w spolaryzowanej Ameryce stali się ofiarami nagonek.

Problem przybrał na sile już wcześniej – wiosną i latem 2020 r., gdy podczas pierwszej fali pandemii sfrustrowani rodzice protestowali przeciw zamykaniu szkół i przejściu na zdalne nauczanie. Potem było już tylko gorzej: wraz z falą demonstracji po zabójstwie czarnoskórego George'a Floyda – zaczęły się one z końcem maja 2020 r. – lokalni aktywiści zaczęli spierać się o to, jak uczyć o historii rasizmu w USA.

W ślad za narracją Partii Republikańskiej niektórzy rodzice zaczęli zarzucać kuratoriom, że chcą indoktrynować dzieci tzw. krytyczną teorią rasy. To akademicka koncepcja, która zakłada, że lata niewolnictwa i segregacji rasowej doprowadziły do utrwalenia rasizmu w amerykańskich instytucjach. Spór na ten temat zaszedł tak daleko, że w wielu szkołach żądano usunięcia z listy lektur książek czarnoskórej noblistki Toni Morrison, bo zdaniem rodziców utrwala w dzieciach poczucie winy za mroczny okres w historii USA.

W Teksasie, Kansas czy Karolinie Południowej na celowniku znalazły się również biografie osób LGBT – co można rozpatrywać jako kolejną odsłonę „antytęczowej" kampanii w republikańskich stanach. Jednym z najbardziej gorących tematów w 2021 r. stały się propozycje ustaw, które zakazują transseksualnym nastolatkom startowania w zawodach szkolnych zgodnie z odczuwaną przez nich tożsamością płciową.

„Zasługujesz na gwałt"

Wraz z zaostrzaniem się w USA wojen kulturowych – teraz wzmocnionych za sprawą sporów o przepisy sanitarne, np. o maseczki – spotkania lokalnych kuratoriów oświaty odbywają się w obecności policji. Funkcjonariusze nierzadko muszą wypraszać z sali agresywnych rodziców, a burzliwe zebrania przeciągają się nawet do późna w nocy.

ARCHIWUM PRYWATNE

KURT THIGPEN *z Reno, były wolontariusz w kuratorium, po kilku miesiącach prześladowań nabawił się depresji i myśli samobójczych.*

ASHTON BISNER / / ORANGE MEDIA NETWORK

SAMI AL-ABDRABBUH, *przewodniczący kuratorium oświaty w Corvallis, po zeszłorocznej walce o reelekcję zaczął dostawać pogróżki.*

Tak bywa również w 460-tysięcznej miejscowości Virginia Beach, gdzie po skończonych obradach członkowie kuratorium eskortowani są przez policję do samochodów. Echem w Stanach Zjednoczonych odbiło się też spotkanie w kalifornijskim Poway, gdzie we wrześniu 2021 r. grupa aktywistów wtargnęła na salę obrad i w samozwańczym głosowaniu próbowała odwołać członków kuratorium. Protestujący mieli transparenty z hasłami: „Krytyczna teoria rasy uczy nienawiści, rasizmu i podziałów" oraz „Pozwólcie im oddychać: zdejmijcie naszym dzieciom maseczki".

Sprawa pandemicznych restrykcji budzi zresztą tak duże emocje, że lokalni urzędnicy wyzywani są od zdrajców Ameryki, a niekiedy otrzymują groźby śmierci i groźby napaści seksualnej. Lokalny dziennik „Philadelphia Inquirer" opisuje historię Christine Toy-Dragoni, przewodniczącej kuratorium oświaty w Pensylwanii, która w otrzymanej wiadomości przeczytała, iż wszystkie kobiety w jej rodzinie zasłużyły na gwałt.

Równie poruszająca może być historia z 22-tysięcznego miasteczka Hastings w Minnesocie, gdzie nagonka na ubiegającą się o reelekcję Kelsey Waits uderzyła w jej transseksualną córkę. Antymaseczkowi aktywiści dokonali coming outu ośmiolatki na Facebooku, sugerując, że jej matka powinna trafić za kratki za „znęcanie się nad własnym dzieckiem". Ostatecznie Waits przegrała wyścig o reelekcję i zdecydowała się na przeprowadzkę do innego miasta.

„Zagłosuj na Samiego"

O tym, jaką cenę płaci się za sprawą postępującej polaryzacji, przekonał się również Sami Al-Abdrabbuh. Przewodniczący kuratorium oświaty w Corvallis w stanie Oregon mówi „Tygodnikowi", że po zeszłorocznej walce o reelekcję zaczął dostawać pogróżki.

– Najpierw ktoś przysłał mi anonimowo esemesa ze zdjęciem ze strzelnicy – wspomina Sami Al-Abdrabbuh. – Na zdjęciu zobaczyłem podziurawioną kulami tablicę z hasłem mojej kampanii „Zagłosuj na Samiego". Kilka dni później dostałem ostrzeżenie od sąsiada, który słyszał, jak jakiś wściekły mężczyzna odgrażał się, że mnie zabije.

Od tamtego czasu Al-Abdrabbuh ma się na baczności – jest w regularnym kontakcie z policją, przed wyjściem z domu sprawdza w kamerze teren posesji i stara się jeździć do pracy codziennie nieco inną trasą.

Specjalne środki bezpieczeństwa stosuje również czarnoskóra Tarece Johnson ze stanu Georgia, która po nagonce w mediach społecznościowych kupiła sobie broń i zainwestowała w domowy system monitoringu. Johnson mówi „Tygodnikowi", że szczególnie niepewnie czuje się podczas zebrań kuratorium oświaty, które zbyt często wymykają się spod kontroli.

Tarece Johnson wspomina burzliwą sesję z maja 2021 r., gdy niemal stuosobowy tłum odmówił założenia maseczek i wdał się w 40-minutową awanturę słowną z urzędnikami. Najbardziej oberwała wówczas Tarece i inna czarnoskóra członki gremium, Karen Watkins. Gdy obie kobiety w geście protestu wyszły z sali, zostały wygwizdane i wyzwane od tchórzy.

Zatroskani rodzice

Nagonką wobec urzędników kuratoriów oświaty zajmuje się już amerykański Departament Sprawiedliwości. Jesienią 2021 r. nakazano monitorowanie nadużyć w ściślejszej współpracy między ↦

agentami Federalnego Biura Śledczego (FBI), prokuratorami federalnymi i lokalną policją. Kilka miesięcy wcześniej amerykańskie służby otrzymały podobne polecenie, by zwiększyć ochronę pracowników lokali wyborczych.

Ci znaleźli się na celowniku sympatyków Donalda Trumpa, który przez długie miesiące rozsiewał kłamstwa, że to on, a nie Joe Biden, zwyciężył w wyborach prezydenckich w 2020 r. Powyborcza retoryka Trumpa podziałała. Jak wynika z sondażu przeprowadzonego przez Brennan Center for Justice, niemal jedna trzecia pracowników lokali wyborczych nie czuje się bezpiecznie wykonując swoje obowiązki, co coraz częściej skłania ich do rezygnacji ze stanowiska.

Na taki krok decydują się również członkowie kuratoriów oświaty, których sytuacja wykorzystywana jest do walki politycznej. Pokazuje to choćby awantura o wspomniane wytyczne Departamentu Sprawiedliwości. Tuż po ich wprowadzeniu prokuratorzy generalni z 17 republikańskich stanów opublikowali oświadczenie, w którym argumentowali, że ściślejszy monitoring nadużyć wobec kuratoriów oświaty jest „zastraszaniem rodziców mających zastrzeżenia dotyczące szkolnego programu nauczania". Dostało się też szefowi Departamentu Sprawiedliwości Merrickowi Garlandowi, który zdaniem republikańskich kongresmenów traktuje zaangażowanych rodziców jak „terrorystów".

Tylko nie zamykajcie szkół

Amerykańska wojna o edukację sprawia, że na kampanie wyborcze kandydatów do kuratoriów oświaty wpływają rekordowe środki. Dziennik „Washington Post" podaje, że tylko w stanie Kolorado na ten cel zebrano w 2021 r. aż 1,9 mln dolarów.

Darowizny wpłacają zarówno związki nauczycielskie, jak osoby prywatne – np. darczyńca określający się mianem „zatwardziałego Republikanina" przekazał kilku kandydatom pół miliona dolarów. Zrobił to z nadzieją, że w przypadku wygranej będą oni blokować postulat nauki zdalnej w szkołach. Darowizna od konserwatywnego działacza trafiła m.in. do Jessie Bradiki, 43-letniej uczestniczki waszyngtońskich zamieszek z 6 stycznia 2021 r., która w trakcie kampanii przekonywała, że należy przywrócić równowagę w „zbyt liberalnym" lokalnym kuratorium.

Ostatnie miesiące pokazały, że konserwatywne środowiska w USA inwestują też w „swoich" kandydatów. Np. waszyngtońska organizacja FreedomWorks stworzyła sześciotygodniowy program szkoleń, podczas których uczy przyszłych kandydatów, jak skutecznie torpedować obowiązek noszenia maseczek i propozycje nauczania krytycznej teorii rasy w szkołach.

Ten ostatni wątek wzbudza już tak wiele emocji, że stał się jednym z tematów wyścigu o fotel gubernatora Wirginii w 2021 r. Zwycięski kandydat Partii Republikańskiej Glenn Youngkin zapewniał wyborców, że nie dopuści do bombardowania dzieci lekcjami o systemowym rasizmie, a także insynuował, że jego rywal – Terry McAuliffe z Partii Demokratycznej – chce uciszyć w tej sprawie „zatroskanych i konserwatywnych rodziców". Zapędzony do narożnika, McAuliffe powiedział, że „rodzice nie powinni mówić szkołom, co mają robić". Youngkin oczywiście wykorzystał to w swoich spotach wyborczych.

Atak paniki

Upolityczniony w Wirginii temat edukacji uderzył ze zdwojoną siłą w kuratorium oświaty w hrabstwie Loudoun, które jest „sypialnią" dla zamożnych ludzi pracujących w pobliskim Waszyngtonie. Po miesiącach burzliwych sporów sprawa zaszła tam tak daleko, że policja zaczęła ochraniać domy urzędników.

W najtrudniejszej sytuacji znaleźli się trzej członkowie tego gremium, wobec których konserwatywni rodzice wszczęli procedurę odwoławczą. Jedna z urzędniczek, 50-letnia Beth Barts, nie czekała na finał i sama złożyła rezygnację po tym, jak po raz kolejny doznała ataku paniki. Dziennikowi „Washington Post" tłumaczyła, że do incydentu doszło, gdy tuż po północy spod jej domu odjechał policyjny radiowóz. Szykanowana od miesięcy, Barts poczuła się bezbronna i zrozumiała, że musi sama zadbać o bezpieczeństwo swojej rodziny.

Następnego dnia złożyła rezygnację i napisała na Facebooku, że wraca do normalnego życia. © MARTA ZDZIEBORSKA

REKLAMA

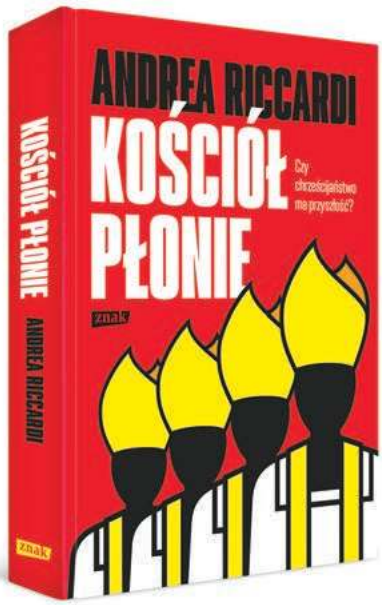

CZY CHRZEŚCIJAŃSTWO MA PRZYSZŁOŚĆ?

Andrea Riccardi, znany i ceniony komentator życia Kościoła, o kryzysie wiary i przyszłości chrześcijaństwa

Co doprowadziło do kryzysu wiary w Europie?
Czy wyobrażasz sobie Kościół bez papieża?
Czy Kościół jest moralnym bankrutem?

Premiera 9.02.2022

znak KSIĘGARNIA znak

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PATRONITE

Zostań Patronem Podkastu Powszechnego

Na przegląd najciekawszych wydarzeń naukowych miesiąca w Podkaście Powszechnym zaprasza kosmolog i filozof Łukasz Lamża, laureat Nagrody im. Tischnera.

Wejdź na **Patronite.pl/TygodnikPowszechny** i wesprzyj niezależne dziennikarstwo

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA

Słuchaj na **TygodnikPowszechny.pl/podkast**

PORTRET

ZRĘCZNY CZŁOWIEK

Richardowi Leakeyowi udawało się wszystko, do czego się w życiu zabrał. Pomógł udowodnić, że kolebką ludzkości jest wschodnia Afryka, ocalił przed wyginięciem stada słoni i nosorożców, przeżył katastrofę lotniczą. Nie został tylko prezydentem.

WOJCIECH JAGIELSKI

CHIP HIRES / GAMMA-RAPHO / GETTY IMAGES

Paleontologia była mu przeznaczona, choć długo przed nią uciekał. Odkrywcami i badaczami skamielin byli jego rodzice, Mary i Louis. Pół życia zeszło im na poszukiwaniu w krainie Wielkich Rowów Afrykańskich śladów najstarszych przodków człowieka. W 1964 r., w wąwozie Olduvai na pograniczu między Kenią i Tanzanią, niedaleko Parku Narodowego Serengeti, znaleźli szczątki i narzędzia człowieka zręcznego, *Homo habilis*, żyjącego między 2,5 a milionem lat temu, i ogłosili, że to właśnie on był pierwszym naszym przodkiem, a wschodnia Afryka – naszą kolebką.

Poszukiwawcze wyprawy nie zostawiały Leakeyom czasu ani uwagi na inne sprawy, w tym rodzinę. „Nigdy nie powiedziałbym, że w naszej rodzinie byliśmy sobie bliscy – powiedział kiedyś Richard Leakey, środkowy z ich trzech synów. – Nauka i wyprawy zawsze miały pierwszeństwo".

Leakeyowie zabierali synów na wyprawy, starsi Jonathan i Richard pomagali w pracach przy wykopaliskach, ucząc się, chcąc nie chcąc, sztuki paleontologii. Zwłaszcza Richard zdradzał niezwykły instynkt poszukiwacza skamielin. Pierwszego odkrycia – szczęki wymarłego gatunku świni – dokonał jako kilkuletni brzdąc. „Byłem wściekły, gdy mi ją odebrali – wspominał po latach. – Do dziś czuję złość, jak sobie to przypominam". Potem wiele razy narzekali z bratem, że wszystkie zasługi poszukiwawcze przypisywane były rodzicom.

Stare zadry sprawiły, że zerwał z paleontologią. Nie chciał mierzyć się z osiągnięciami rodziców. Jako szesnastolatek rzucił szkołę i oznajmił rodzicom, że studiować też nie zamierza (lubił się przechwalać, że uniwersytety odwiedzał wyłącznie jako wykładowca). Zamiast tego założył własną firmę, organizował wyprawy safari dla zagranicznych turystów, a kiedy zdobył licencję pilota, zabierał ich także w podniebne podróże nad Wielkimi Rowami Afrykańskimi.

Rodzice uszanowali jego wybór, a ojciec najął go nawet na zarządcę własnej wyprawy poszukiwawczej w dolinie Omo na zachodzie Kenii. Ale gdy Richard odkrył tam kolejną żuchwę, tym razem australopiteka, a znalezisko znów poszło na konto ojca, przeznaczenie upomniało się w końcu o młodszego z Leakeyów.

Czas juniora

Wściekły, postanowił skrzyknąć własną wyprawę. Miejsce miał już upatrzone. Podczas jednego z wycieczkowych lotów jego uwagę przyciągnęły skały na wschodnich brzegach Jeziora Rudolfa (dziś nosi nazwę Turkana). Instynkt go nie mylił. Geolodzy z Nairobi potwierdzili, że region Koobi Fora zbudowany jest z wulkanicznych osadów, uznawanych za najdoskonalsze miejsce na poszukiwanie skamielin.

Nie mówiąc nic ojcu, zwrócił się do Narodowego Towarzystwa Geograficznego z Waszyngtonu z prośbą o pieniądze na poszukiwania. Louis Leakey też liczył, że Towarzystwo przyzna mu kolejne fundusze na wykopaliska. Poczuł się upokorzony, gdy usłyszał, że pieniądze postanowiono przeznaczyć na koszty wyprawy jego syna, wówczas 23-letniego.

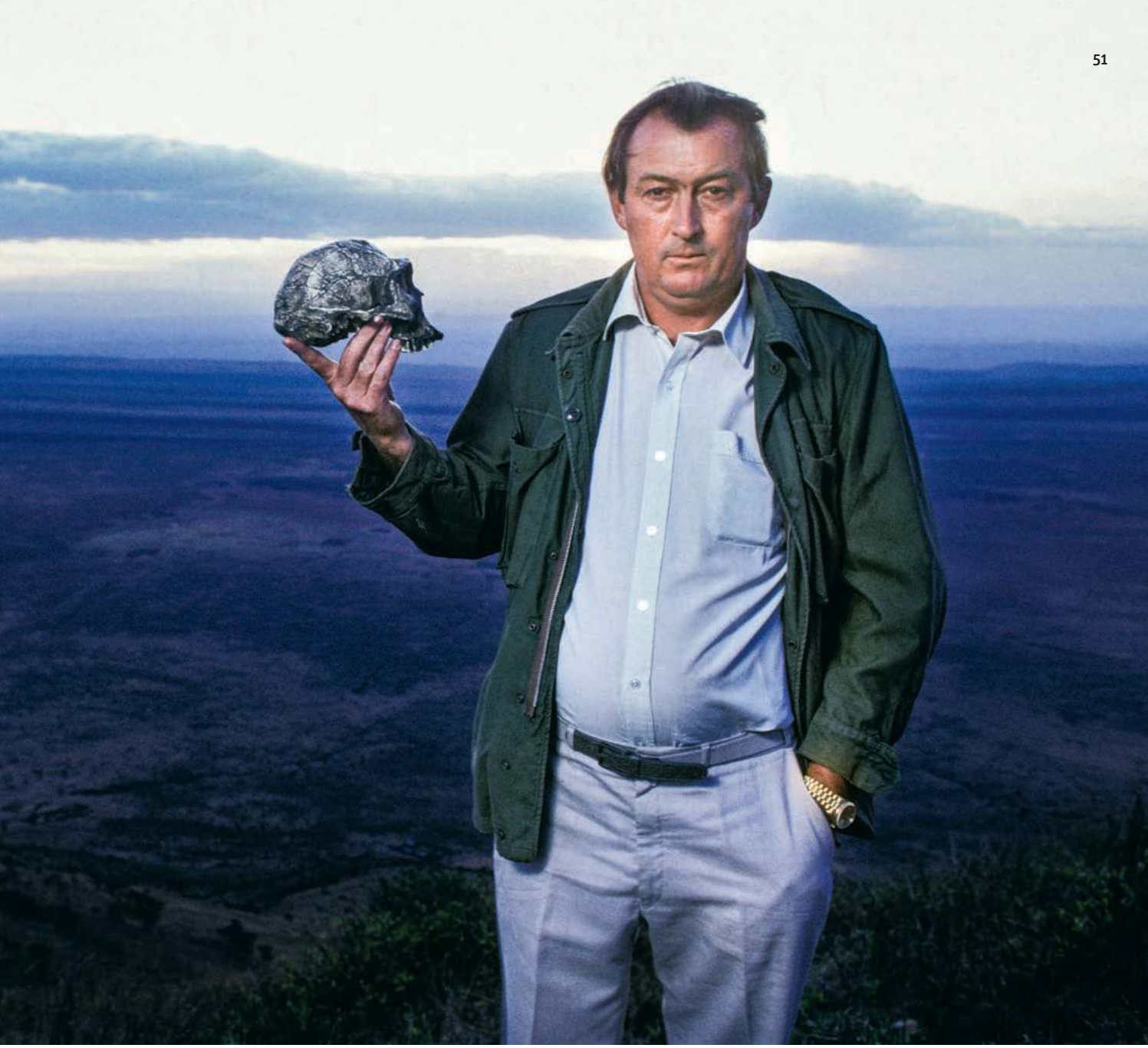

Richard Leakey z czaszką Homo erectus. Kenia, 1985 r.

Jeszcze tego samego 1967 r. Richard wyprawił się do Koobi Fora, które, tak jak się spodziewał, okazało się kopalnią skamielin. W ciągu następnego dziesięciolecia Leakey znalazł tam setki skamieniałości australopiteków i członków gatunków *Homo* (w tym najcenniejszą czaszkę sprzed prawie 2 mln lat), a także mnóstwo ich narzędzi z kamienia. Za najcenniejszą zdobycz Leakeya uważa się „chłopca z Turkany", doskonale zachowany szkielet ok. 12-letniego chłopca sprzed 1,5 mln lat, klasyfikowanego jako *Homo erectus*. Leakey odkrył go w 1984 r. Rzadko wybierał się już wtedy na wykopaliska.

Miał ledwie 24 lata, gdy w 1968 r. prezydent Jomo Kenyatta powołał go na dyrektora krajowych muzeów. Kenia dopiero od pięciu lat była niepodległym państwem, niewiele miała muzeów i raczej trzeba było je dopiero tworzyć, niż nimi zarządzać. Leakey sprawił się znakomicie i wkrótce kenijskie muzea zasłynęły jako najlepsze w całej Afryce.

Pisał też książki, podróżował z wykładami. Zyskał światową sławę. W 1977 r. trafił na okładkę tygodnika „Time", cztery lata później wystąpił w serialu dokumentalnym BBC poświęconym początkom dziejów człowieka i został telewizyjną gwiazdą. Pod koniec lat 80. mówiono, że poza najlepszymi na świecie biegaczami nie ma sławniejszego Kenijczyka niż Richard Leakey.

Słonie i nosorożce

Rozgłos i podziw, jakie towarzyszyły Leakeyowi, nasunęły następcy Kenyatty, prezydentowi Danielowi arap Moi, myśl, by powierzyć mu misję ratowania kenijskich parków narodowych oraz słoni i nosorożców wybijanych przez kłusowników.

Kenia, jedna z najbogatszych afrykańskich kolonii, uzyskawszy w 1963 r. niepodległość, zaliczała się do najlepiej urządzonych krajów Afryki. Dodatkowo wspierał ją Zachód, którego w epoce zimnej wojny pozostała najważniejszą na Czarnym Lądzie sojuszniczką. Pod koniec lat 80. korupcja i nieudolność lokalnych dygnitarzy i ją jednak wpędziły ↦

↦ w kłopoty. Kasa państwa świeciła pustką, a zła reputacja odstraszała cudzoziemskich dobrodziejów.

Co gorsza, po końcu zimnej wojny Kenia znalazła się w niełasce dawnych przyjaciół z Zachodu, którzy teraz zaczęli wytykać jej przywódcom upodobanie do dyktatorskich rządów i przymuszać ich do zaprowadzenia w kraju wielopartyjnej demokracji. Zachęceni w ten sposób przeciwnicy władz wszczynali uliczne zamieszki, a na zielonych wzgórzach dochodziło do krwawych porachunków między rywalizującymi ze sobą Kikujusami, Kalendżinami, Masajami i Luo. Z kraju spokojnego i zamożnego Kenia przeistaczała się w biedaczkę. Złote czasy przeżywali za to korzystający z chaosu kłusownicy, którzy w parkach narodowych Masai Mara, Tsavo i Amboseli urządzali polowania na słonie i nosorożce. W ciągu zaledwie dziesięciu lat liczba kenijskich słoni zmniejszyła się o trzy czwarte. Nosorożce wyginęły prawie wszystkie. Kenijskiej przyrodzie i turystyce groził krach, a na ich ratowanie nie było pieniędzy.

Moi liczył, że wyznaczając Leakeya do walki z kłusownikami przekona Zachód, by wyłożył pieniądze na ratowanie kenijskich parków narodowych. Znał dobrze Leakeya i wiedział, że tylko ktoś tak hardy i zawzięty może stawić czoła przestępcom. Zachód rzeczywiście przyjął jego nominację z radością, zachodnie rządy i banki nie pożałowały pieniędzy.

Leakey dostał od prezydenta Moi wolną rękę. Wtedy zażądał, by policjanci i strażnicy parków narodowych i dzikich zwierząt podlegali wyłącznie jemu, Leakeyowi, a nie jak dotąd ministrowi policji, objąwszy zaś nad nimi dowództwo, jedną trzecią ich zwolnił z pracy. Wyrzucił wszystkich, na których ciążyły zarzuty i podejrzenia o korupcję i konszachty z kłusownikami. Zastąpił ich nowymi strażnikami, o nieposzlakowanej opinii. Zapewnił im wysokie zarobki, by nie szukali dodatkowego dochodu u kłusowników. Utworzył z nich prawdziwe wojsko, uzbrojone w nowoczesne karabiny, samochody terenowe, a nawet śmigłowce i małe samoloty patrolowe. Wydał też rozkaz, by do napotkanych kłusowników strzelali bez ostrzeżenia. W kilka lat oczyścił parki narodowe z rabusiów i przemytników. Ocalił słonie, ale naraził się ludziom, którzy w jego królestwie dzikich zwierząt byli wyłącznie strażnikami albo groźnymi, niemile widzianymi intruzami.

Bwana mkubwa

„Mister Leakey myśli pewnie, że jest jakimś *bwana mkubwa*, wielkim paniskiem, że wszystkie rozumy pozjadał i rządzi naszymi parkami, jakby to była jego farma" – wyrzucał Leakeyowi William Ole Ntimama, ówczesny minister od samorządów i przywódca Masajów, którzy wydzierali parkom narodowym ziemię na pastwiska. Leakey zaś w wojnie o ziemię między dziką zwierzyną a ludźmi stanął po stronie zwierząt. Grodził parki drutem kolczastym, a całe wsie Masajów na jego rozkaz wysiedlono z Masai Mara. „Dobry Mister Leakey troszczy się o lwy, żyrafy i słonie, ale niedola ludzi jest mu obojętna".

Zwyczaj mówienia ludziom prawdy w oczy zawsze przysparzał mu nieprzyjaciół. Wielu miało go za zarozumialca i chwalipiętę. Masajowie okrzyknęli go swoim najgorszym wrogiem. W tamtych latach nieraz słyszałem w Kenii, że wyznaczyli nagrodę za jego głowę. Kiedy w 1993 r. został ranny w katastrofie awionetki, w Nairobi plotkowano, że nie był to wcale wypadek. W wywiadzie udzielonym w 2014 r. „Newsweekowi" sam Leakey przyznał, że kładł się spać z nabitym rewolwerem pod ręką i że w dzień i noc nie odstępowali go rangersi ze straży przybocznej.

Do Masajów przyłączyli się ministrowie z kenijskiego rządu zazdrośni o sukcesy Leakeya i rozdrażnieni jego hardością. Zażądali od prezydenta, by kazał mu dzielić się z nimi zyskami z parków narodowych oraz pieniędzmi, jakie otrzymywał z Zachodu. A jeśli się nie zgodzi – przekonywali – niech idzie precz. Moi też miał już dość ciągłych pouczeń Leakeya. Prezydent uznał, że Richard zrobił już, co miał do zrobienia, i może odejść. Na początku 1994 r. kazał mu więc dzielić się z ministrami zyskami z parków i oddać strażników pod komendę ministra policji. Leakey trzasnął drzwiami.

Arka Przymierza

Przyznał potem, że dopiero wypowiedziawszy pracę, bez służbowego gabinetu i samochodu (a także bez wykopalisk, na których spędził młode lata), bez sekretarek, kierowców i służby, mając pięćdziesiątkę na karku, dostrzegł, jak żyją zwykli Kenijczycy i jak marnie sprawy się mają w kenijskim państwie. „Korupcja przeżarła wszystko. Na prowincji panuje bezprawie, policja gnębi niewinnych ludzi, a władze same napuszczają ludzi do plemiennych wojen – wyliczał w rozmowie z kenijskim pismem „The Economic Review". – Wszystkiemu winien jest prezydent Moi i dlatego powinien odejść".

W czasach gdy Kenia, brytyjska kolonia, wybijała się na niepodległość, biali osadnicy bali się Jomo Kenyatty, wodza najliczniejszych w kraju Kikujusów, zapatrzonego w socjalizm i popierającego powstańców Mau Mau, którzy gromili białe farmy. Nie ufali też jego zastępcy, jeszcze radykalniejszemu Jaramogiemu Ogindze Odindze, przywódcy Luo znad Jeziora Wiktorii. Gdyby to biali mogli wybrać Kenii czarnego prezydenta, zagłosowaliby na Daniela arap Moi, wodza Kalendżinów z Wielkich Rowów Afrykańskich, wycofanego i po wiktoriańsku konserwatywnego. Byli zachwyceni, kiedy pokłóciwszy się z Ogingą Odingą, Kenyatta wziął sobie właśnie Moi na zastępcę. A kiedy Kenyatta umarł w 1978 r. na urzędzie, Moi przejął po nim władzę.

Pod jego rządami Kenia stała się konserwatywnym, przyjaznym Zachodowi państwem, spokojnym i w miarę zamożnym. Moi władał nim jak afrykański patriarcha, wymagając posłuszeństwa i szacunku i nie znosząc żadnego sprzeciwu. Póki trwała zimna wojna, Zachód wybaczał swojemu kenijskiemu sprzymierzeńcowi dyktatorskie zapędy, ale gdy się skończyła, zaczął domagać się od Kenijczyka, by i on szedł z postępem i nowymi czasami.

Przyparty do muru Moi zgodził się na wolne wybory w 1992 r. Wygrał je, bo jego przeciwnicy nie potrafili wyłonić spośród siebie wspólnego kandydata. Razem zebrali ponad dwie trzecie głosów, ale podzieleni zmarnowali je i pozwolili, by to Moi został zwycięzcą, choć głosowała na niego niespełna trzecia część wyborców. Wybory rozbiły opozycję. Jej przywódcy zarzucali sobie zdradę, obarczali się nawzajem winą za zmarnowaną szansę, a niektórzy dawali przekupywać prezydentowi i przechodzili do jego obozu. Kenijczycy, rozczarowani bardziej opozycją niż prezydentem, odwrócili się od polityki.

Leakey wraz z grupą „młodych gniewnych", kenijskich adwokatów i działaczy praw człowieka z Paulem Muite na czele, postanowili, że do kolejnych wyborów

skrzykną opozycję w zgodne przymierze i odbiorą władzę prezydentowi. Nazwali partię Safiną, co w języku suahili oznacza „arkę". W Safinie, jak w arce Noego, miało się znaleźć miejsce dla wszystkich i wszystkich miała ocalić przed katastrofą dalszej tyranii.

Moi, na wieść o tym, że Muite zakłada nową partię opozycyjną, nawet się ucieszył. Im więcej partii, tym bardziej się skłócą, tym bardziej podzielą między siebie głosy niezadowolonych. Stropił się jednak, kiedy mu doniesiono, że „ojcem chrzestnym" Safiny jest Richard Leakey. „Jeśli Leakey ma być szefem nowej partii, to znaczy, że jest to poważna sprawa. – mówił mi w 1995 r. Nicholas Koch, ówczesny szef biura Reutersa w Nairobi. – To człowiek o czystych rękach, wolny od etnicznych uprzedzeń, znany i szanowany w całym świecie. A jako biały, który chce zostać prezydentem Kenii, rozpali w Kenijczykach zainteresowanie polityką, które, ku zadowoleniu władz, bardzo po ostatnich wyborach wygasło".

Moi bał się też, że Leakey, znakomity organizator, dzięki swoim zagranicznym koneksjom zdobędzie pieniądze, niezbędne, by pokonać w wyborach rządzącą partię. Pamiętał również o tym, jak wielu jego rodaków święcie wierzyło, że Leakey ma jakąś nadprzyrodzoną moc, która sprawia, że wszystko mu się w życiu udaje i że wychodzi z każdej opresji. Czy inaczej przeżyłby katastrofę awionetki? Zmiażdżonych nóg nie udało się co prawda uratować i lekarze musieli je amputować poniżej kolan, ale nauczył się tak dobrze chodzić w przygotowanych w Anglii protezach, że ktoś, kto go nie znał, nie odgadłby, że jest kaleką.

Muzungu, czyli przybłęda

Prezydent dał znak do nagonki na Leakeya. Opowiadał na wiecach, że *muzungu*, biały przybłęda, chce zniewolić Kenię, przywrócić w niej brytyjskie rządy, że sprzymierzył się z Ku Klux Klanem, włoską mafią i kardynałami z Watykanu, że zakłada w Ugandzie partyzantkę, że jest rasistą i zadeklarowanym bezbożnikiem, który pobożnych Kenijczyków może tylko gorszyć. Masajscy wojownicy, maroni, nachodzili farmę Leakeya na wzgórzach Ngong (na tych samych wzgórzach farmę miała też Karen Blixen), a w Nakuru bojówkarze z młodzieżowej przybudówki rządzącej partii napadli na Leakeya i wychłostali go batogami.

GEORGE MULALA / REUTERS / FORUM

Jego rodacy wierzyli, że Leakey ma nadprzyrodzoną moc, która sprawia, **że wychodzi z każdej opresji.**

Wyparli się Leakeya biali rodacy (w tym jego brat, Philip, który był w rządzie Moi ministrem od przyrody, a także posłem rządzącej partii). Zostali w Kenii i wyrzekli się polityki, licząc, że w zamian czarni pozwolą im zachować wszystko, co wcześniej sprawując władzę zdobyli. Obawiali się, że wdzierając się do polityki, Leakey unieważni tę niepisaną, ale obowiązującą umowę. „Ci ludzie mnie nudzą – powiedział w jednym z wywiadów. – Tak naprawdę nie czują się w Kenii u siebie, nawet nie próbują się integrować. Nie znają tutejszych języków, a dzieci posyłają na naukę do Anglii lub Południowej Afryki i narzekają, że w Kenii nie mają żadnej przyszłości. A ja czuję się w Kenii tak bardzo u siebie, że mam prawo krytykować prezydenta". Jego dziadek, misjonarz, przybył do Kenii w 1902 r., a Leakey przyszedł na świat już w Afryce. Uważał się za Kenijczyka i Afrykanina, władał językami suahili i kikuju.

„Jestem tak samo dobrym Kenijczykiem jak prezydent Moi. I mam takie samo prawo jak on, by zajmować się polityką i ubiegać o władzę – powiedział w innym z wywiadów. – Jeśli Kenijczycy wybiorą mnie na swojego przywódcę, to stanę na ich czele".

Na własny rachunek

Władze zwlekały dwa lata, by zarejestrować Safinę. Zrobiły to dopiero w 1997 r., niedługo przed wyborami, nie dając jej czasu na kampanię. Debiut nie wypadł olśniewająco, Safina przegapiła swój dobry czas. W wyborach zdobyła cztery mandaty. Piąty otrzymała z puli rozdzielanej przez prezydenta. Dostał go Leakey, który w wyborach nie startował. W wyborach prezydenckich zwyciężył znowu Moi, przedłużając panowanie na kolejną i ostatnią już pięciolatkę. Leakey nie został białym prezydentem ani nawet nie stanął do elekcji, ale badacze miejscowej polityki przyznają, że odmienił ją na lepsze bardziej niż ci, których wybierano na najwyższe urzędy.

Objął jednak wysoki i ważny urząd. W 1998 r. Moi zaproponował mu, by został szefem jego kancelarii prezydenckiej i całej służby cywilnej. Miał wyplenić korupcję wśród urzędników i przekonać bankierów z Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego, by nie odmawiali Kenii dalszych pożyczek, bez których jej gospodarka wyzionęłaby ducha. Przyjął propozycję, oddał poselski mandat, wystąpił z Safiny. Już sama nominacja sprawiła, że zachodni bankierzy spojrzeli na Kenię życzliwszym okiem, dali się przekonać i zgodzili się dalej pożyczać Kenii pieniądze.

Ale gdy tylko Leakey uporał się z zadaniem, Moi znów zwinął rozpostarty nad nim parasol ochronny. Ministrowie, których władzy i przywilejom zagrażał, natychmiast rzucili się mu do gardła. Wiosną 2001 r. Leakey złożył wypowiedzenie. Ogłosił, że wraca na swoją farmę, ale przyjął też zaproszenie z nowojorskiego uniwersytetu i podróżował za ocean z wykładami z antropologii.

Na koniec znów zajął się ratowaniem słoni, ponownie zagrożonych przez kłusowników. W 2015 r. posadę prezesa zarządu Kenijskiej Służby Przyrody powierzył mu prezydent Uhuru Kenyatta, syn Jomo, prezydenta założyciela, który nastał w 2013 r. Tym razem, troszcząc się o dzikie zwierzęta, pamiętał też o potrzebach ludzi. Zgodził się, by Chińczycy pociągnęli przez leżący na południe od Nairobi park narodowy linię kolejową do Mombasy. Wytargował jednak, by położyli tory na wysokim na 20 metrów wiadukcie, biegnącym przez cały park. Martwiły go spowodowane przez ludzi zanieczyszczenie środowiska naturalnego i zmiany klimatu. „Z kłusownikami jakoś sobie poradzimy – mawiał. – Ale jak ocalimy dzikie zwierzęta, jeśli parki narodowe, w których żyją, przemienią się w pustynię. Narobiliśmy strasznego bałaganu, nie ma co".

Umarł drugiego dnia 2022 roku, na swojej farmie na wzgórzach Ngong, przeżywszy 77 lat. ©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

DROGA KSIĘDZA MAGNUSA

W międzywojennym Gdańsku bronił Polaków przed Niemcami, a gdy III Rzesza upadła – niemieckich cywilów przed Sowietami.

STANISŁAW ZASADA

Musisz o nim napisać – ojciec Michał nie daje mi spokoju. – To przyszły święty.

Wylicza zasługi: – W czasach III Rzeszy bronił Polaków przed Niemcami, potem dawał schronienie niemieckim cywilom, którzy uciekali przed Sowietami. Uratował nasz kościół przed Armią Czerwoną. Umarł, niosąc innym pomoc.

Kim był ksiądz Magnus Bruski?

Tablice

Michał Osek to najmłodszy w Polsce przeor dominikanów. Od dwóch lat kieruje gdańskim klasztorem i dominikańską parafią św. Mikołaja.

Przed wejściem do świątyni pokazuje wmurowaną w bruk tablicę: „Podwórze przy kościele św. Mikołaja w czasie II wojny światowej było miejscem tymczasowego pochówku wielu gdańsz-

ARCHIWUM RODZINNE RYSZARDA SZAMOCKIEGO / © FUNDACJA CENTRUM ŚW. JACKA

Ks. Magnus Bruski z rodzicami, siostrą i dalszą rodziną, lata 30. XX w.

czan". Pochowano tu też ks. Bruskiego. Dominikanie odsłonili tablicę rok temu.

Niedawno na murze klasztoru odsłonięto drugą. Treść (po polsku i niemiecku) głosi, że Bruski był „wikariuszem generalnym w Wolnym Mieście Gdańsku", i że był „szykanowany" za „antyhitlerowskie poglądy". Prezydent miasta Aleksandra Dulkiewicz (odsłaniała tablicę z biskupem) napisała na Facebooku, że ksiądz Magnus uczy, „jak być dobrym człowiekiem nawet w nieludzkich czasach".

Legendy

Mikołaj – jedyny kościół na Głównym Mieście, który ocalał tamtego marca 1945 r., gdy Gdańsk zdobyła Armia Czerwona. Sowieci spalili bazylikę Mariacką, Brygidę, Katarzynę, Jana. Do pełnego ludzi kościoła św. Józefa wtoczyli beczki z ropą i podłożyli ogień. – Tylko Mikołaja oszczędzili. To zasługa Magnusa – mówi przeor Osek.

Ale sam uratował, jak? Ojciec Osek zna dwie wersje legendy. Jedna mówi, że ksiądz wyciągnął z klasztornej piwnicy zapasy gorzałki i ugościł nią Sowietów. Druga, że Bruski miał przekonać krasnoarmiejców, aby nie niszczyli kościoła, który jest pod wezwaniem św. Mikołaja, patrona Rusi.

Która z tych wersji jest prawdziwa? Ojciec Osek: – Żadna.

Wcześniej

Osiemset lat wcześniej. Jacek Odrowąż, przyszły święty, wysyła do Gdańska braci w biało-czarnych habitach. Dostają murowany kościółek św. Mikołaja.

Gdańscy dominikanie są w awangardzie Europy: niewiele starsze klasztory mają tylko Bolonia, Paryż, Praga, Oksford, Kraków. Papież daje im przywilej udzielania odpustu na uroczystość Dominika Guzmána, założyciela zakonu – tak rodzi się Jarmark Dominikański. Stary kościół okazuje się za mały. Dominikanie wznoszą nowy, gotycki.

W czasie reformacji świątynię przejmują zwolennicy Lutra, aż król Zygmunt August musi interweniować – Mikołaj wraca do dominikanów.

Bodaj największy dzień przeżywają 11 października 1587 r.: szwedzki książę Zygmunt z dynastii Wazów odbiera w ich kościele dokument potwierdzający wybór na króla Polski.

W czasie zaborów Prusacy wypędzą ich na dobre, kościół przejmą księża diecezjalni.

Ostatni niedominikański proboszcz to właśnie Magnus Bruski. „Co tu robi diecezjalny ksiądz?" – nad tym zastanawia się Michał Osek.

Kilkanaście lat temu Osek jako dominikański kleryk przyjeżdża do Gdańska na praktyki. W refektarzu widzi na ścianie oprawiony w ramki portret mężczyzny w sutannie. – Spodziewałbym się raczej portretów poprzednich przeorów – mówi dziś. Wtedy słyszy o Magnusie Bruskim. Najstarsi dominikanie, którzy go pamiętali, już nie żyją. Z książek niewiele można się o nim dowiedzieć. Wszyscy powtarzają tylko podwójną legendę, jak to samogonem i autorytetem świętego miał uratować kościół.

Ojciec Osek zmieni to, gdy zamieszka w gdańskim klasztorze na stałe.

Kaszuba

Po polsku Brusy, po kaszubsku Brusë – położone w Borach Tucholskich miasteczko wita przyjezdnych w obu językach.

Z Kaszubami jest kłopot: Słowianie, ale mają swój język (z literacką polszczyzną niewiele ma wspólnego). Przez stulecia germanizowani. Czy w Polsce, czy w Niemczech – zawsze obcy. Günter Grass (ze strony matki Kaszuba) ujmie to tak: „Za mało polscy jesteśmy i za mało niemieccy".

W 1886 r. w Brusach, należących wtedy do Cesarstwa Niemieckiego, przychodzi na świat Magnus Ignatz Bruski. Matka Regina z domu Lietz jest Niemką. Ojciec Maksymilian, Kaszuba, prowadzi sklep z artykułami spożywczymi i rolniczymi oraz karczmę.

Magnus jest najstarszym z czternaściorga rodzeństwa. Od dziecka widzi pijanych mężczyzn, którzy wychodzą z ojcowskiej karczmy. W środku duszą go kłęby tytoniowego dymu.

Gdy w 1902 r. pruski nauczyciel bije trzciną wrzesińskie dzieci, bo nie chcą mówić pacierza po niemiecku, 16-letni Magnus uczy się w Królewskim Gimnazjum Katolickim w Chojnicach. Pół wieku przed nim szkołę tę skończył Florian Ceynowa: konspirator, powstaniec, działacz kaszubski. Razem z Magnusem do szkoły chodzi Leon Miszewski – niemal rówieśnik, też z Brus. Również zostanie księdzem, będzie duchowym przywódcą Polaków w międzywojennym Gdańsku.

Brak jest informacji o ewentualnym politycznym zaangażowaniu Bruskiego. – Był Kaszubą, ale funkcjonował w kulturze niemieckiej – mówi Leszek Molendowski, współautor książki o Magnusie. – Nie angażował się w polski ruch narodowy, nie należał do polskich organizacji uczniowskich. Bo i dlaczego miałby. Jego matka była Niemką, ojciec Kaszubą, ale bliżej było mu do Niemiec.

Po maturze idzie do seminarium duchownego w Pelplinie. Studiuje na niemieckich uniwersytetach (Polski wtedy nie ma). Jako student na arkuszach ocen dostaje najczęściej „gut".

W 1913 r. zostaje księdzem. Obrazki prymicyjne drukuje po polsku. Ale na obrazie Jezusa Ukrzyżowanego rodzicom dziękuje za wychowanie po niemiecku. ↦

↦ Wybucha Wielka Wojna. Na polu bitwy pod Lwowem ginie Bernard, brat Magnusa.

O niego historia upomni się później.

Gdańsk

Wojna się kończy, na mapy wraca Polska, w Wersalu ustalają nowe granice.

Jest problem z Gdańskiem. Polska chce mieć dostęp do morza, ale większość mieszkańców to Niemcy. Żeby pogodzić obie strony, powstaje Wolne Miasto Gdańsk – coś w rodzaju miasta-państwa pod kontrolą Ligi Narodów. – Z tej decyzji nikt nie jest zadowolony – mówi historyk Molendowski.

W Republice Weimarskiej niemal wszystkie siły polityczne kwestionują granicę z Polską. Z czasem w siłę rośnie narodowy socjalizm, ale nie tylko narodowi socjaliści popierają ideę przyłączenia Gdańska do Niemiec.

Jeszcze w latach 20. szkolny kolega Magnusa, ks. Leon Miszewski, broni praw gdańskiej Polonii. Umiera przed dojściem Hitlera do władzy, jego pogrzeb staje się patriotyczną manifestacją polskiej mniejszości.

Na nic to. – W każdych kolejnych wyborach partia narodowosocjalistyczna zwiększała liczbę miejsc w parlamencie Wolnego Miasta – przypomina Molendowski. W 1938 r. w Volkstagu jest już tylko dwóch posłów opozycyjnych – to Polacy. Pozostałe 70 miejsc zajmują narodowi socjaliści.

W maju 1939 r. do Gdańska przyjeżdża Józef Mackiewicz, reporter wileńskiego dziennika „Słowo". Z portretów spogląda na niego Hitler z deklaracją: „Das ist unser Führer!" („To nasz wódz!"). Mężczyźni na pozdrowienie wyciągają prawą rękę. „Czym się właściwie różni Gdańsk od miast Rzeszy?" – pyta retorycznie reporter.

Prałat

Nie pije, nie pali, nie gra w karty (czy to z powodu złych wspomnień z rodzinnego domu?), za to dużo czyta. Odmawia brewiarz, ustalonego porządku pilnuje sztywno. Nawet wikariusze w pilnych sprawach mogą z nim rozmawiać tylko przez telefon. „Dziwak" – mówią niektórzy o Bruskim.

Wolnego Miasta nie ma jeszcze na mapach, gdy zaraz po święceniach zostaje wikarym w kościele św. Mikołaja; jest też katechetą. Na religię chodzi tam niejaki Carl Maria Splett (gdy Splett zostanie księdzem, Bruski będzie mówić kazanie na jego prymicjach; za 20 lat zostanie biskupem).

Na razie Bruski jest współpracownikiem biskupa Edwarda O'Rourke'a (od 1925 r. istnieje diecezja gdańska), który mianuje go wikariuszem generalnym. Bruski proboszczuje w parafii św. Wojciecha, potem w katedrze w Oliwie, a od 1935 r. – w św. Mikołaju. Od papieża dostaje tytuł prałata.

Rok 1935, trwa Synod Gdański. Bruski mówi o zagrożeniach ze strony narodowego socjalizmu: „Także i w naszej ojczyźnie, na terenie naszej małej diecezji działają siły skierowane przeciwko chrześcijaństwu oraz Kościołowi katolickiemu".

Domaga się, by klerycy zdawali egzamin z języka polskiego. Pilnuje, by w Mikołaju w niedzielę o wpół do dwunastej była msza z polskim kazaniem. Kazania głoszą wikariusze – on sam słabo zna polski.

Gdy na rok przed wybuchem II wojny światowej obchodzi 25-lecie kapłaństwa, życzenia składają mu także Polacy. W relacji z uroczystości „Dziennik Gdyński" cytuje jego słowa, że „będzie katolików-Polaków otaczał tą samą opieką jak innych katolików, bo wymaga tego sprawiedliwość i dobro dusz".

W parafialnych księgach pisze tak, jak chcą parafianie. Gdy przychodzi niemiecka wdowa i mówi, że mąż był „robotnikiem", pisze: „Arbeiter". Gdy przychodzi wdowa po Polaku, pisze: „robotnik". W diecezjalnej gazecie polemizuje z rasistowskimi teoriami Alfreda Rosenberga, ideologa narodowego socjalizmu. Z ich konsekwencjami spotyka się wkrótce w parafialnej kancelarii – coraz więcej osób prosi o wydanie metryki chrztu, by wykazać swoje aryjskie pochodzenie.

Rok przed wybuchem wojny biskupem gdańskim zostaje Splett. Naziści żądają, by odwołał Bruskiego z diecezjalnych funkcji. Biskup ich słucha. Proniemieccy księża izolują się od Magnusa. Jest ciągany na przesłuchania. Ktoś wybija mu szyby na plebanii.

Wojna

„Skończyła się polska niewola" – tymi słowami 1 września 1939 r. Albert Forster (*gauleiter*, tj. lokalny szef NSDAP) przemawia na Długim Targu. „Danzig ist deutsch" – krzyczą plakaty. Miejscowi Polacy są masowo aresztowani, giną, trafiają do obozów.

Antypolskie przepisy godzą też w Kościół. Konkretnie: w polskich katolików. „Należy zabronić wszelkich nabożeństw w języku polskim" – postulują narodowi socjaliści. Splett zawiesza polskie nabożeństwa. Będą mu potem przypominać, że był antypolski. Ale sprawa jest złożona. „Jakiekolwiek polskie nabożeństwo, kazanie lub publiczne przemówienie było i tak niemożliwe" – napisze ks. Stanisław Bogdanowicz, historyk i proboszcz bazyliki Mariackiej.

Zakazana jest nawet spowiedź po polsku: penitent może wyznać grzechy tylko po niemiecku, spowiednik nie może mówić po polsku. Bruski znów jest przesłuchiwany – Gestapo sprawdza, czy stosuje się do antypolskich zakazów.

Wierni ze zbyt słowiańsko brzmiącymi nazwiskami zmieniają je na niemieckie. Orzechowski nazywa się teraz Ortmann, Dembirowski – Domerau, a Jezierski – Jesner. Zjawisko zmiany nazwisk ustanie w 1943 r., po klęsce Wehrmachtu pod Stalingradem.

Marzec

Kiedy na froncie wschodnim armia Hitlera cofa się ku granicom III Rzeszy, niemieccy historycy sztuki zaczynają ratować zabytki. Z bazyliki Mariackiej wywożą „Sąd Ostateczny" Memlinga, z Mikołaja jedzie na Żuławy barokowa chrzcielnica, część stalli, figury ukrzyżowanego Jezusa, Maryi i apostoła Jana.

Gdy front jest blisko, gdańscy pastorzy opuszczają parafie, wraz z wiernymi chcą uciec w głąb Rzeszy. Ewakuacja setek tysięcy ludzi trwa też drogą morską. 30 stycznia sowiecka torpeda zatapia statek „Wilhelm Gustloff", razem z nim ginie 9 tys. niemieckich uciekinierów.

Bruski zostaje w mieście. Późnorenesansowy ołtarz (nie wszystko udało się wywieźć) każe obudować rusztowaniem i obłożyć workami z piaskiem. Na plebanii pełno jest uchodźców z Prus Wschodnich – nie wszystkim udało się odpłynąć statkami.

W Wielkim Tygodniu (wypada pod koniec marca) Gdańsk zajmuje Armia Czerwona. Niemiecki kronikarz notuje: „W dniu, gdy do miasta wkraczali pijani zwycięscy żołnierze radzieccy, ksiądz stał na ambonie i modlił się wraz z parafianami szukającymi w kościele schronienia".

Kielichy

Ksiądz Bruski rozmawia z żołnierzami sowieckimi.

– Co im powiedział? – pytam przeora.

– Obie legendy o uratowaniu kościoła są do obalenia – mówi.

No bo tak, rozważa o. Osek: – Po pierwsze, Magnus był abstynentem i trudno uwierzyć w historię z samogonem. Choć mogło się tak zdarzyć. Po drugie, żołnierze, którzy zdobywali Gdańsk, pochodzili głównie z Azji i często o prawosławiu nie mieli pojęcia.

– To czym ich przekonał? Może słyszał, co stało się u św. Józefa, gdzie w podpalonym przez Sowietów kościele sto osób zginęło w męczarniach?

– Okoliczne kościoły były protestanckie, a ich pastorzy opuścili z rodzinami Gdańsk – mówi przeor. – Gdy Rosjanie weszli, często nie było tam gospodarza. A w Mikołaju wyszedł do nich kapłan. Mieli z kim rozmawiać. Przypuszczam, że to uratowało naszą świątynię.

Tamtej wiosny Bruski nie tylko Sowietów musi się bać. Grasują szabrownicy. W końcu to poniemieckie, przychodzą jak po swoje. Ktoś plądruje św. Mikołaja. Proboszcz krzyczy na rabusia, żeby zostawił święte kielichy. „Eminencjo, powinien się pan postarać lepiej mówić po polsku" – tak podobno złodziej odpyskowuje Magnusowi. Kielichy zostawia.

Jakby tego było mało, w mieście szaleje tyfus. Zabije także Bruskiego.

Dominikanie

„Gdzie jest kościół dominikanów?" – rozpytują od gdańskiego dworca Stanisław Dobecki i Franciszek Przywara. Dwaj dominikanie przyjechali tu w maju 1945 r. „Jeszcze nie było spokoju" – będzie opisywać potem o. Dobecki.

Prowincjał przysłał ich, bo skoro Polska dostała Gdańsk, dominikanie chcą odzyskać swój kościół. Dołączą do nich bracia ze Lwowa, który został zaanektowany przez Związek Sowiecki.

Na razie Dobecki idzie do biskupa Spletta (ten również został w mieście). „Przyjął mnie grzecznie, choć sztywno" – zapamięta. Biskup każe dominikanom wracać do Krakowa. Zamiast tego idą do proboszcza w św. Mikołaju.

Bruski daje im mieszkanie na plebanii. „Traktował mnie życzliwie" – będzie wspominał Dobecki. Ojciec Przywara zanotuje: „Ksiądz Prałat jest życzliwy, razem się stołujemy, idzie nam na rękę, spełnia nasze propozycje".

ARCHIWUM KLASZTORU DOMINIKANÓW W GDAŃSKU

Widok na kościół św. Mikołaja od strony ul. Świętojańskiej, Gdańsk, 1945 r.

– Odetchnąłem, jak to przeczytałem – przyznaje o. Osek. – Wcześniej obawiałem się, jak przyjął dominikanów.

Portret

– W naszej rodzinie zawsze była o nim pamięć – mówi Ryszard Szamocki, krewny księdza Bruskiego. Jego babcia Anna to siostra Magnusa. Ryszard, rocznik 1961, kolejarz, mieszka w Dziemianach Kaszubskich pod Brusami. „Kaszuba z krwi i kości" – mówi o sobie.

Pamięta, jak o wuju-księdzu wspominał jego ojciec. Ale jego, młodego chłopaka, mało to wtedy obchodziło. Na poważnie zajął się wujem po trzydziestce.

W kurii w Gdańsku mówią mu, że „to był chyba Niemiec". U dominikanów w Gdańsku też mało wiedzą (jeden z poprzednich przeorów przyjął Ryszarda tylko w drzwiach). Najlepiej potraktował go o. Dobecki, bo odpisał na list. – Ale dopiero o. Michał zajął się na poważnie przywracaniem pamięci o naszym krewnym – mówi Szamocki o obecnym przeorze.

Przemysław, syn Ryszarda, uczy historii w gdańskim liceum. Na lekcjach o II wojnie światowej opowiada uczniom o księdzu Magnusie. – Słuchają zaciekawieni – mówi.

W domu jego ojca do dziś wisi portret wuja.

Procesja

Ministrant niesie krzyż, za nim idą dziewczęta z gromnicami. Pochód zamyka ksiądz z monstrancją. Jest 31 maja 1945 r., Boże Ciało. Bruskiemu, który prowadzi tę procesję, zostało sześć tygodni życia.

Procesja wyrusza ze św. Mikołaja i ulicą Długą idzie na Gdańsk Główny. Sowieccy żołnierze szyderczo się uśmiechają, niektórzy przyklękają. Nikt nikogo nie zaczepia.

Wiemy to od anonimowego kronikarza, który przygląda się wszystkiemu ukryty w ruinach: „Nikt nie odważył się nagabywać modlących się dziewczynek i przeszkadzać im, ani ich zhańbić jako łatwą zdobycz, tak jak działo się to we wszystkich poprzednich dniach" (w tamtym czasie gwałty są na porządku dziennym).

Bruski dziękuje Bogu za koniec wojny.

Leszek Molendowski mówi, że procesja miała jeszcze jeden wymiar: – Ksiądz wiedział, że niemieccy mieszkańcy będą musieli opuścić Gdańsk. Dlatego symbolicznie poprowadził ich na dworzec.

Pogrzeby

– Ja do księdza Bruskiego.

– Leży w trumnie.

Jest 10 lipca 1945 r. Dominikanin Przywara rozmawia z jednym z parafian. Mówi, że proboszcz zmarł poprzedniej nocy.

Tyfus zabił tamtego lata 6 tys. gdańszczan. – Na plebanii, gdzie przebywali uciekinierzy, łatwo było o zakażenie – mówi o. Osek. – Magnus zmarł, bo pomagał innym.

Pierwszy jego pochówek odbywa się nazajutrz po śmierci. Z obawy przed zarazą proboszcz zostaje pospiesznie pogrzebany na dziedzińcu kościoła. Trzy dni później biskup Splett odprowadza jego szczątki na cmentarz. Ćwierć wieku później jest trzeci pogrzeb: po likwidacji parafialnej nekropolii prochy ks. Magnusa Bruskiego zostają złożone w kwaterze kapłańskiej na cmentarzu Oliwskim.

– Czuł się Polakiem, Niemcem? – chcę wiedzieć.

– Po co patrzeć na wszystko narodowościowo? On był stąd – zżyma się przeor. – Jak to dziś opisać? Może tak: był dobrym człowiekiem.

© STANISŁAW ZASADA

Korzystałem z książek: Leszek Molendowski, Michał Osek OP „Magnus Bruski. Bohater z Gdańska"; Ks. Stanisław Bogdanowicz „Bo przemoc widzę w mieście i niezgodę. (Trudny początek Kościoła gdańskiego 1922-1945)".

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall:
Kolega reporter

I. Narty

Hanuš, kolega reporter, szukał socjalisty. Kręcił film – socjaliści w obozie – i przyszedł mu do głowy były polski premier. Wiedział o nim niejedno. Nawet o ręce wiedział, którą były premier chciał odrąbać, gdyby podniosła się na władzę ludową. Trudno, mówił Hanuš, ważne, że socjalista. Rzeczywisty, przedwojenny i był w Auschwitz. Spytaj – prosił ze Sztokholmu – czy zgodzi się na rozmowę.

Spytałam, zgodził się.

Poszłam ze szwedzką ekipą do Komitetu Pokoju (premier-emeryt bronił aktualnie pokoju światowego). Ciekawa byłam i filmu, i rozmówcy.

Mówił o podziemnej PPS, jej wielką troską w Oświęcimiu byli młodzi więźniowie. W obozie łatwo zdziczeć – łatwo być zabitym, ale i zabić łatwo. Ta łatwość może być zaraźliwa. Chcieliśmy przestrzec przed nią młodych ludzi.

Ciekawie mówił i ważne rzeczy, a na koniec zwrócił się do Hanuša: – Orientuje się pan zapewne, czym był Auschwitz.

Orientuję się, powiedział Hanuš.

Podziękował byłemu premierowi i zaczął zwijać kable.

Nagranie się skończyło, ale były premier nie przestawał mówić o Oświęcimiu. Do mnie tym razem, bez kamer. Marzył o jednym. O nartach. Jeśli przeżyje, to narty będą najpierw. I baby. Baby i narty, to było jego oświęcimskie marzenie.

Pierwszej powojennej zimy wjechał na Kasprowy Wierch. Miał marne wiązania i przed Kotłem Gąsienicowym odpięła mu się narta. Schylił się, poprawił wiązanie i pojechał dalej.

Przyszedł do niego do Komitetu Pokoju obcy mężczyzna. Niepozorny, niemłody. Nie przedstawił się. Chciał coś opowiedzieć. Nie zabiorę panu dużo czasu, obiecał.

Pamięta pan Kasprowy Wierch pierwszej zimy? Miał pan ochronę, ale jeździł pan sam.

Nie umieli jeździć na nartach, przyświadczył premier.

Wiedzieliśmy, że nie umieją i że sam pan będzie.

I narta się panu odpięła, pamięta pan?

A kamień? Na lewo od pana, w stromej części, przed Kotłem.

Leżałem za kamieniem.

Miałem pana załatwić.

Niestety.

Minął mnie pan i nie zdążyłem.

Potem się pan zatrzymał, schylił się i zobaczyłem plecy.

I wie pan co?

Nie chciało mi się w plecy strzelać.

Jakoś mi się nie chciało.

Pomyślałem – nadarzy mi się jeszcze okazja. Nie nadarzyła się. Trudno.

Niczego nie chciał. Nawet koniaku się nie napił. Pożegnał się i poszedł.

Narty po Oświęcimiu...

Uważałam, że Hanuš mógłby jeszcze raz włączyć kamerę.

Nie włączył.

Niestrzelanie w plecy... Niezłe, ale za polskie. Kto w Szwecji zrozumie – dlaczego się strzelało i dlaczego nie chciało się strzelać.

Nie, to nie. Może i racja.

Orientuje się pan czym był... upewniał się były premier.

Hanuš się orientował.

Jego matka i brat zginęli w Oświęcimiu.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Wolność, równość, siostrzeństwo!

Wydanie specjalne „Moc kobiet" dostępne jako e-book na **powszech.net/emockobiet**

II. Wiegala

Urodziła się na Morawach. Uczyła się grać na pianinie, mandolinie i gitarze. Poza tym pisała, przeważnie dla dzieci, opowiadania i wiersze.

Wyszła za mąż i urodziła synów – Hanuša i Tomaša. Kiedy Hitler zajął Czechosłowację, wysłała starszego do Sztokholmu.

Deportowano ich do Terezina do getta. Pracowała w nocy, w szpitalu dziecięcym, w dzień pisała wiersze i piosenki. Śpiewała je dzieciom grając na gitarze, zabrała ze sobą gitarę do Terezina.

Napisała sześćdziesiąt wierszy. Willi, jej mąż, zakopał je w ziemi. Udało mu się – był w getcie ogrodnikiem. Przeżył wojnę i pojechał do Terezina. Papiery były nietknięte.

Lubiła kołysanki, jedną zwłaszcza, „Wiegala". Wiatr grał w niej trzcinom na lirze, słowik śpiewał swoją pieśń, a księżyc na ciemnym niebie był jak latarnia. Spoglądał na świat, w świecie była cisza. Żaden dźwięk nie zakłócał jego spokoju...

Każda zwrotka zaczyna się od „Wiegala", ale nie wiadomo, czym jest. Nie ma takiego słowa po czesku ani po niemiecku.

Może miała na myśli weigelę?

Roślinę, krzewuszkę z różowymi kwiatami. Lubiącą słońce, ale odporną na mróz. Nazwaną na cześć niemieckiego botanika.

Pięćdziesiąt lat po wojnie Hanuš dostał list. Pisał człowiek, który był w Terezinie, potem w Auschwitz obsługiwał komorę gazową.

Któregoś jesiennego dnia przyjechał transport, pisał człowiek. Zobaczył gromadkę dzieci. Była z nimi kobieta, poznał ją – śpiewała w Terezinie piosenki. I ona go pamiętała i ucieszyła się.

Zauważyła prysznice. Spytała – czy mogę wykąpać dzieci po podróży?

Nie chciałem jej oszukiwać, pisał mężczyzna Hanušowi.

Powiedział – to nie są prysznice, tędy będzie leciał gaz.

Słuchaj mnie teraz uważnie, dam ci radę. Postarajcie się tam wejść jak najprędzej. Usiądź z dziećmi na podłodze i zacznij im śpiewać. To, co śpiewałaś w Terezinie. Wszyscy śpiewajcie. Wchłoniecie dzięki temu więcej gazu, wszystko potrwa krócej i będzie łatwiejsze.

Zachowała się dość dziwnie, zakończył mężczyzna swój list.

Uśmiechnęła się i powiedziała: – Więc nie wykąpię dzieci po podróży. ©

Bohaterem tekstu jest Hanuš Weber. Napisał książkę o swojej matce – „Ilse. A love story without a happy ending".

TYGODNIK POWSZECHNY

Po lekturze tego notesu zwykła brukselka stanie się arcydziełem, a Ty kulinarnym artystą.

ks. Adam Boniecki

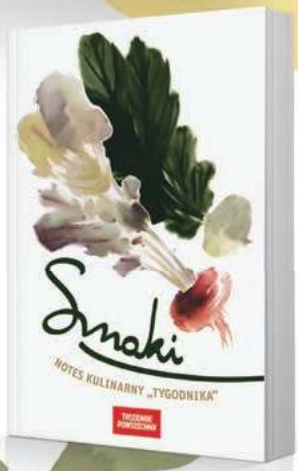

Makaron z popiołem
Seksowny chłodnik
Karmelki truskawkowe

Jak zdobyć ten notes?
Sprawdź szczegóły
na III stronie okładki tego wydania

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

CZEKAJĄC NA REWOLUCJĘ

Naukowcy od kilkunastu lat powtarzają, że terapie komórkami macierzystymi stanowią przyszłość medycyny. A jak wygląda ich teraźniejszość?

PAULINA MOZOLEWSKA

Każda terapia medyczna, zanim zostanie zatwierdzona przez odpowiednie instytucje, musi przejść serię badań klinicznych. Serwis clinicaltrials.gov, gromadzący dane na temat prowadzonych na całym świecie takich badań, wymienia ok. 9 tys. projektów, w których sprawdzano lub sprawdza się aktualnie potencjał rozmaitych terapii komórkami macierzystymi.

Najwięcej jest wśród nich badań wstępnych, których celem jest wyłącznie potwierdzenie bezpieczeństwa jakiejś terapii u ludzi, a nie jej skuteczności. Bardziej zaawansowanych projektów, w których terapie komórkami macierzystymi oferowano większym grupom pacjentów, by oszacować ich leczniczy potencjał, zarejestrowano kilkaset. W tej grupie zdecydowanie przeważają badania dotyczące wykorzystania komórek macierzystych w leczeniu chorób układu krwionośnego albo przywracania jego funkcjonowania po stosowaniu agresywnych terapii przeciwnowotworowych.

Wyłącznie tego rodzaju terapie komórkami macierzystymi uzyskały jak dotąd rekomendację amerykańskiej Agencji Żywności i Leków (FDA) – o czym ta instytucja regularnie przypomina, przestrzegając przed niesprawdzonymi pseudoterapiami, oferowanymi na niemal wszystkie ludzkie choroby przez prywatne kliniki w niektórych krajach.

Plemniki z probówki

Historię odkrycia komórek macierzystych (ang. *stem cells, SC*) i ich zawiłą typologię opisywał na tych łamach Bartosz Kabała (zob. „Klucz do wszystkiego", TP 5/2019) – nie będziemy jej tutaj powtarzać. Przypomnijmy tylko, że chodzi o komórki, które posiadają dwie fundamentalne cechy: mogą dzielić się praktycznie w nieskończoność, a także dać początek wyspecjalizowanym komórkom, budującym różne tkanki. Różne typy SC różnią się potencjałem różnicowania (największy wykazują embrionalne komórki macierzyste), ale od kilkunastu lat wiemy, że nawet dojrzałe komórki da się przeprogramować tak, by uzyskać z nich komórki macierzyste o bardzo wysokim potencjale różnicowania się (tzw. indukowane pluripotencjalne komórki macierzyste, iPSC). To kluczowe odkrycie (docenione w 2012 r. Nagrodą Nobla) ułatwia prowadzenie badań, ponieważ komórki macierzyste stały się szerzej dostępne, a eksperymenty z użyciem jednego typu komórek macierzystych w razie potrzeby łatwiej przenieść czy rozszerzyć na inne typy tych komórek.

Przyjrzymy się kilku spośród setek prowadzonych obecnie badań, zarówno na ludziach, jak i zwierzętach, by zobrazować, w jak wielu dziedzinach medycyny szuka się zastosowań dla SC.

We wrześniu 2021 r. w czasopiśmie „Fertility and Sterility Science" ukazał się artykuł Sujittry Khampang i współpracowników poświęcony przeprogramowaniu embrionalnych komórek macierzystych makaka królewskiego w komórki podobne do niedojrzałych plemników. Początkowo były one niezdolne do zapłodnienia komórki jajowej, ale po dodaniu odpowiednich czynników aktywacyjnych zapłodnienie okazało się możliwe. W efekcie rozwinął się małpi zarodek gotowy do zagnieżdżenia się w macicy. Eksperyment kończył się na tym etapie, ale naukowcy chcą w przyszłości sprawdzić, czy stworzony w ten sposób zarodek rozwinie się w zdrowy organizm.

Wcześniej produkcja funkcjonalnych męskich gamet *in vitro* powiodła się u myszy, jednak makaki, ze względu na większe podobieństwo mechanizmów rozrodczych, uznawane są za lepszy model badań skupionych na poszukiwaniu terapii dla niepłodności u ludzi.

Szczury po zawale

W ostatnich latach osiągnięto postępy także w pracach nad regeneracją serca po zawale. W jednej z proponowanych terapii z iPSC (wyhodowanych np. ze skóry) można stworzyć komórki macierzyste serca i przeszczepić do uszkodzonego organu. Hodowla takich komórek ciągle nastręcza problemów – np. okazuje się, że wyhodowane komórki macierzyste serca bardziej przypominają komórki płodu niż dorosłego człowieka, a przez to nie są w stanie wytworzyć odpowiedniej struktury przestrzennej. Ale w 2020 r. w czasopiśmie „Biomaterials" Nicole Silbernagel i współpracownicy pokazali, że rozwiązaniem problemu może być prowadzenie hodowli na specjalnych rusztowaniach, które poprawiają morfologię komórek.

W innym badaniu z 2020 r., opisanym w „Stem Cell Research & Therapy", Xumin Guan i współpracownicy podali samcom szczurów po zawale wyhodowane ludzkie komórki macierzyste serca. Po miesiącu zwierzęta poddane transplantacji charakteryzowały się niższą śmiertelnością niż grupa kontrolna. Włóknienie mięśnia sercowego było również mniejsze w grupie zwierząt, która otrzymała komórki.

Podobne badania prowadzono również na małpach. W 2018 r. w „Nature Biotechnology" opisano przeszczepienie ludzkich zarodkowych komórek macierzystych do serca makaków z rozległym zawałem mięśnia sercowego. Znaczna część uszkodzonego organu zregenerowała się, ale u niektórych zwierząt zaobserwowano arytmię.

Naprawianie neuronów

Duże nadzieje budzą prace nakierowane na naprawę uszkodzonego rdzenia kręgowego. W tym przypadku zazwyczaj komórki macierzyste dostarcza się poprzez iniekcję bezpośrednio do rdzenia. Największym wyzwaniem, podobnie jak w innych terapiach, jest sprawienie, by tak przeszczepione komórki przetrwały i zintegrowały się z ciałem pacjenta.

W kwietniu 2021 r. zespół Osamu Honmou opublikował raport z badania klinicznego z udziałem 13 pacjentów, którzy kilka tygodni wcześniej doznali niepenetrujących urazów rdzenia kręgowego. Komórki macierzyste pozyskano z własnego szpiku kostnego pacjentów, a następnie podano je dożylnie. W ciągu kilku tygodni zaobserwowano znaczną poprawę funkcji motorycznych, takich jak zdolność do chodzenia i używania rąk. W badaniu nie kontrolowano jednak efektu placebo, czyli poprawy zdrowia w wyniku przekonania pacjenta, że podlega on leczeniu. Poza tym niektórzy ludzie po takim urazie doświadczają spontanicznego powrotu do zdrowia, a w tak małej próbie niemożliwe jest oddzielenie efektu związanego z działaniem komórek macierzystych od szczęśliwego zbiegu okoliczności. Dobrą informacją jest fakt, że w tym badaniu nie obserwuje się istotnych skutków ubocznych.

Kolejnym obszarem zainteresowań są choroby neurodegeneracyjne, takie jak choroba Alzheimera, która jest główną przyczyną demencji. Terapia polegać ma na zastępowaniu obumierających neuronów komórkami macierzystymi, z których mogłyby powstać nowe, funkcjonalne komórki nerwowe. Wydaje się, że komórki macierzyste mogą również ograniczać toksyczne działanie niektórych ↦

Bank komórek macierzystych. Szwajcaria, 2015 r.

AMELIE-BENOIST / EAST NEWS

↦ białek powiązanych z tą chorobą. Takie wnioski wynikają jednak głównie z badań przedklinicznych; te z udziałem ludzi są w bardzo początkowych fazach.

Problemem w przypadku terapii chorób neurodegeneracyjnych jest droga podawania komórek macierzystych. Ich dostarczanie bezpośrednio do mózgu może być niebezpieczne, w praktyce konieczne będzie wielokrotne powtarzanie iniekcji, ze względu na postępy choroby. Kolejną trudnością jest przeżywalność komórek macierzystych. Jedne z badań na myszach wykazały, że po przeszczepieniu ludzkich komórek macierzystych do mózgu zwierząt tylko niecałe 6 proc. z nich przetrwało tydzień.

Rozwiązaniem może być wykorzystanie zbiornika Ommaya, czyli wszczepianego do głowy urządzenia, pozwalającego na bezpośrednie dostarczanie leków do płynu mózgowo-rdzeniowego w bezpieczniejszy sposób. W niewielkim badaniu klinicznym pierwszej fazy, w którym udział wzięło dziewięciu pacjentów, Hee Jin Kim i współpracownicy właśnie poprzez takie urządzenia dostarczyli komórki macierzyste do mózgu pacjentów, w trzech sesjach w ciągu trzech miesięcy.

Pacjenci zareagowali przejściową gorączką oraz wzmożonym wytwarzaniem białych krwinek – co nie wydaje się poważnym skutkiem ubocznym – ale skuteczność podania komórek macierzystych była niejednoznaczna. Wyniki wskazywały m.in., że komórki utrzymują się w organizmie chorych bardzo krótko, jednak dopiero dalsze eksperymenty będą mogły wykazać, czy taka terapia będzie mieć medyczny sens.

Półtora miliona przeszczepów

Przeszczepianie komórek macierzystych szpiku kostnego jest obecnie uznanym sposobem leczenia niektórych nowotworów krwi (białaczek i chłoniaków) oraz wrodzonych lub nabytych (także w wyniku leczenia innych nowotworów) schorzeń związanych z niewydolnością szpiku, takich jak niedokrwistość. W tym przypadku dawcą komórek macierzystych może być członek rodziny lub inna osoba posiadająca podobny antygen znajdujący się na powierzchni krwinek (decyduje o tym tzw. główny układ zgodności tkankowej). Możliwe są także przeszczepy od samego biorcy.

Transplantacje niosą ze sobą szereg zagrożeń, dlatego stosuje się je jedynie w sytuacji, kiedy inne możliwe terapie zawiodły. Mimo to częstość wykonywania przeszczepów rośnie – w Europie wykonuje się ich ok. 26 tys. rocznie, a na całym świecie liczba przeszczepów w 2019 r. przekroczyła 1,5 mln.

> Faktu, że badania z użyciem komórek macierzystych dają obiecujące rezultaty, nie można traktować jako rekomendacji **do poddawania się niezatwierdzonym terapiom.**

Z tego powodu wciąż prowadzone są badania mające na celu poprawę bezpieczeństwa i skuteczności terapii oraz rozszerzenia zakresu dopuszczonego stosowania. W 2020 r. rozszerzono zakres stosowania przeszczepu komórek macierzystych krwi jako terapii w leczeniu dzieci z leukodystrofią metachromatyczną. Jest to rzadka choroba dziedziczna, w której gromadzące się substancje tłuszczowe prowadzą do niszczenia układu nerwowego i innych narządów. W przeszczepie wykorzystuje się komórki macierzyste pacjenta, które po genetycznym zmodyfikowaniu (naprawieniu wadliwego genu) wprowadza się ponownie do organizmu (terapia znana jest pod nazwą Libmeldy).

Uwaga na oszustów

W 2015 r. Unia Europejska warunkowo zatwierdziła terapię Holoclar, w której pacjentom przeszczepia się komórki macierzyste w celu zregenerowania nabłonka rogówki i przywrócenia ostrości widzenia.

W terapii tej pobiera się niewielki wycinek zdrowej części rogówki, a następnie hoduje się go w laboratorium. Otrzymany w ten sposób płat rogówki można przeszczepić z powrotem do oka. Zabieg może być wykonany jedynie u osób, u których nie doszło do głębokich uszkodzeń zrębu rogówki. Dodatkowo samo pozyskanie komórek do hodowli oka wiąże się z pewnym ryzykiem dla pacjenta, więc procedura nie jest jeszcze doskonała. Dlatego aktualnie prowadzone są badania, których celem jest zastąpienie pobieranych od pacjenta komórek macierzystych oka przeprogramowanymi iPSC, pozyskanymi w bezpieczniejszy sposób.

Zaawansowane badania prowadzone są nad wykorzystaniem komórek macierzystych w leczeniu zwyrodnienia plamki żółtej. To coraz powszechniejsza wśród starzejącej się populacji dolegliwość powodująca utratę widzenia. W tym przypadku komórki macierzyste wszczepia się w okolice siatkówki. Nowe komórki mają na celu pobudzić fotoreceptory i zahamować postępującą utratę wzroku. Przeprowadzono już kilka takich eksperymentalnych zabiegów. Np. w 2018 r. w Londynie nowe leczenie komórkami macierzystymi przywróciło wzrok dwóm pacjentom.

Ważnym polem badawczym są także przeszczepy naszego największego organu – skóry. Dzięki obecności komórek macierzystych może się ona ciągle odnawiać, choć jej zdolności regeneracyjne są ograniczone. U osób z poparzeniami czy innymi ranami można pobrać komórki zdrowego fragmentu skóry, namnażać je w laboratorium, a potem przeszczepić na ranę, co sprzyja jej gojeniu i zmniejsza ryzyko wystąpienia zakażenia. Niestety, ciągle nie udało się wyhodować laboratoryjnie ludzkiej skóry, która zawierałaby wszelkie atrybuty skóry naturalnej (w tym tzw. przydatki, czyli mieszki włosowe, gruczoły potowe i łojowe), co zwiększałoby możliwości przeszczepów. Kilka lat temu opisano jednak udany eksperyment i przeszczep w pełni rozwiniętej skóry u myszy.

W przypadku doniesień z czasopism biomedycznych trzeba pamiętać, że droga od badań na tkankach, na zwierzętach, a nawet od wczesnych prób klinicznych z udziałem ludzi do bezpiecznych zastosowań terapeutycznych jest bardzo daleka. Fakt, że jakieś badania z wykorzystaniem komórek macierzystych przeprowadzone na małej grupie pacjentów dają obiecujące rezultaty czy wydają się bezpieczne, nie może być traktowany jako rekomendacja do poddawania się takim terapiom w nieautoryzowanych klinikach, z których coraz więcej obiecuje spektakularne efekty za odpowiednią opłatą.

Właściciele takich pseudoklinik mogą nawet powoływać się na konkretne publikacje naukowe. Jednak przedstawione w nich wyniki mają wyłącznie wartość naukową, a nie medyczną. Czyli służą dalszym badaniom nad terapiami, z których wiele nigdy nie zostanie zatwierdzonych, bo ich skuteczności lub bezpieczeństwa nie uda się jednoznacznie potwierdzić.

© PAULINA MOZOLEWSKA

Lek na zwłókniałe serca

BARTOSZ KABAŁA

Połączenie metody wykorzystywanej w leczeniu nowotworów i technologii mRNA może pomóc pacjentom kardiologicznym.

Gdy skóra zostanie głęboko zraniona, w procesie jej regeneracji czasami powstają blizny. Blizna jest efektem działania komórek zwanych fibroblastami. Uraz skóry powoduje ich aktywację, produkcję wytrzymałego białka – kolagenu, i wypełnienie ubytku. Fibroblasty mogą działać w ten sposób także w innych narządach. O ile na skórze blizna jest zwykle tylko problemem estetycznym, o tyle w sercu może zaburzać jego pracę.

Fizyczne blizny w sercu mogą mieć różne pochodzenie. W przypadku niedokrwienia mięśnia sercowego (zawału) blizna powstaje lokalnie, w miejscu martwej tkanki, i zabezpiecza serce przed przedziurawieniem. Z bliznowaceniem (włóknieniem) mamy też do czynienia w przebiegu chorób tak powszechnych jak nadciśnienie tętnicze. Ten rodzaj włóknienia jest rozsiany. Kolagen odkłada się w całym mięśniu sercowym i skutkuje zaburzeniami jego kurczliwości oraz niewydolnością.

Dotychczas stosowane i badane terapie hamujące włóknienie nie okazały się wystarczająco skuteczne. Jednak niedawno wyznaczono nowy kierunek leczenia włóknienia serca, korzystając z popularnej w ostatnim czasie terapii przeciwnowotworowej CAR-T.

Aby opowiedzieć o tej technologii, musimy cofnąć się do roku 1989, kiedy izraelscy badacze opracowali metodę tworzenia limfocytów (komórek układu odpornościowego) zdolnych do atakowania nowotworów. Niestety, komórki nowotworowe posiadają ogromną zdolność przeżycia i unikania układu immunologicznego. Dlatego Gideon Gross, immunolog i hodowca mango, oraz Zelig Eshhar, immunolog i były pszczelarz – a więc obaj znający się na niecodziennych połączeniach – postanowili zestawić receptory obecne na limfocytach T z elementami przeciwciał przeciwko konkretnemu białku (np. białku komórki nowotworowej), tworząc chimeryczne receptory antygenowe (CAR). Co więcej, przepis na taki receptor udało się zaaplikować do limfocytu T. Pierwsze tak uzbrojone limfocyty nie były skuteczne, ale kolejne generacje coraz bardziej przekonywały naukowców, że powstaje nowa i obiecująca metoda leczenia nowotworów.

SIVARAM V / REUTERS / FORUM

Operacja kardiochirugiczna na otwartym sercu. Charków, Ukraina, 2016 r.

Obecna, czwarta już generacja jest zdolna do przeżycia i rozpoznawania komórek nowotworowych, a nawet potrafi wydzielać w odpowiednim miejscu substancje wzmagające walkę z nowotworem. W dużym skrócie terapia polega na pobraniu krwi chorego, wyłowieniu z niej limfocytów, genetycznym uzbrojeniu ich w receptory CAR i ponownym wprowadzeniu do organizmu, by toczyły walkę z rakiem.

Terapia wykazała skuteczność zwłaszcza wobec nowotworów krwi. Zarówno Europejska Agencja Leków, jak i jej amerykański odpowiednik dopuściły w 2017 i 2018 r. niektóre limfocyty CAR-T, np. w leczeniu ostrej białaczki limfoblastycznej.

Sukces tej metody pozwolił snuć jeszcze śmielsze plany o leczeniu innych chorób. Jedną z nich jest właśnie włóknienie mięśnia sercowego. Naukowcy z Uniwersytetu Pensylwańskiego wyposażyli limfocyty T w receptory CAR, które atakowały fibroblasty, co miało hamować włóknienie. W warunkach laboratoryjnych, poza organizmem żywym zmodyfikowane genetycznie limfocyty działały skutecznie i długo. Trwałość aktywności limfocytów CAR-T (czasami miesiące lub lata) w przypadku nowotworów jest niewątpliwie korzystna – terapia zabije więcej komórek rakowych. Ale fibroblasty to komórki o janusowym obliczu. Zablokowanie ich na długi czas spowoduje również zatrzymanie procesów regeneracji, budowy tkanki łącznej, produkcji kolagenu.

Aby działaniu limfocytów CAR-T nadać tymczasowy charakter, badacze z Uniwersytetu Pensylwańskiego postanowili połączyć tę terapię z technologią mRNA. Do współpracy zaproszono prof. Drew Weissmana, który wraz z Katalin Karikó stworzył metodę terapeutycznego wykorzystania mRNA, dziś powszechnie używaną w postaci szczepionek przeciw SARS-CoV-2.

A zatem, zamiast pobierać krew, izolować limfocyty, modyfikować je genetycznie, można po prostu wprowadzić do organizmu mRNA ukryte w tłuszczowej osłonce, która dostarczy je do limfocytów T. mRNA to rodzaj materiału genetycznego, w którym zapisany jest przepis na białko – w tym przypadku receptor atakujący fibroblasty. Próby na myszach opisane na początku stycznia tego roku w „Science" dowiodły, że metoda zmniejsza włóknienie serca i poprawia jego kurczliwość w mysim modelu choroby nadciśnieniowej. Co najważniejsze, limfocyty hamowały działanie fibroblastów nie dłużej niż tydzień.

Choć opublikowana praca dotyczy badań na zwierzęcych modelach, to połączenie terapii CAR-T i technologii mRNA, dwóch niezwykle prężnie rozwijanych metod, daje szanse na uproszczenie (i zwiększenie dostępności) już stosowanego leczenia onkologicznego. Można też wyobrazić sobie wykorzystanie tej terapii w leczeniu infekcji szczepami bakterii opornych na antybiotyki, leczeniu guzów litych oraz ich nawet zaawansowanych przerzutów albo chorób autoimmunologicznych. ©

JEDNYM TCHEM

Mówią, że ich instrumenty od razu się ze sobą splotły. Pianistka Hania Rani i wiolonczelistka Dobrawa Czocher najpierw zaprzyjaźniły się w muzyce.

MARCIN ŻYŁA

W PÓŁMROKU SŁYCHAĆ GŁOS: „Zaczyna się od szumu, spektakularnie". Potem, przerywane dźwiękiem skrzypiec i wiolonczeli: „Zobaczmy najpierw, słyszycie się?", „Słyszycie się czy tylko klika?". I pianina: „Mam bardzo dużo Kornelii w uszach". I prośba w kierunku reżyserki: „Możesz warstwy wszystkim trochę wyciszyć?".

Czworo muzyków zna się dobrze: „Tak samo siedzieliśmy w Hanowerze". Kompozycje już ćwiczyli, ale lepiej mieć różne scenariusze: „Tam się nie bać, tam grać dużo, jeśli poniesie! Jak nie poniesie, to zagramy krótko". W studiu – wcześniej piwnicy magazynu w zielonym zakątku Mokotowa, który dziś trochę przypomina okolice Abbey Road – na tureckim dywanie plączą się kable, przedłużacze i ładowarki. Oparty o nóżkę statywu ciężarek utrzymuje reflektor w chwiejnej równowadze.

„Klik mam bardzo wyraźnie, ale ciebie słyszę jak za mgłą" – głos i dźwięk, tłumione piramidkami na ścianach, urywają się nagle. Zwisająca z tyłu czarna kotara absorbuje całe światło. Z nieporządku powoli wydobywa się melodia.

Pojutrze początek trasy.

Z ICH MUZYKĄ BYWA TAK, że choć bardzo chce się o nią pytać i o niej rozmawiać, na końcu brakuje słów. Grzęźnie gdzieś w środku, zadomawia się i wraca w najzwyklejszych chwilach: gdy za oknem pociągu uciekają korony drzew, gdy w zamyśleniu przestaje się słuchać gadatliwego kolegi, albo gdy smugi od świateł samochodów, rzucane nocą przez okno, nieznośnie długo błądzą potem po ścianie.

To nie nastrój – tylko coś niewysłowionego.

Dlatego bardziej niż o muzyce porozmawiamy o przyjaźni: „Może trochę mniej do siebie mówimy, posługujemy się innym, abstrakcyjnym językiem". O krokach naprzód: „Czujemy, że blokady i wszystkie strachy trzeba w pewnym momencie odłożyć na bok. Spróbować przestać słuchać ludzi z zewnątrz, a zacząć robić to, co intuicja podpowiada, że jest dla ciebie czymś słusznym – twoim własnym językiem".

O spotkaniach, rozstaniach i o tym, że w rozłące też można być blisko.

Hania Rani i Dobrawa Czocher, 14 lutego 2021 r.

SONIA SZÓSTAK / MATERIAŁY PRASOWE HANIA RANI & DOBRAWA CZOCHER

MÓWIĄ, ŻE ICH INSTRUMENTY od razu się ze sobą splotły. Pianistka Hanna Raniszewska (występująca jako Hania Rani) i wiolonczelistka Dobrawa Czocher najpierw zaprzyjaźniły się w muzyce.

Działo się to w gdańskiej szkole muzycznej i podczas studiów na Uniwersytecie Muzycznym im. Fryderyka Chopina. Miały wielu wspólnych pedagogów, którzy, jak teraz opowiadają, uczyli, jak opowiadać historie z pomocą swojego instrumentu. I co zrobić, by dźwięk był przedłużeniem myśli i emocji.

Hania: – W przyjaźniach między muzykami jest ten charakterystyczny moment dogrywania się do siebie, niebywałego wsłuchiwania. Wydaje mi się, że muzyka nie lubi ani przesadnej formy, ani mówienia.

Dobrawa: – Bliskość w muzyce to sprawa super delikatna. Podobna do relacji z partnerem. Kiedy wcześniej Hania pisała utwory na wiolonczelę, miałam wrażenie, że robiła to wyobrażając sobie mój dźwięk.

ZMIANA PRZYSZŁA NAGLE. W 2012 r. na zaproszenie Festiwalu Grzegorza Ciechowskiego w Tczewie Rani i Czocher przygotowują nowe aranżacje utworów dawnego lidera Republiki na fortepian i wiolonczelę. Niedługo potem grają koncert w Radiu Gdańsk, dla nich początek wspólnej kariery. Potem zaczynają się występy w mniejszych klubach, przecieranie szlaków poza światem muzyki klasycznej. W końcu: „Biała flaga", płyta z aranżacjami utworów Ciechowskiego, wydana w 2015 r.

Hania: – Przychodziłyśmy z innego środowiska i do końca nie wiedziałyśmy, co nas czeka. W muzyce klasycznej nie nagrywa się tak dużo jak w rozrywkowej, stąd mniejsze doświadczenie, a może i pewien strach. W muzyce popularnej płyta zdaje się być za to wizytówką muzyka – przedstawieniem się. Uznałyśmy, że warto spróbować i zarejestrować ten materiał. Był to zapis tamtego ważnego momentu, jakiejś „pięknej" naiwności związanej z pierwszymi krokami po zupełnie nieznanym gruncie.

Projekt zaprowadził je do niezwykłych miejsc, wydarzeń i ludzi. Jak wtedy, gdy po jednym z koncertów trafiły do leśnego domu w Austrii, gdzie akurat improwizował Mikołaj Trzaska. „Biała flaga" pomogła w pierwszych kontaktach, zbudowała rozpoznawalność i dodała odwagi.

Hania: – To było miłe, ale w pewien sposób wciąż zbyt mało znaczące, by podporządkować pod to całe życie. Miałyśmy wtedy jeszcze inne, bardziej „klasyczne" plany. Walczyłyśmy o miejsca na studiach w Niemczech.

Hania trafiła do Berlina, Dobrawa do Detmold, gdzie kształciła się pod okiem wiolonczelisty Alexandra Geberta.

DZIŚ OD RANA JEST MAŁO CZASU. Dzień wcześniej nagrywały w studiu Polskiego Radia. Skład na trasę jest powiększony – będą występować z altowiolistą Pawłem Czarnym i zaprzyjaźnioną z nimi od lat skrzypaczką Kornelią Grądzką – trzeba rozwiązać sprawę aranżacji koncertowych, zdecydować, kto zagra, w którym miejscu i jak. Po prawie każdej próbie czy sesji nagraniowej czeka ich praca z nagranymi ścieżkami. Jeden *take*, odpowiednik filmowego ujęcia, to czasem ścieżki zebrane z dziesięciu mikrofonów. Materiał zabiera niekiedy całe wieczory i noce.

– To na razie chaos, ale damy radę – śmieje się, spinając włosy, Hania. – Jutro jeszcze chwila oddechu. W sam raz, aby trasę zacząć z nową energią – dopowiada Dobrawa.

Pierwszy koncert zagrają w szczecińskiej filharmonii. W tym samym miejscu, gdzie niedawno nagrywały swoją drugą płytę, „Inner Symphonies".

WŁAŚNIE W SZCZECINIE, w orkiestrze filharmonii, przez trzy lata po powrocie z Niemiec pracowała Dobrawa Czocher: – Moim marzeniem była wówczas stabilizacja, chciałam wiedzieć, co to znaczy żyć na etacie. Zwykłe, życiowe sprawy. Udało mi się wygrać przesłuchanie.

Mówi, że wtedy poznawała siebie. W tym samym czasie Hania wydała kolejne płyty. Najpierw we współpracy z Joanną Longić jako duet Tęskno (płyta „Mi", 2018), później przygotowywaną długo płytę solową z własnymi kompozycjami. Wydana przez niezależną wytwórnię Gondwana Records „Esja" została uznana za jeden z najlepszych debiutów 2019 r.

Wciąż jednak były blisko siebie.

– Nadal wspólnie nagrywałyśmy i spotykałyśmy się przy okazji najróżniejszych projektów – opowiada Hani. – Dobrawa grała na płycie Tęskno, później również na ścieżkach do mojej muzyki filmowej czy teatralnej. Cały czas się spotykałyśmy, obserwowałyśmy, jak muzyka w nas rośnie. ↦

Dobrawa: – Teraz mam poczucie, że każdy powinien robić coś, co jest dla niego radością i przynosi mu w życiu więcej satysfakcji niż stresu. Wykonywanie muzyki klasycznej, pomimo jej wielkości i piękna, często bywało u mnie okupione dyskomfortem emocjonalnym. Później zaczęła się pandemia. Czas, kiedy miałam w końcu chwilę oddechu. Pierwszy raz w życiu poczułam, że się nie stresuję.

Wtedy zaczęła komponować.

MUZYKA KLASYCZNA WYMAGA perfekcyjnej doskonałości, nie toleruje potknięć. – Jeśli nie zagrasz czysto, pięknym dźwiękiem muzyki, którą napisał Beethoven, ona nie zabrzmi jak Beethoven – mówi Dobrawa. – Na scenie jesteś otoczony ludźmi, którzy się na tym znają, orkiestrą. Nie wiem, czy wszyscy tak mają, ale ja w zależności od tego, co wykonuję, inaczej czuję się na scenie. Inaczej gra się solo, inaczej zaś, gdy w którymś momencie utworu cała orkiestra cichnie, by słuchać tylko ciebie. Jeśli chodzi o projekt z Hanią, na scenie cieszę się każdym dźwiękiem.

– To czym w graniu na żywo są wasze niedoskonałości? – pytam.

– Czasem wręcz wartością. W muzyce rozrywkowej błąd staje się często generatorem do zrobienia czegoś nowego.

Hania: – Podobno Miles Davis mówił, że to, czy coś jest błędem, zależy od tego, co się stanie po nucie błędnie zagranej. Jeżeli jest kontynuacja, jeśli łapiesz ten temat, może zdarzyć się coś ciekawego.

– Czy mózg człowieka, który gra własną muzykę, działa inaczej?

– Ta muzyka jest wtedy jak mówienie czegoś, w co głęboko wierzysz, albo czego jesteś pewien w stu procentach, jak twoje imię i nazwisko. Jak można się domyślić, przysparza to dużo mniej wątpliwości. Pamiętam słowa mojej nauczycielki, jeszcze ze szkoły muzycznej: kompozycję, którą wykonujesz, powinno się tak znać, jakby była twoją własną – mówi Hania.

– I jeszcze jedno – dodaje Dobrawa. – W tej naszej muzyce nikt dotąd nie zdążył nam powiedzieć: „tak nie można".

> Światło, może nawet bardziej niż nadzieja, jest teraz potrzebne, bo rzeczywistość jest pełna lęków. Pandemia, granica, klimat, wojna. **Muzyka to zaś nie tylko odskocznia.**

OPOWIEŚĆ O WIOLONCZELI zaczyna się od zastrzeżenia. – Chyba nikt, próbując opisać siebie i swoje wartości, nie powinien ich mierzyć przy pomocy rzeczy zewnętrznych – mówi Dobrawa. – Ale w moim życiu trochę tak jest. Utożsamiam się z wiolonczelą do tego stopnia, że trudno mi sobie wyobrazić, kim bym była bez niej. Jej brzmienie odkrywam od dwudziestu lat. Codziennie uczy czegoś nowego. Może właśnie czułości: że tak, jak jej dotknę, tak się odezwie. Gdy jestem pospinana i próbuję z niej coś wydobyć na siłę, wiolonczela nie reaguje. Niby przedmiot, a jakże świetny nauczyciel.

– Gdy gram, mam ją opartą o ciało, czuję, jak rezonuje – opowiada dalej. – Wibracje przechodzą przez całą mnie. Wiolonczela inaczej odzywa się w różnych przestrzeniach, uczy słuchania, bycia obecnym. Wciąż jesteśmy w swoich telefonach, uciekamy i za czymś gonimy. Instrument muzyczny rozkazuje ci być obecnym, ponieważ inaczej muzyka, którą na nim wykonujesz, nie będzie wiarygodna, przekonująca.

– Gry na fortepianie stosunkowo łatwiej się nauczyć – dopowiada Hania. – Już ze względu na budowę i technikę gry wydaje mi się instrumentem dużo bardziej dostępnym. Za to aby zdobyć w nim biegłość, potrzeba czasu jak przy każdym innym, a może i więcej.

Wiolonczela albo kontrabas to instrumenty, na których dużo trudniej wydobyć piękny i głęboki dźwięk. Ten trud jest fascynujący dla kompozytorów, np. kiedy grasz na kontrabasie czy wiolonczeli bardzo wysoko, co wymaga sporych umiejętności i wysiłku, dźwięk, który się wydobywa, ma w sobie pewien ludzki zaśpiew. Niedoskonały, nie idealnie czysty, z takim zająknięciem, które wydarza się w głosie, który drży. Na przykład ze wzruszenia. Mało co porusza bardziej.

Dobrawa kontynuuje: – Instrumenty smyczkowe są wyjątkowe, ściśle wiążą się z dotykiem. Ruch smyczka, sposób wibrowania, to, jak kładziesz palce na struny, mogą stworzyć unikatowe brzmienie. Tylko twoje. Ludzie siedzący za kotarą są w stanie ocenić, że to właśnie ty grasz ten jeden dźwięk. I ukazujesz nim całą swoją wrażliwość. Cały koloryt swojego ja.

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

LUBLIN, poniedziałek, 7 lutego
Spotkanie z ks. Alfredem Wierzbickim i Tomaszem Przeciechowskim „Oskarżony Alfred Wierzbicki" / online /

REZERWUJ CZAS!

BIELSKO-BIAŁA, środa, 2 lutego
Spotkanie z diakonką Haliną Radacz i Magdaleną Legeńdź, „Rewolucja czy ewolucja, czyli o służbie kobiet w Kościele luterańskim w Polsce"/ online /

OGÓLNOKLUBOWE, środa, 9 lutego
Spotkanie z ks. Adamem Bonieckim – redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego", cykl: Piszą w „Tygodniku" / online /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

NATALIA SADANOWICZ / MATERIAŁY PRASOWE HANIA RANI & DOBRAWA CZOCHER

Koncert w Nowym Teatrze, Warszawa, 10 listopada 2021 r.

Hania: – A może moja muzyka jest tak spokojna, bo twój dźwięk jest niezwykle czuły?

OSTATNIEJ JESIENI ukazał się nowy album Hani Rani i Dobrawy Czocher, „Inner Symphonies", pierwszy nagrany w ramach kontraktu z Deutsche Grammophon (wytwórnia wydała też reedycję „Białej flagi"). Dziesięć nowych utworów, w większości skomponowanych wspólnie, ułożyło się w godzinny program, niby-symfonię.

– To historia opowiedziana jednym tchem – mówią.

W teledysku do utworu „Malasana", wyreżyserowanym przez Mateusza Miszczyńskiego, wystąpiła sześcioosobowa rodzina uchodźców z Czeczenii, która przez 123 dni mieszkała na dworcu w Brześciu na granicy białorusko-polskiej, nie mogąc ani wrócić, ani przedostać się na naszą stronę. Nawet w krótkiej formie można opowiedzieć, dlaczego ludzie uciekają przed wojnami.

Hania: – Tytułem „Inner Symphonies" nie chciałyśmy niczego sugerować. Myślałyśmy bardziej o bardzo intymnym spleceniu się wielu historii. Naszych dwóch, ale też naszych instrumentów. O myśleniu wielowarstwowym, jakbyśmy dysponowały całą orkiestrą. Płyta trochę brzmi jak symfonia: jest uwertura, jakiś rodzaj wprowadzenia i nieskończona ilość brzmień. Kolejność utworów również ma znaczenie, bo myślimy też koncertowo, jak będziemy to wykonywać, jak zabrać słuchacza w pewną podróż.

Dobrawa: – W wędrówce do światła przechodzimy przez wiele intensywnych historii. Na płycie światło się przebija, czasem to tylko jeden takt w utworze. Prześwituje, nawet z mroku.

TO ŚWIATŁO, może nawet bardziej niż nadzieja, jest teraz potrzebne – mówią Hania i Dobrawa – bo rzeczywistość jest pełna lęków. Pandemia, granica, klimat, wojna. Muzyka to zaś nie tylko odskocznia.

Hani kojarzy się z wartościami – jak z podręczników Władysława Tatarkiewicza. – Z prawdą, dobrem i pięknem. Brzmi banalnie, ale to największa rzecz, o jaką można walczyć. Dla ludzi, dla natury, dla siebie samego. To z takim uczuciem chcemy pozostawiać słuchaczy po naszych koncertach: że jeszcze nie wszystko stracone. A muzyka ma tę siłę, bo opowiada o świetle nie słowami, tylko gestem, który uderza prosto w serce. Jak uścisk dłoni albo przytulenie. Pierwsze spotkanie i spojrzenie w oczy. Lekcja uwrażliwiania i empatii.

Dobrawie muzyka kojarzy się z podróżą, w której wciąż trzeba podejmować decyzje: – Wierzę, że każdy dzień to są wybory, i jeśli mój wybór dziś będzie chociaż trochę lepszy niż poprzedniego dnia, np. dla przyrody, dla drugiego człowieka, to i tak widać już to światło.

Chwilę rozmawiamy o końcu świata. O książce „Koniec lodu", której autor, Dahr Jamail, były reporter wojenny, wraca do swoich korzeni, uznając, że skoro jesteśmy świadkami katastrofy klimatycznej, jedyne co nam pozostało – to zwrócić się ku sobie. O filmie „Ostatnia miłość na Ziemi", w którym na skutek epidemii ludzie tracą wszystkie zmysły. I dopiero ślepi, bez węchu i smaku, podchodzą do siebie.

CZTERY MIESIĄCE KONCERTÓW w Polsce i Europie właśnie dobiegają końca. Kilka dni temu w kameralnym Monochrom Studio w Kotlinie Kłodzkiej Hania Rani zaczęła nagrania na swój trzeci solowy album, który ukaże się w przyszłym roku. Dobrawa Czocher natomiast podjęła się nagrania swojej debiutanckiej płyty solowej w Studiu 2 Polskiego Radia. Pod koniec tygodnia zagrają ostatnie na jakiś czas wspólne koncerty – 5 lutego w sali Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu, dzień później w katowickim NOSPR.

To już koniec trasy.

©℗ MARCIN ŻYŁA

ANTHONY BARBOZA

Ishmael Reed, Nowy Jork, 1984 r.

Masowe histerie

JAN BŁASZCZAK

Epidemia Dżes Gru zbiera coraz większe żniwo. Biali Amerykanie zaczynają tańczyć, podrygiwać i dziwnie się ubierać. Zatrzymania tej straszliwej plagi podejmują się ostatni templariusze. Oto świat, w którym rozgrywa się „Mambo dżambo".

Obrona tezy, że Ishmael Reed jest jednym z najwybitniejszych żyjących pisarzy amerykańskich, wiąże się z przykrym paradoksem. Najłatwiej uwiarygodnić ją, cytując fragmenty recenzji z opiniotwórczych i wysokonakładowych mediów oraz wspominając uznanych pisarzy, którzy składali mu hołdy. Zarówno tych, którzy robili to bezpośrednio, jak Thomas Pynchon czy autorzy trylogii „Illuminatus!", jak i tych inspirujących się jego pomysłami (Norman Mailer, E.L. Doctorow). Sęk w tym, że od początku swojej długiej kariery pisarz konsekwentnie dawał dowody głębokiej niechęci dla literackiego establishmentu. Objawiała się ona w tematach jego powieści i sztuk, działalności redaktorskiej i wydawniczej, a także – szerzej – w sposobie pisania.

Swoje powieści Reed budował z elementów znalezionych daleko poza klasycznym, a więc białym kanonem. W swoim najwybitniejszym dziele, „Mambo dżambo", zderza ze sobą egipską mitologię, „nigeryjskiego Ulissesa", haitańską religię voodoo i wiele, wiele więcej. Robi to z brawurą godną jazzowych mistrzów – zresztą przyjaciół z młodości. Bo wyjątkowy status Reeda można też opowiedzieć inaczej. Pisząc o tym, że po jego teksty sięgali Albert Ayler, Lester Bowie czy Bobby Womack. Podkreślając, że w oparciu o „Mambo dżambo" George Clinton zbudował P-Funkową mitologię słynnej grupy Parliament. Wspominając, że rapował o nim Tupac. Wreszcie oddając głos młodszym afroamerykańskim pisarzom pokroju Colsona Whiteheada, którzy nazywają go mistrzem. Być może w ten sposób trudniej wedrzeć się do literackiego panteonu. Reedowi jednak nigdy nie chodziło o to, aby było łatwo. Liczyło się, aby było na własnych warunkach.

Po niemal pół wieku znakomita powieść Ishmaela Reeda doczekała się wreszcie polskiego przekładu.

Ludzie renesansu

Kiedy zbierałem materiały do książki o nowojorskiej Bohemia na polskim Lower East Side, jego nazwisko otwierało mi wiele drzwi. Po obowiązkowej laudacji na cześć pisarza moi rozmówcy płynnie przechodzili do najbardziej wyrazistego wspomnienia związanego z autorem „Mambo dżambo". Często dotyczyło ono spektakularnej bójki, jaką stoczył z byłym żołnierzem piechoty morskiej.

Podczas gorącej dyskusji w nowojorskim Stanley's Bar pisarz stanął w obronie Malcolma X, który skomentował informację o zabójstwie Kennedy'ego słowami: „kto sieje wiatr, ten zbiera burzę". Pojedynek na argumenty szybko zamienił się w pojedynek na pięści. Pechowy marines zakończył tamten wieczór w szpitalu. „Męczą mnie głupcy" – miał powiedzieć poobijany Reed, wracając do stolika.

W swoim radykalizmie pisarz nie był aż tak wyjątkowy. Bycie afroamerykańskim twórcą przez długie dekady oznaczało gotowość do konfrontacji. Czarni pisarze często zasilali organizacje polityczne i inne grupy, z których nie wszystkie popierały pokojowy model Martina Luthera Kinga. Nie byli zresztą pierwszym pokoleniem literatów dopuszczającym inne formy walki niż tylko piórem. Tak było już w latach 20., w epoce renesansu harlemskiego, kiedy rozgrywa się akcja „Mambo dżambo ".

– Ten ruch stanowił bezpośrednią reakcję na lato 1919 roku, kiedy w całym kraju dochodziło do zamieszek na tle rasowym – tłumaczy Reed w rozmowie z „Tygodnikiem". – Ducha tego czasu udało się oddać Claude'owi McKayowi w wierszu

„If We Must Die". W jego ostatnim wersie pisał: „przyciśnięci do muru, umierający, podejmujemy walkę".

W „Mambo dżambo" nie brak odniesień do renesansu harlemskiego i jego bohaterów. Obraz prezentowany przez Reeda nie jest jednak jednostronny. Kiedy pytam go o podstawowe różnice pomiędzy pokoleniem pisarzy debiutujących w latach 20. i jego generacją, zaczyna od skali. Alain Locke, intelektualny przewodnik renesansu harlemskiego, pisał, że talent jest domeną nielicznych. Zdaniem Reeda liczba afroamerykańskich twórców publikujących dzieła o dużej wartości literackiej w latach 60. była znacznie większa. Podstawowa zmiana dokonała się jednak na poziomie języka.

– Uważam, że twórcy związani z harlemskim renesansem, z wyłączeniem kilku, pisali dla białego odbiorcy – twierdzi Reed. – Powiem więcej: dla białego mecenasa. Dlatego ich styl był wysoki i bardzo sformalizowany. My byliśmy bardziej populistyczni. W tym sensie, że czerpaliśmy z tego, jak mówi ulica. Na poziomie języka dokonała się rewolucja.

Ważne lekcje Langstona Hughesa

Żywe zainteresowanie losami czarnej biedoty i jej kulturą było jednym z powodów, dla których duchowym mentorem Reeda był Langston Hughes. Na pierwszy rzut oka jeden z najwybitniejszych amerykańskich poetów był jego skrajnym przeciwieństwem. Osobą o wielkiej delikatności, wręcz nadwrażliwą, trapioną ciągłymi rozterkami i wyrzutami sumienia. Jako twórców Hughesa i Reeda łączyło jednak bardzo wiele.

Obaj dzielili zamiłowanie do muzyki popularnej i ulicznego slangu. Pisali też przede wszystkim z myślą o czarnym odbiorcy. Nie tylko amerykańskim, bo ich perspektywa sięgała daleko poza granice kraju. Hughes w młodym wieku odwiedził wybrzeża Afryki, przeżywał chwilę grozy w pogrążonej w wojnie Hiszpanii i jako sympatyk socjalistycznej rewolucji odwiedzał sowieckie republiki.

Autor „Mambo dżambo" podążał jego ścieżką. Podróżował, studiował inne kultury, nawiązywał znajomości. Przy czym liczył się dla niego nie tylko intelektualny rozwój. Swoją sieć kontaktów i komunikacyjne zdolności Reed rozwijał w konkretnym celu: aby nie udało się go tak łatwo wyciszyć. – Historia Hughesa nauczyła mnie tego, że jeśli jesteś czarnym pisarzem w USA, to nie jest ważne, jak pięknie piszesz. Ważne jest, co masz do powiedzenia. Tylko tą ścieżką możesz zdobyć sympatię białego establishmentu. Dlatego w bardzo ważnej antologii „Black Fire" Amiri Baraka i Larry Neal nie uwzględnili żadnego tekstu Jamesa Baldwina. Wyszli z założenia, że wielu mu współczesnych pisało równie dobrze, ale po prostu nie obiecywało białym wybawienia. Baldwin uspokajał liberałów i tylko z tego powodu był tak wielbiony przez media głównego nurtu.

Napisać, że Reed nigdy nie głosił pojednania pod gwiaździstym sztandarem, byłoby sporym eufemizmem. Począwszy od lat 60., pisarz specjalizuje się w podnoszeniu ciśnienia swoim rodakom. Kiedy całkiem niedawno świat zachwycał się młodą czarną poetką Amandą Gorman, która wystąpiła podczas inauguracji prezydenta Joego Bidena, Reed załamywał ręce: – Ona mówi wszem i wobec, że zainspirował ją musical „Hamilton". Tak się składa, że Aleksander Hamilton sprzedawał czarne kobiety. Mijają wieki, a my dalej piszemy peany na cześć handlarzy niewolników!

Reed nie ograniczył swojej reakcji na popularność musicalu do prasowego komentarza. Wraz z żoną Carlą Blank przygotował sztukę teatralną zatytułowaną „The Haunting of Lin-Manuel Miranda". Tytułowego twórcę broadwayowskiego hitu nawiedzają w niej duchy niewolników i służących, dając mu lekcje historii. Na Reeda zewsząd spadały gromy. Sytuacja odrobinę się zmieniła wraz z publikacją raportu, który na podstawie historycznych dokumentów ostatecznie potwierdził, że Hamilton był uwikłany w handel niewolnikami.

– Wyobraź sobie, że to nie wystarczyło. Wciąż grają tę cholerną rzecz! Białe elity po prostu nie potrafią pogodzić się ze swoją przeszłością. Widzą siebie jedynie jako rzeczników wolności. Nie chcą pamiętać o okrucieństwie i ludobójstwach. Moją rolą jest więc o nich przypominać.

Mając takie podejście, rzeczywiście warto budować swoją pozycję także za granicą. Co prawda Reed nie może się pochwalić hołdami składanymi przez odwiedzających Waszyngton prezydentów (co miało miejsce w przypadku Hughesa i Léopolda Sédara Senghora), ale jego filozofia i tak się opłaciła. Kiedy amerykańskie media nie chcą publikować jego artykułów, autor wysyła je do redakcji „Haaretz", „Liberation" czy „El Pais". Zwykle z dobrym skutkiem.

Hughes pomógł Reedowi nie tylko jako źródło inspiracji i wskazówek dotyczących kariery literackiej czarnego pisarza w Ameryce. Poeta osobiście rekomendował wydawnictwu jego debiutancką książkę „The Free-Lance Pallbearers". Nastąpiła zmiana warty.

Czarna siła i biała gorączka

Gdybym miał wskazać jednego białego twórcę, którego dorobek wpłynął na Reeda, byłby to Nathaniel Hawthorne. Tym, co łączy dwóch autorów, jest olbrzymia niechęć dla wszelkiej hipokryzji. Reed bez zastanowienia mówi, że woli sadystycznych szeryfów z Południa niż decydentów z Broadwayu. Tymczasem w opowiadaniu „Young Goodman Brown" Hawthorne rozprawiał się z dwulicowością purytańskiej Ameryki. Świętoszkowaci mieszkańcy Nowej Anglii wymykają się wieczorami do lasu, by tam ku ogólnej radości oddawać się orgiom i demonicznym rytuałom.

Reed zwraca uwagę, że XIX-wieczny pisarz świadomie odnosił się do mitu czarnego człowieka w lesie. Figury, która budziła powszechny strach w purytańskiej Ameryce. Jego zdaniem to pierwsza z listy wielu czarnych mocy, które z jakiegoś powodu doprowadzały tłumy do białej gorączki. To właśnie jej poświęcone jest „Mambo dżambo": – Głównym bohaterem tej książki jest nie postać, ale siła – Dżes Gru. Za tą decyzją stoi myśl, że w czarnej kulturze jest coś, co powoduje masową histerię. To jest pokłosie purytańskiego wierzenia, że w lesie mieszka czarny człowiek, który korumpuje obywateli. Nikt go nie widział, ale trzeba z nim walczyć. I tak to trwa: demony w purytańskim lesie, rock'n'roll, *critical race theory* – czarna kultura nieustannie ma w sobie moc wprowadzania białych w dygot.

Ta myśl stanowi nie tylko jeden z interpretacyjnych kluczy do „Mambo dżambo", na kartach którego śledzimy rozwój epidemii, każącej zarażonym ekstrawagancko się ubierać, mówić slangiem i nade wszystko tańczyć. Nawiązanie do Hawthorne'a daje także wgląd w proces twórczy Reeda. Autora, którego narracja nie jest linearna. Rozwija się raczej poprzez skojarzenia, a do kolejnych wątków wprowadzają symbole i metafory. Reed przyznaje, że to efekt fascynacji muzyką improwizowaną. Wśród jego przyjaciół od zawsze znajdowało się równie wielu przyszłych ↦

↦ literatów, co gigantów jazzu, by wymienić chociażby Alberta Aylera, Cecila Taylora, Sun Ra czy Archiego Sheppa. Podobnie jak ich utwory, tak „Mambo dżambo" rozwija się niekiedy zgodnie z trudnym do uchwycenia kluczem. Subtelne znaki, nieoczywiste podobieństwa i pokrętne analogie nieustannie tkają wyjaśniającą świat, konspiracyjną sieć.

Detektywistyczno-spiskowy sznyt w połączeniu z humorem sprawiają, że „Mambo dżambo" czyta się lekko, nawet wtedy, kiedy Reed łamie wszelkie reguły gry. A robi to chętnie. W zestawieniu z tą niedługą powieścią „Incepcja" Nolana to po prostu kolejny sezon „Złotopolskich". Mój ulubiony fragment to ten, w którym szaman Papa LaBas demaskuje swojego głównego adwersarza. Świat wokół zamiera i tylko schwytany złoczyńca domaga się wyjaśnień. Chyba bardziej *pro forma*, niż licząc na pomyślny rozwój wydarzeń. Papa LaBas przychyla się jednak do jego prośby i wyjaśnia. Przez następnych 40 stron! Wyjaśniając, cofa się do starożytnego Egiptu, by poczynając od Seta i Ozyrysa rozwijać alternatywną mitologię świata skomponowaną z rozmachem, ale też wewnętrzną logiką.

Siła Reeda polega również na tym, że absurdalnemu humorowi i formalnej swobodzie towarzyszy gigantyczny zasób wiedzy. Fakt, uporządkowanej w niecodzienny sposób, ale zawsze solidnie osadzonej w historii, kulturze, religioznawstwie.

– Tłumacząc Reeda spodziewałam się interesującej zabawy formą, tymczasem po kilkunastu stronach zorientowałam się, że wbrew zapowiedziom nie jest to surrealistyczny fajerwerk, tylko literatura z przesłaniem, mocno osadzona w realiach historycznych – przyznaje tłumaczka „Mambo dżambo" Teresa Tyszowiecka BlasK! – Recenzje, które czytałam, marginalizowały ten aspekt.

Kiedy szaman demaskuje złoczyńcę, ten domaga się wyjaśnień. I szaman wyjaśnia.

Cofa się do starożytnego Egiptu, by poczynając od Seta i Ozyrysa rozwijać alternatywną mitologię świata do dzisiaj. Przez następnych 40 stron!

Na tropie królewskiej cząstki

„Mambo dżambo" czerpie garściami z afrykańskich i karaibskich wierzeń. Bohaterów powieści nawiedzają loa – bóstwa obecne w haitańskim voodoo i zakorzenione w religii afrykańskiego ludu Joruba. Ten duchowy świat pisarz znał nie tylko z książek. W jego rodzinie przekazywano opowieść o kobiecie, która podczas kłótni rzuciła klątwę na jego babcię. Reed traktował tę historię z przymrużeniem oka, dopóki w Nowym Jorku nie zaprzyjaźnił się z Joe Overstreetem. Malarzem, który na płótnach malował vévé – geometryczne kształty-znaki przywołujące haitańskie loa.

Reed w poszukiwaniu korzeni tych wierzeń wybrał się do Nigerii. Tam studiował język joruba i poznał słynną powieść „Igbo Olodumare" D.O. Fagunwy. Zrozumiał, że wierzenia i mity, które docierały do południowych Stanów za pośrednictwem Puerto Rico czy Haiti, wyrastają ze starej, nobliwej monoteistycznej religii. – Prowadziłem te badania, ponieważ ani w szkole, ani w domu nikt mi nie powiedział, że potężna afrykańska religia przetrwała niewolnicze statki i wciąż ma miliony wyznawców. Dlatego też loa czy też orisze, jak nazywają je Jorubowie, mogą pojawiać się na całym świecie. Również w Nowym Jorku lat 20.

W odczuciu Tyszowieckiej BlasK! powieść Reeda jest próbą podniesienia morale Afroamerykanów. Pokazania, że ich historia to nie tylko „krew, pot i łzy". Tłumaczka „Mambo dżambo" zwraca uwagę na wielowymiarowość postaci Abdula Sufiego Hamida, czarnego intelektualisty i społecznika, który z jednej strony wykonuje ważną pracę u podstaw, z drugiej – popełnia katastrofalny w skutkach błąd podyktowany przekonaniem o konieczności doszlusowania do poziomu białych. – Propozycja Reeda jest radykalnie różna: zamiast się ścigać na zasadach białych, Afroamerykanie powinni starać się dogrzebać do królewskiej cząstki swojej natury i kultury.

Zgłębianie afrykańskich i karaibskich religii uświadomiło Reedowi ważną prawdę o swoim kraju. – Wyobraź sobie, że niewolnicy często ukrywali swoich świętych pod katolickimi przykrywkami. Na przykład święty Patryk ze względu na swoje moce był przykrywką dla Dambali – loa, które jest wężem. I to są strategie, które dotykają tego, co jest kluczowe w historii Ameryki. Tu od początku musisz wybrać: akulturacja czy opór.

„Mambo dżambo" można opisać jako szaloną podróż przez tradycje, które oparły się wpływowi Zachodu. Pewnie dlatego na amerykańskim rynku była to powieść bez precedensu, a jej wyjątkowość wciąż robi wielkie wrażenie.

– Przez pięćdziesiąt lat nikt nie zdołał mnie „zelvisować" – śmieje się pisarz. – Zrzynka z rock'n'rolla się udała, z „Mambo dżambo" – nie. © JAN BŁASZCZAK

Ishmael Reed **MAMBO DŻAMBO**
przeł. Teresa Tyszowiecka BlasK!, Ha!Art, Kraków 2022

OGŁOSZENIA

Sąd Rejonowy w Brzesku, Wydział I Cywilny, pod sygn. I Ns 574/21 prowadzi postępowanie z wniosku Dariusza Potoczek, o stwierdzenie nabycia spadku po Zbigniewie Potoczek, zm. 29 maja 2019 r. w Nowym Sączu, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Czchowie, pow. Brzesko.

Sąd wzywa spadkobierców Zbigniewa Potoczka do zgłoszenia się do tut. sądu i udowodnienia swych praw do spadku w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu toczy się postępowanie o sygn. akt I Ns 683/21 z wniosku Elżbiety Krzemińskiej i Kazimierza Krzemińskiego o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości z dniem 31.04.1990 r., oznaczonej jako działka nr. 2517, położonej w gminie Gorzyce, obręb Wrzawy, o pow. 0,54,00 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się i wykazali swe prawa do tych nieruchmości, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu.

KACPER CHMIELOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT

Weronika Książkiewicz, Teodor Koziar i Maciej Stuhr w filmie „Powrót do tamtych dni", 2021 r.

Tata przestał

MONIKA OCHĘDOWSKA

Porządek polskich narracji alkoholowych długo wyznaczała opowieść stawiająca w centrum uwagi męskie doświadczenie picia. Właśnie straciła ona swój zwodniczy, przygodowy blichtr.

Prozaiczki i prozaicy, których dzieciństwo przypadło na lata 80. i 90., przez ostatnią dekadę uparcie wracali w swoich książkach do początków III RP. Ich twórczość, z początku przyjmowana entuzjastycznie, z czasem zaczęła być traktowana z coraz większym dystansem jako odpowiedź na silnie obecną w ogólnoświatowej popkulturze sentymentalną tendencję. A nawet modę sugerującą, że wraz z obwieszczonym przez Francisa Fukuyamę wyczerpaniem dostępnego spektrum projektów ustrojowych dobrnęliśmy (jeśli nie w przypadku historii, to co najmniej w pomysłach na rozrywkę) do najszczęśliwszego z możliwych końców.

Skoro od dwudziestu lat w muzyce popularnej nie pojawił się żaden nowy gatunek (ostatni był dubstep), kino nie pozwala starym bohaterom godnie zestarzeć się i odejść, produkując sequele, prequele i rebooty, a nastolatki zdzierają na deskorolkach wciąż te same modele trampek – może także literaturze pozostaje udawanie, że XXI wiek nigdy na dobre się nie rozpoczął.

W nieustępliwym oglądaniu się za siebie dzisiejszych czterdziestolatków można się jednak domyślać jeszcze jednego, lokalnego pretekstu. Czas transformacji ustrojowej reprezentuje to, do czego może i tęsknimy, ale zarazem to, czego nie znosimy, ponieważ okazało się płynne, zwodnicze i podszyte lękiem – i jako takie nas uformowało. Wydaje się, że odzyskać spokój będziemy mogli – jak w „Gwiezdnych wojnach" – jedynie odbierając władzę despotycznym, destrukcyjnym ojcom. To właśnie do nich wracamy tak konsekwentnie w swoich opowieściach.

Prolog I: Imperium kontratakuje

Dwadzieścia lat temu w emitowanym przez TVP programie „Rozmowy na nowy wiek" o prognozy dla wchodzącego właśnie w dorosłość pokolenia poproszono socjologa Pawła Śpiewaka. Profesor przewidywał, że rewolucja roku 1989 i rychłe wejście Polski do Unii Europejskiej przyczynią się do narodzin mieszczaństwa. Z uniwersytetów, mówił Śpiewak, wychodzi właśnie nudnawe pokolenie technokratów, mające przede wszystkim szacunek dla ładu i pieniądza. Dlaczego? Urodzeni w początkach lat 80. są co prawda potomkami *baby boomers* dorastających w cieniu radykalnej kontrkultury, ale jednocześnie – inaczej niż ich rówieśnicy na Zachodzie – dotkniętych nieustannymi brakami utrzymującego się całą dekadę systemu kartkowego. Lęk o stabilizację życiową pchnął „polskich boomersów" do fali strajków przeradzających się w rewolucję, ale na dłuższą metę nie przyniosła ona oczekiwanych efektów. Dlatego dzieci pokolenia Solidarności – tłumaczył Śpiewak – będą dążyć przede wszystkim do finansowego bezpieczeństwa oraz korporacyjnego sukcesu. Milenialsi za kolejnych dwadzieścia lat mieli być według przewidywań socjologa raczej sytymi burżujami niż żarliwymi obywatelami biorącymi aktywny udział w życiu publicznym.

↦

↦ „Malcziki" Yugotonu rzeczywiście stały się „Murami" tego pokolenia – jak obrazowo podsumował niedawno urodzony w latach 80. filozof i publicysta Piotr Stankiewicz (rocznik '83), a tezy Śpiewaka znalazły potwierdzenie w wydanym niedawno przez Fundację im. Stefana Batorego raporcie „Młodzi 2020 – w poszukiwaniu tożsamości". Czytamy w nim, że w sferze politycznej nie tylko urodzeni w latach 80., ale wszystkie wstępujące w dorosłość grupy generacyjne funkcjonowały w cieniu przewag pokolenia Solidarności.

„Czy byli to świetnie wykształceni i znający języki, szybko obejmujący funkcje kierownicze w latach 90., czy zagubieni w chaosie jeszcze niedokończonych przemian ustrojowych oraz niedopełnionej pozycji kraju w Unii Europejskiej (przełom lat 90. i pierwszej dekady XXI wieku), czy szukający szans na lepsze życie w migracji (szczególnie po 2004 roku), czy próbujący – mimo pozostawania w cieniu starszego pokolenia – odnaleźć własną tożsamość i konkurencyjność w relacji już nie tylko ze »starszymi braćmi«, ale *de facto* z rodzicami – wszystkie te roczniki wchodziły wyłącznie w role uzupełniające starszych i ich pozycję, poglądy, przywództwo" – piszą autorzy raportu.

Dominujące role w życiu politycznym sprawują wciąż twórcy III RP, postrzegani przez wielu jako Mroczni Jedi (wywodząc się z kontrkultury, przeszli wyraźnie na „ciemną stronę mocy"). Dzisiejsi czterdziestolatkowie są jedynie zakładnikami ich odwiecznych konfliktów toczonych w odległej galaktyce.

Prolog II: Mroczne widmo

Około 80 procent – na tyle szacuje się wzrost spożycia alkoholu w okresie od 1989 do 1993 r. względem wcześniejszych lat. Przy czym dane z tamtego czasu publikowane przez Główny Urząd Statystyczny nie uwzględniają np. powszechnej, nielegalnej produkcji czy trunków kradzionych podczas transportu. Polska trafia do pierwszej dziesiątki krajów o najwyższym spożyciu alkoholu (10-11 litrów na mieszkańca). To także moment, gdy picie staje się mocno zróżnicowane ze względu na płeć: mężczyźni zaglądają do kieliszka pięć razy częściej niż kobiety. Nic dziwnego, że dekadę zamyka nagrodzona literacką Nike powieść Jerzego Pilcha „Pod Mocnym Aniołem", którą zekranizuje parenaście lat później mistrz wódczanego kina, Wojciech Smarzowski.

> Przez wiele lat doświadczaliśmy pokoleniowego wyparcia, **próbując przemalować ból lat 90. w intensywne kolory** dostępnych wtedy nagle możliwości i dóbr – klocków Lego, gier wideo, kaset VHS.

Przez wiele dekad porządek polskich narracji alkoholowych wyznaczała utrwalona wtedy przez Pilcha opowieść, stawiająca w centrum męskie doświadczenie picia – na poły łotrzykowskiego, na poły romantycznego. Wybór na protagonistę artysty, wrażliwca delikatniejącego na kacu, nobilitował alkoholizm, czyniąc z niego atrakcyjny model kontestowania rzeczywistości. Picie stawało się według niego jedynie słuszną odpowiedzią na *weltschmerz*, umożliwiało wgląd w człowieczeństwo aż po trzewia (po młodopolsku: „piję, piję, bo ja muszę, bo jak piję, to mnie kłuje; wtedy w piersi serce czuję"). Było wyrazem niezgody na świat i jego porządki, a zarazem załatwiało malownicze rozstanie z mieszczańskim, konformistycznym stylem życia (widać to doskonale w jednej ze scen filmu Smarzowskiego, gdy bohater z ułańską w swoim mniemaniu fantazją przedstawia się rodzicom narzeczonej jako skończony pijak). Do tak skonstruowanego łotrzyka koniecznie garną się piękne kobiety, którym protagonista łaskawie pozwala towarzyszyć w swoich ciągach – ostatnią z takich bohaterek spotykamy w najnowszej powieści Jakuba Żulczyka „Informacja zwrotna" (2021).

Pijący – dokładnie jak bohater Żulczyka, muzyk i wokalista Marcin Kania – zaliczyli się w ten sposób do porządku rock'n'rollowego, stali samozwańczymi spadkobiercami kontrkultury. Tymczasem przypominają co najwyżej *rocking horse people* z piosenki Beatlesów: wydaje im się, że biegną, gdy tak naprawdę utknęli w miejscu, jak koniki na biegunach.

Przebudzenie mocy

Gdy z początkiem zimy na ekranach kin pojawił się film Konrada Aksinowicza „Powrót do tamtych dni", łączący opowieść o kolorowym jak upragnione klocki Lego roku 1991 z doświadczeniem dorastania w cieniu uzależnionego ojca, dla polskiej prozy kończył się bardzo ważny rok. Rok, w którym narrację alkoholową przejęły wreszcie od uzależnionych, pozbawiając rockowego blichtru, dorosłe dzieci i żony alkoholików. Do rąk czytelniczek i czytelników trafiły m.in. takie pozycje jak „Zbyt wiele zim minęło, żeby była wiosna" Filipa Zawady (rozliczenie z dziadkiem, weteranem II wojny światowej i jednocześnie draniem terroryzującym rodzinę, głównie wnuka), „Mireczek" Aleksandry Zbroi (pamiętnik dorastania z ojcem pijakiem, którego narratorka nigdy nie miała okazji poznać naprawdę, trzeźwego), „Wilcza rzeka" Wioletty Grzegorzewskiej" (jednym z wątków książki jest ucieczka od męża, którego historia uzależnienia sięga lat 80.), „Informacja zwrotna" Jakuba Żulczyka (opowieść o uzależnionym od alkoholu muzyku i jego – dorosłym dziś – synu), „Sztuka noszenia masek" Huberta Fryca (tu bohaterem jest z kolei pisarz, syn alkoholika), opowiadanie „Śnieżyca" Dominiki Słowik z tomu „Samosiejki" (w którym uzależniona od alkoholu jest matka), a także „Dom w butelce" Agnieszki Jucewicz i Magdaleny Kicińskiej (rozmowy z dorosłymi dziećmi alkoholików przeprowadzone przez dziennikarki, które także dorastały w dysfunkcyjnych domach).

Ale droga do hakowania łotrzykowsko-romantycznej narracji męskiego narratora zaczęła się na dobre od wydanej w 2015 r. „Pięćdziesiątki" Ingi Iwasiów. Alkoholizm jej bohaterki Małgorzaty Miłej nie służył twórczości, nie był także próbą zapomnienia o traumie wojny, dzieciństwa, wymazania z pamięci miłości życia ani sposobem na dramatyczne zakończenie egzystencji. Przeciwnie, przeplatał się z codziennością, w której żadna rodzinna impreza nie może się obyć bez zimnej półlitrówki. W tym samym roku jako uzależniona, ale też dorosła córka alkoholików, przedstawiła się w „Najgorszym człowieku na świecie" dziennikarka muzyczna Małgorzata Halber. Jej „Najgorszy..." był dziennikiem wychodzenia z nałogu, zapisem kolejnych terapii, próbą przepracowania relacji z rodzicami.

Po śmiałym wyznaniu Halber – postaci dla milenialsów ważnej, bo dzisiejsi czterdziestolatkowie dorastali z nią muzycznie jako widzowie programu „5-10-15", a po-

tem kultowej telewizji VIVA – o uzależnieniach zaczęli mówić inni ludzie kultury tego pokolenia. Wreszcie powstał popularny, internetowy program o wychodzeniu z nałogów producenta filmowego Marka Sekielskiego, a także podkast Juliusza Strachoty i Jakuba Żulczyka „Co ćpać po odwyku". Autor „Informacji zwrotnej" chyba jako ostatni na swojego bohatera – jeszcze w nurcie Pilchowym – wybrał kogoś z pokolenia boomersów, jednocześnie komplikując, a nawet uniemożliwiając jego relację z synem. Ta powieść jest ważna o tyle, że uzależnionego od alkoholu Kanię czyni współodpowiedzialnym za aferę reprywatyzacyjną sięgającą czasów transformacji. Kania winny jest zarówno utrwalania pokoleniowych nierówności (boomersi zagarniają dla siebie w tej historii wszelkie dobra i kluczowe stanowiska), jak i znikania w ich cieniu kolejnych pokoleń. Trzeźwiejąc, będzie musiał ostatecznie pogodzić się z nieobecnością następcy.

W tym samym mniej więcej czasie pojawiła się książka będąca lustrzanym odbiciem „Informacji zwrotnej". „Mireczek" Aleksandry Zbroi to co prawda nie fikcja, lecz nieprawdopodobnie szczery pamiętnik córki alkoholika, ale jego autorka także poszukuje informacji zwrotnej – próbuje dociec, dlaczego ojciec nie trzeźwiał. Z powodu traumy związanej z wojskiem? Problemów w dzieciństwie, w związku, fizycznego albo psychicznego bólu? Zbroja z fragmentów rodzinnych relacji, anegdot znajomych, a także wspomnień zupełnie obcych ludzi, którzy mieli okazję kiedykolwiek zetknąć się z Mirkiem, oraz informacji prasowych i danych statystycznych próbuje stworzyć jego realistyczny portret, ale także portrety alternatywne (kim byłby, gdyby nie wóda), jednocześnie rozprawiając się z mitem picia. W alkoholu nie ma żadnej tajemnicy. Gdy maska Dartha Vadera opada, okazuje się, że za tym, co najstraszniejsze, krył się zwykły Mireczek. Identyczny jak setki tysięcy innych.

Nowa nadzieja

Świat przedstawiony opowiadania „Śnieżyca" Dominiki Słowik z tomu „Samosiejki" wydaje się niezwykle przytulny. Mama głównej bohaterki – niczym mieszkanka Doliny Muminków – szykuje się do zapadnięcia w zimowy sen, który dla dziewczynki oznaczał będzie zwolnienie z lekcji, możliwość jedzenia ulubionych przekąsek, wielogodzinnej jazdy na sankach, lepienia bałwanów, czytania książek. I tylko brzęk butelek, które do zapadnięcia w sen okazują się mamie niezbędne, zdradza powody jej cyklicznych hibernacji. Wydaje się, że przez wiele ostatnich lat doświadczaliśmy takiego właśnie pokoleniowego wyparcia, o którym opowiada Słowik, próbując przemalować smutę lat transformacji w intensywne kolory dostępnych nagle możliwości i dóbr – klocków, gier wideo, filmów z kaset VHS.

Dlatego sądzę, że kiedy w jednej z finałowych scen filmu Aksinowicza nastoletni Tomek prowadzi w osiedlowej piwnicy ostatnią, rozdzierającą rozmowę z ojcem, a następnie wspina się kilka pięter wyżej, by w rozwalonym doszczętnie mieszkaniu oświadczyć wystraszonej matce i widzom, że „tata przestał pić" – moment symbolicznego uśmiercenia rodzica staje się także ogłoszeniem końca pewnej epoki.

Dwadzieścia lat temu Paweł Śpiewak prorokował, że dopiero urodzeni po roku 2000 postawią obywatelskość nad wygodę mieszczańskiego życia, którą jako rodzice im zapewnimy. Mylił się co do jednego – że doświadczenie jego pokolenia nie będzie w żaden sposób określało tożsamości młodych. Cóż, za chichot historii możemy uznać, że tak ważne dla dzisiejszych nastolatków idee jak ekologia, feminizm, prawa osób LGBT i mniejszości etnicznych czy ciałopozytywność mają swoje źródła właśnie w kontrkulturze.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

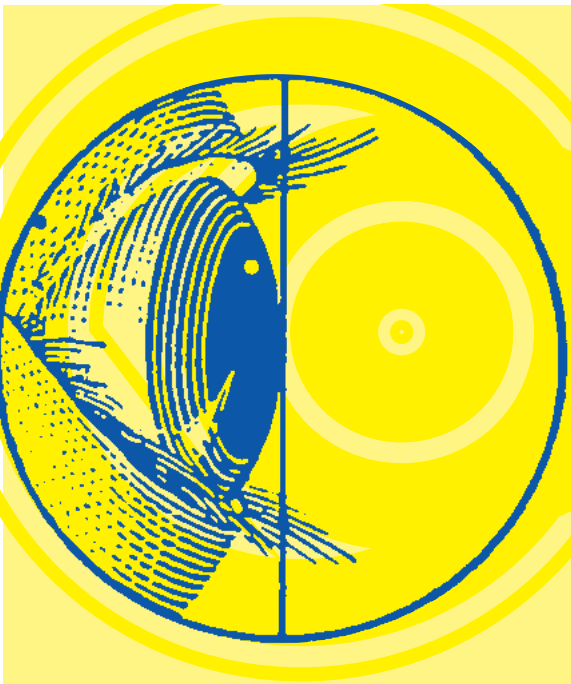

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Rejestracja w internetowym kiosku **Stowarzyszenia „De Facto"** umożliwia bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego" osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na
powszech.net/dostepny

STOWARZYSZENIE DE FACTO

TYGODNIK POWSZECHNY

MATERIAŁY PRASOWE FOCUS FEATURES

Oscar Isaac i Tye Sheridan w filmie „Hazardzista”

Karty na stół

ANITA PIOTROWSKA

Tilt – terminem tym pokerowa psychologia określa moment, gdy emocje niebezpiecznie biorą górę – wisi w „Hazardziście” na włosku. Zwłaszcza kiedy na drodze głównego bohatera stają prawdziwi wyzwalacze emocji.

Paul Schrader jest żywą legendą kina, przede wszystkim jako scenarzysta filmów Martina Scorsese, w tym „Taksówkarza”, „Wściekłego byka” czy „Ostatniego kuszenia Chrystusa”. Ale i jako autor jednej z najważniejszych książek filmoznawczych – „Styl transcendentalny w kinie: Ozu, Bresson, Dreyer”, ciągle nieprzetłumaczonej na język polski. Tę legendę zbudowała również biografia.

Syn surowego kalwińskiego pastora z Michigan, ponoć pierwszy film zobaczył dopiero w wieku lat 17, i to ukradkiem. Myślenie religijne, zwłaszcza chrześcijański temat winy i odkupienia, przeniknęło jego twórczość, także reżyserską. A życiowe zawirowania, w tym długoletnie uzależnienie od kokainy, kazały szukać natchnienia w najmroczniejszych rejonach. Najnowsze dzieło Schradera, „Hazardzista”, odzwierciedla wszystkie wymienione wyżej afiliacje i wpływy. Widać też wyraźnie, dlaczego twórca takich tytułów, jak „Mishima”, „Amerykański żigolak” czy „Pierwszy reformowany”, przejdzie do historii kina raczej za sprawą tego, co napisał dla innych, niż tego, co osobiście przeniósł na ekran.

Hazardzista grany przez Oscara Isaaca ma sporo z bohaterów odtwarzanych niegdyś u Scorsese przez Roberta De Niro. W tym przypadku Wietnamem tytułowego taksówkarza staje się irackie Abu Ghraib, gdzie starszy szeregowy William Tillich (nazwisko raczej nieprzypadkowe) stosował „nowe prawa wojny z terroryzmem”. Uwiecznione na niesławnych fotografiach tortury skompromitowały swego czasu amerykańską armię, choć Schrader przypomina, że odpowiedzialność karna spadła głównie na wykonujących rozkazy. Współczesnego weterana poznajemy więc niedługo po wyjściu z więzienia, kiedy – samotny i wydrążony – zarabia na chleb objeżdżając kasyna.

Dziwny to hazardzista. Przy pokerowym stole i w życiu codziennym uprawia swoisty minimalizm. Nie podejmuje ryzykownych zakładów, a nocuje w podrzędnych motelach, gdzie stara się upodobnić swój pokój do więziennej celi, owijając sprzęty tkaniną niczym jakiś nawiedzony Christo. Wzorem Travisa Bickle’a z pamiętnego filmu Scorsese sprawia wrażenie odciętego od otoczenia, a motyw czytanego zza kadru dziennika, jaki Schrader zaczerpnął ongiś z „Kieszonkowca” Bressona, towarzyszy podróży Williama przez kolejne bezduszne

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”. Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM **www.radiokrakow.pl**

nie-miejsca. I chociaż monolog wypełnia głównie poczucie winy, twarz pokerzysty kryje w sobie wiele.

Tak zwany tilt – terminem tym pokerowa psychologia określa moment, gdy emocje niebezpiecznie biorą górę – wisi tutaj na włosku. Zwłaszcza kiedy na drodze bohatera stają prawdziwi wyzwalacze emocji – energiczna La Linda (Tiffany Haddish), prowadząca dla inwestorów stajnię graczy, i młody Cirk (Tye Sheridan), nabuzowany słusznym gniewem syn jednego z kozłów ofiarnych Abu Ghraib. Prócz potencjalnego wątku miłosnego pojawia się zatem typowy dla Schradera dylemat: czy w dzisiejszym, niesprawiedliwie urządzonym świecie da się zwalczać zło metodą inną niż przemoc?

Podczas gdy współczesne sceny przenika bressonowski chłód, koszmary z Iraku, filmowane obiektywem typu rybie oko, pełne pomruków zła, ujadających psów i upokarzającej nagości, mają wiele z ekspresjonistycznych wizji „Taksówkarza". Z kolei sceny odsiadki, w których William w akcie zadanej sobie pokuty wystawia się współwięźniowi na ciosy, muszą skojarzyć się ze „Wściekłym bykiem". Nie jest przypadkiem, że Scorsese figuruje na liście płac „Hazardzisty" jako producent wykonawczy. Schrader stara się jednak odróżnić od swego współpracownika, zwłaszcza od tych nienapisanych przez siebie tytułów, które zdradzają pewne podobieństwo tematyczne.

I tak skomplikowana ojcowsko-synowska relacja między Williamem i Cirkiem nie powtórzy pojedynku bilardzistów z „Koloru pieniędzy". Bohaterom „Hazardzisty" obce są także spektakularne podboje Las Vegas, opiewane niegdyś w „Kasynie". William ma przecież zupełnie co innego na głowie i z pewnością, przynajmniej do pewnego momentu, nie są to pieniądze.

I to właśnie odbiera owej historii sporą część filmowej energii. Cóż poradzić – kiedy gra toczy się o niematerialną stawkę i nie towarzyszy jej fizyczne ryzyko, znacznie trudniej o ekscytację. Wszystkie te ruletki, żetony, zakłady zdają się martwe. Zwłaszcza że William nie wydaje się nawet specjalnie uzależniony od hazardu; po prostu zabija czas, wypełnia pustkę. Dopiero spotykając Cirka zyskuje konkretny cel: uratować chłopaka przed nim samym, zatrzymać spiralę przemocy.

Tyle że przez to Schrader przenosi zarówno akcję, jak i psychologię w umowną przestrzeń moralitetu. Trzymając się pokerowej terminologii, problemem „Hazardzisty" nie jest wykorzystywanie kart już zgranych czy znaczonych ani nawet moralizowanie, lecz fakt, iż zbyt szybko i za mało finezyjnym gestem autor wykłada te karty na obity zielonym suknem stół. Na plus trzeba mu przyznać, że problematyzuje granice heroizmu. William pragnie odkupić swe przewiny z czasów służby wojskowej na Bliskim Wschodzie, ale kiedy domaga się od kogoś wyrównania krzywd, nie ma mowy o przebaczeniu. Co więcej, kulminacyjna scena przemocy rozgrywa się poza kadrem i staje się przez to bardziej sugestywna.

Czasem tej powściągliwości brakuje. Podobnie jak wyważonego finału – tego bowiem, jaki oglądamy, dawny Scorsese na pewno by się wstydził. Przypomnijmy: „Taksówkarz" kończył się srogą rzezią urządzoną przez Travisa, by uratować dziewczynkę z rąk alfonsa, a następnie medialnym namaszczeniem tytułowego psychopaty na bohatera. Była w tym zakończeniu ironia, rodzaj fałszywego *katharsis*, coś bardzo niepokojącego. Tu stojący za kamerą Schrader złożył zbyt wiele na ołtarzu wartości. Na przykład ładnie rozwijającą się historię Williama i La Lindy – kasynowego romansu w świecie nocy, pośród anonimowych ludzi i sztucznych iluminacji. W jednej ze scen tworzą one nierealnie bajkową scenerię, choć to nie kolorowe światełka będą odpowiedzialne za finałowy banał.

Warto jednak zbliżyć się do tego dziwnego bohatera spod znaku „wolałbym nie". Chociaż mocno straumatyzowany, nie jest tak ukochanym przez kino przypadkiem klinicznym, upozowanym na anioła zemsty. Trzeba też doń się przebić poprzez nieprzeniknioną i jakby usztywnioną grę Isaaca, która kojarzy się z zombie działającym na autopilocie. Dzięki temu trudno rozstrzygnąć, gdzie u filmowego hazardzisty przebiega granica między wyrzutami sumienia i poświęceniem a żądzą odwetu. I to okazuje się najbardziej fascynujące. Dla niektórych ta postać uosabia po prostu stłumiony amerykański gniew – wobec wadliwych politycznych decyzji, stronniczych wyroków, nieprzepracowanych traum. Czego metaforą jest tutaj kasyno, łatwo się domyślić. ©

HAZARDZISTA *(„The Card Counter") – reż. Paul Schrader. Prod. USA 2021. Dystryb. M2 Films. W kinach.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Tydzień Filmu Niemieckiego

Przegląd, MOJEeKINO, 4–10 II

Prosto z kinowych ekranów trafia do sieci wybór siedmiu produkcji zza naszej zachodniej granicy, nakręconych podczas ostatnich dwóch lat. Wśród prezentowanych tytułów wyróżniają się „Jedenaste: znaj sąsiada swego" Daniela Brühla, „Wolni albo martwi" Olivera Rihsa czy „Fabian albo świat schodzi na psy" Dominika Grafa.

2. Genialna przyjaciółka III

Serial, reż. Daniele Luchetti, Włochy 2021, HBO GO, 7 II, odc. 1,2

Kolejna telewizyjna odsłona neapolitańskiej tetralogii Eleny Ferrante to adaptacja tomu „Historia ucieczki". Życiowe drogi dorosłych już bohaterek rozchodzą się, ale oczywiście tylko pozornie, ich losy bowiem pozostają ściśle ze sobą splecione. W trakcie sezonu szykują się także poważne zmiany obsadowe.

3. Śmierć Zygielbojma

Historyczny, reż. Ryszard Brylski, Polska 2021, VoD

O tym filmie głośno było przede wszystkim za sprawą ministra kultury jako samozwańczego pomysłodawcy. Wojciech Mecwaldowski wciela się w postać polsko-żydowskiego polityka na uchodźstwie i sygnalisty w sprawie Zagłady, który popełnił samobójstwo na znak protestu przeciw zachodniej obojętności. Kino o walorach edukacyjnych.

4. Czas

Miniserial, reż. Lewis Arnold, Wielka Brytania 2021, HBO GO

Na tle innych filmów i seriali więziennych ten nie stara się epatować koszmarem zza krat. Proponuje bardziej ludzkie spojrzenie na odsiadujących karę i na strażników. A przewodnikiem po tym świecie jest nauczyciel z wyrokiem za jazdę po pijanemu, w wyniku której zginął człowiek. Znakomita rola główna Seana Beana.

JAN

Klata:
Przeprosiny za potop

Przeprosin ci u nas dostatek, ale i te przyjmiemy... każde przyjmiemy, bo czasy ciężkie, a cięższe jeszcze opresje na horyzoncie. Moi szwedzcy aktorzy z Göteborga przeprosili mnie za potop. Przepraszam, jeśli kogoś z rodaków uraziłem, ale przeprosiny najeźdźców przyjąłem. W grodzie założonym przez Gustawa Adolfa wydało mi się to jak najbardziej na miejscu. Generalnie przecież w ramach teatralnych eksperymentów znajdujemy się w postępowym zakładzie psychiatrycznym w Charenton, gdzie Markiz de Sade inscenizuje męczeństwo i śmierć Marata – więc współcześni Szwedzi przepraszający za potop uchwycili aurę metafizycznej dziwności istnienia. Zwłaszcza Hannah pochodzenia etiopskiego oraz Johan z korzeniami irańskimi.

Najpierw oczywiście powiedziałem, że nigdy w życiu nie przebaczę, że po moim trupie, oznajmiłem, że musi przeprosić Zlatan Ibrahimović, osobiście. Jak doskonale od wieków wiadomo, aktorzy przecież i tak nie są wiarygodni, nigdy nie wiadomo, czy mówią szczerze, czy grają, a Zlatan nawet jak gra, to szczerze. No ale Zlatan jest z Malmö, a byliśmy w Göteborgu, więc na szczeblu lokalnym, po lekkim droczeniu się, uległem i dałem się przebłagać. Następnie szwedzcy aktorzy przeprosili mnie za swój karygodny hymn, który odtworzono mi w interpretacji Ibrahimovicia właśnie, co z estetycznego punktu widzenia było błędem. Na szczęście cały hymn ma 10 linijek, z czego wykonuje się połowę.

Okazało się, że generalnie w szwedzkim hymnie nie ma nic o Szwecji, ale za to sporo o przyrodzie, co jest odświeżające, zwłaszcza w mieście, w którym bez przerwy leje. Natomiast w trzeciej – niewykonywanej zresztą – zwrotce znajduje się passus o „dniach świetności"... I za to zostałem przeproszony. W rewanżu przeprosiłem za Czarnieckiego z Mazurka Dąbrowskiego, co to po szwedzkim zaborze wrócił się przez morze... i byliśmy kwita.

Mogliśmy przystąpić do prób.

PS. Poprosiłem Szwedów z Charenton, żeby bez zwłoki przystąpili do NATO. Obiecali, że przystąpią. ©

Lektor:
„Ukłon mego cienia"

▪ *Zbigniew Herbert*
WIERSZE ZEBRANE. WYDANIE NOWE
Wydawnictwo a5,
Kraków 2021,
ss. 866

„Jakich sił trzeba by na przekór losom / wyrokom dziejów ludzkiej nieprawości / w ogrojcu zdrady szeptać – cicha nocy // jakich sił ducha trzeba by wykrzesać / bijąc na oślep rozpaczą o rozpacz / iskierkę światła hasło pojednania // ażeby wiecznie trwał taneczny krąg na gęstej trawie / święcono narodziny dziecka i każdy początek / dary powietrza ziemi i ognia i wody // ja tego nie wiem – mój Drogi – dlatego / przesyłam tobie nocą te sowie zagadki / uścisk serdeczny / ukłon mego cienia". To z wiersza „Do Ryszarda Krynickiego – list", opublikowanego w 1983 r. w „Raporcie z oblężonego Miasta". Świadectwo przyjaźni dwóch świetnych poetów, której Ryszard Krynicki pozostał wierny po śmierci Herberta, z niezwykłą pieczołowitością przygotowując kolejne edycje jego utworów. Wydanie nowe „Wierszy zebranych" to przede wszystkim kanon, czyli dziewięć wydanych za życia poety tomów, od „Struny światła" (1956) po „Epilog burzy" (1998). W aneksie znalazło się piętnaście wierszy odczytanych z rękopisów; przynajmniej niektóre z nich, uważa Krynicki, mogłyby się znaleźć w „Epilogu...", gdyby śmiertelnie już choremu Herbertowi dane było dłużej pracować nad tą książką. Dramatyczne okoliczności, w których „Epilog..." powstawał, sprawiły też, że nie zawsze da się rozstrzygnąć, jaka wersja danego utworu spośród zachowanych w archiwum poety rękopisów czy wydruków komputerowych jest ostateczna – przykłady odmiennych wariantów tekstu także znajdziemy w aneksie. Kilkanaście faksymiliów Herbertowych rękopisów daje pojęcie o trudnościach, jakie napotyka edytor. Jego pieczołowitość dotyczy nie tylko archiwalnych materiałów związanych z „Epilogiem..." – zdecydował się nawet na niewielką zmianę w utworze tak sławnym, jak „Do Marka Aurelego", opierając się na czystopisie przesłanym przez autora prof. Henrykowi Elzenbergowi, któremu wiersz został dedykowany. Z kolei w tomie „Hermes, pies i gwiazda" (1957), w prozie poetyckiej „Po koncercie" błąd drukarski sprawił, że „kocioł" („kocioł – wystygła kadź huku", chodzi o instrument muzyczny) zamienił się w „kościół" – i ów „kościół" figuruje nawet w niedawnym wydaniu wybranych wierszy Herberta w szacownej Bibliotece Narodowej... A na pożegnanie niech będzie wiersz najkrótszy, jeden z tych, które przetrwały w rękopisie, zatytułowany „Rozmowa": „Gdzie spędzisz wieczność? / Nie wiem. Może w piasku mgławic". ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Akwarianie i pedanci

Sto dwadzieścia gramów to mediana wagi wszystkich cebul, które zeszłej soboty znalazłem w spiżarni. Średnia arytmetyczna pomiarów nieco się różniła, ale jej tu nie podaję – podobnie jak w przypadku „średniej płacy w gospodarce" wiadomo, że jest to toporne narzędzie poznawcze, nic niemówiące o tym, ile naprawdę zarabia normalny człowiek, albo o tym, co to jest ta mityczna średnia cebula wspomniana w przepisie na wątróbkę po wenecku.

Jest wiele składników, które większość rozsądnych przepisów podaje w porządku dyskretnym, a nie na ciągłej skali wagowej. Odruchowo jesteśmy skłonni w ich przypadku myśleć całostkami. Ale to jednak zagadnienie właściwej wagi cebuli narzuca się z największą pilnością każdemu, kto chce poruszać się po kuchni z jasnym umysłem – a to warunek niezbędny każdej trwałej miłości, czy to do kobiety / mężczyzny, czy to do zapiekanek. Zdumiony rozstrzałem wartości podawanych przez źródła wyglądające na wiarygodne, chciałem poszukać odpowiedzi ugruntowanej w życiu, w tu i teraz bieżącego dnia, w horyzoncie kolacji, którą miałem mieć gotową za dwie godziny.

Oficjalne tabele Amerykańskiego Stowarzyszenia Cebuli podają wartości nie z tej ziemi. Dwieście pięć gramów jako średni rozmiar, a prawie pół kilo dla dużych okazów – to utrwala stereotyp otyłego Jankesa pochłaniającego porcje, które w naszych oczach uchodziłyby za podwójne. Oni naprawdę mają inną fizjologię. Ale nawet Nigella Lawson, jak dla mnie opoka europejskiego kosmopolityzmu, podaje, iż średnia cebula waży 170 gramów, a duża prawie 300. Czyżbym odruchowo na targu brał ze skrzynki te najmniejsze, i stąd wychodzi mi niska mediana? Polskie źródła też nie są jednoznaczne, poza tym te z nich, które znalazłem w trakcie szybkiej kwerendy, związane były z serwisami dietetycznymi. Z nieufnością podchodzę zaś do piszących o jedzeniu po to, by coś wykluczyć, czegoś zabronić, poprowadzić ścieżką aktualnie modnej cnoty.

Pomijając sytuacje skrajne i przypadki poważnych schorzeń – kiedy to lekarz, a nie serwis w necie winien nam narzucić właściwe rygory – brak wiary w przyrodzony nam umiar jest nieludzki. Już inny Paweł wyraźnie przestrzegał przed takimi skrzywieniami: „Zabraniają oni wchodzić w związki małżeńskie, nakazują powstrzymywać się od pokarmów, które Bóg stworzył, aby je przyjmowali z dziękczynieniem wierzący i ci, którzy poznali prawdę. Ponieważ wszystko, co Bóg stworzył, jest dobre, i niczego, co jest spożywane z dziękczynieniem, nie należy odrzucać". To „nauka demonów" – przestrzega w Pierwszym Liście do Tymoteusza mój święty patron, odnosząc się w tym ustępie do enkratystów, skrajnych nienawidzących życia gnostyków, którzy nawet podczas mszy pili wodę, a nie wino, stąd czasem również zwano ich akwarianami. W każdej generacji wiernych i w każdej epoce wraca ten samobójczy odruch dzielenia świata przeżywanego na światło i cień bez niuansów, niezrozumienia, że trzeba nieustannie, na oko, bez jasnych tabel, wyliczać rozsądne trzecie wyjścia, uzgadniać średnią.

Co gorsza, zwykle jego nosiciele nie dość, że dręczą siebie doskonałością, to, sfrustrowani swoim upadkiem, lubią nakładać gorset na życie wszystkich dookoła. Obsesja dokładności kucharskiej czyni pracę cięższą, co wspaniale opisuje Julian Barnes w książce „Pedant w kuchni", którą polecam wam z serca, choć należę raczej do niechlujnych improwizatorów. Ale nikt z tych pedantów, mam nadzieję, nie pracuje nad ustawą o ochronie wartości kuchennych. Czego nie da się, niestety, powiedzieć o innych – „ludzie o spaczonym umyśle, którzy nie zdali egzaminu z wiary", pisze Paweł w drugim z listów do Tymoteusza – którzy kręcą się wokół drugiego po stole najważniejszego w domu mebla. ©℗

W jednym z rozdziałów swojej uroczej książki Barnes wspomina postać Edouarda de Pomiane'a, znamienitego badacza, lekarza i propagatora nowoczesnego żywienia i higieny z końca XIX w., który urodził się w Paryżu jako Edward Pożerski, syn emigrantów po powstaniu styczniowym, jest zatem pierwszym z dwóch wielkich Pomianów, których Polska ofiarowała Francji. Do dziś funkcjonuje głównie jako autor „Kuchni w 10 minut", dla nowoczesnych ludzi, którzy, jak pisał, „mają tylko godzinę na obiad, ale chcieliby też mieć pół godziny wolnego czasu dla siebie". Bardzo bym kiedyś chciał zdobyć jego książkę „Kuchnia polska widziana znad brzegów Sekwany". Tymczasem ze sławnej 10-minutówki da się wydłubać parę wciąż świeżych pomysłów. Na przykład ten na duszone pomidory – idealny w zimie, kiedy surowe są bez smaku. Na patelni roztapiamy łyżkę masła. Kładziemy na to 5-6 przepołowionych niedużych pomidorów (pedant powie: pół kilo), rozciętą stroną do dołu. Zwiększamy nieco ogień, nakłuwamy każdego pomidora widelcem parę razy – to ma ułatwić wydostanie się soku – smażymy minutę i przewracamy je na grzbiet. Solimy, doprawiamy, czym dusza zapragnie, i dalej podsmażamy ok. 7-8 minut. Potem wlewamy ok. 50-70 ml śmietanki, mieszamy, dusimy na małym ogniu jeszcze kilka minut, aż zmiękną, a na patelni wytworzy się śmietanowy różowy sos. Przepis testowałem na różnych pomidorach, większość obecnych odmian ma ewidentnie mniej soku niż te sprzed stu lat, więc nawet nakłucie skórki nie powoduje, że na patelni szybko zgromadzi się go na tyle dużo, by w połączeniu ze śmietaną stworzył pyszny sos (a o niego tak naprawdę chodzi). Żeby wyciągnąć więcej soku, dusiłem je przez jakiś czas także przeciętą stroną do dołu. Poza tym pomaga wydłużenie czasu, ponad owe tytułowe dziesięć minut. Najlepiej smakują po przestudzeniu.

PAWEŁ BRAVO

CIASNE, ALE WŁASNE

MACIEJ GRZENKOWICZ, DZIENNIKARZ I ANTROPOLOG:

Założenie własnego państwa to jedna z tych rzeczy, obok pokonania śmierci, o której wszyscy wiemy, że jest niemożliwa. Ale mimo to ludzie się na nią decydują.

BARTEK DOBROCH: Ja tu niby na wywiad, ale tak naprawdę szukam doradcy, bo chciałbym założyć swoje państwo. Od czego mam zacząć?

MACIEJ GRZENKOWICZ: Już poniekąd zacząłeś, bo skoro chcesz to zrobić, to znaczy że państwo, w którym jesteś, ci nie odpowiada.

Ale też nie chcę go opuszczać, mam tu rodzinę, przyjaciół. Oni są obywatelami, z którymi łączy mnie wspólnota wartości, wrażliwości, poglądów. Mam też tyci działkę. Czy to wystarczy na państwo?

Zależy, jak bardzo nie chcesz iść do więzienia. Jeśli masz działkę, możesz zrobić na niej plebiscyt, w ramach którego zapytasz mieszkańców, kto chciałby wesprzeć twoją sprawę. Ale według polskiego prawa karnego każdy, kto dąży do oderwania jakiejś ziemi od Rzeczypospolitej, podlega karze pozbawienia wolności. Za samo planowanie czegoś takiego są trzy lata. Jeśli ktoś nieprzychylny przeczytałby naszą rozmowę, to już by nas obu zamknął.

To by podchodziło pod zamach stanu?

Jest z nim mocno spokrewnione. Ale nie jest też łatwo być o to posądzonym. Dużo osób stwierdzi, że prawdopodobnie żartujesz. W takiej sytuacji znalazł się Mieszko Makowski, który na działce pod Radomiem założył swoją mikronację. Zapytał obywateli, czyli siebie – nikt inny tam nie mieszkał, bo to pusta działka z barakiem wojskowym, w którym stara się zbudować strzelnicę – czy wspierają tę sprawę. Wysłał wyniki plebiscytu do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, aby je zatwierdziło. Ich zadaniem w takiej sytuacji jest odmówić ci i zamknąć. Przyjęli pismo, lecz nie odpowiedzieli na nie. Powołując się na precedens prawny z Górnego Śląska w 1921 r., Makowski stwierdził, że oznacza to niepodległość. Wszyscy to ślepo powtarzali, nie sprawdzając jednak źródeł.

Potrzebny ci jest więc marketing, kapitał społeczny i ekonomiczny, aby ująć twoje dążenia niepodległościowe w ramy, które wszystkich przekonają.

Czyli jednak łatwiej byłoby poszukać terytorium dla siebie gdzieś daleko: w państwie upadłym albo na odległej wyspie?

Takich wysp na świecie jest sporo, ale większość z nich należy już prawdopodobnie do jakiegoś państwa. Wtedy byłbyś ścigany przez to państwo, a Polska nie miałaby żadnego interesu dyplomatycznego, by cię bronić.

Te państwa same wyprzedają często swoje wyspy biznesowi turystycznemu, prywatnym inwestorom. Załóżmy, że znalazłem kogoś życzliwego z zasobnym portfelem.

De facto mógłbyś stworzyć byt działający na zasadach autonomicznych. Ale wyspa nadal będzie terytorium danego państwa. Choć jeśli miałbyś na tyle dużo pieniędzy, żeby stworzyć prywatną armię, mógłbyś zająć to terytorium siłą.

Christiania - dzielnica Kopenhagi, jedna z mikronacji posiadająca duży zakres autonomii. Dania, sierpień 2019 r.

OSCAR GONZALEZ / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Co to, to nie! Chciałbym żyć z innymi w pokoju.

W takim razie możesz jeszcze znaleźć kawałek ziemi niczyjej. Trzy najsłynniejsze są już pozajmowane przez różne mikronacje, ale nie przeszkadza to kolejnym zajmować na nowo te terytoria. Są to: Gornja Siga – terytorium niczyje między Serbią i Chorwacją powstałe na skutek sporu na granicy. Chorwacja uważa, że granica przebiega na starej linii Dunaju, Serbia zaś, że na nowej. Do jednej wysepki nie przyznaje się ani Chorwacja, ani Serbia, w związku z czym Gornja Siga jest co jakiś czas anektowana przez byty, które chcą założyć tam własne państwo.

wNajbardziej znany jest Liberland założony przez czeskiego libertariańskiego polityka Víta Jedličkę, który tam pojechał, wetknął flagę i rozpoczął międzynarodową dyskusję, co to właściwie znaczy. Prawnie miałby rację, ponieważ to nie należy do nikogo. Ale pojawia się tu kolejny problem. A mianowicie: kto uznaje, kto ma rację.

Podobnie jest z Bir Tawil, fragmentem terytorium między Egiptem a Sudanem powstałym również na skutek sporu granicznego. Były dwie interpretacje. Jeśli niezamieszkane Bir Tawil należało do Egiptu, to zamieszkany, większy, bardziej zasobny trójkąt Hala'ib należał do Sudanu. I odwrotnie. Jeremiah Heaton pojechał tam założyć Królestwo Północnego Sudanu i spełnić marzenie córki, by zostać księżniczką.

Są jeszcze obszary Antarktydy niezajęte przez żadne państwo, bo sygnatariusze traktatu antarktycznego zdecydowali, że pozostaną terytorium niczyim. Zapewne jednak nie jesteś sygnatariuszem tego traktatu.

Jako potencjalny państwotwórca muszę odsłonić swoje słabe strony: nie mam żadnych arystokratycznych korzeni ani libertariańskich poglądów. Czy to mnie wyklucza?

Nie wyklucza, choć utrudnia. Arystokratyczne korzenie lub prominentne znajomości zwiększają szansę na uznanie sensowności twoich przesłanek przez społeczność międzynarodową. O tym, co uznajemy za państwo, a co za terytorium zależne, decydują bowiem politycy. Oczywiście jest litera prawa, która, idąc za myślą wywodzącą się z konwencji z Montevideo z 1933 r., mówi, że państwo musi posiadać terytorium, rząd, który sprawuje władzę, stałą ludność i zdolność do nawiązania relacji międzynarodowych.

A gdybym został libertarianinem?

Libertarianizm jest ważny dla mikronacji, bo one mu dają możliwość zmaterializowania się, której żadne państwa mu nie dają. Gdyż jest on w gruncie rzeczy przeciwko państwu. Twórcy libertariańskich mikronacji przeczą sobie samym, uciekając od państwa do państwa. Tworzą nowe raje, w których konstytucjach państwo ma bardzo małe kompetencje. Fani takiej idei tworzą sporą społeczność, a zatem spory kapitał do budowania takiego państwa. Wszystkie ręce się przydają, a i tak nie wystarczają, ponieważ najmniejsze państwo działa w sposób tysiąc razy bardziej zorganizowany niż najbardziej zorganizowana mikronacja.

Miałbyś jednak większe możliwości jej stworzenia, gdybyś był libertarianinem i w dodatku monarchą, co się doskonale wyklucza, ale w gruncie rzeczy zupełnie nie.

↦

Czy musiałbym się znać na kryptowalutach, na których opiera się system płatniczy większości tych mikronacji?

Wielu twórców mikronacji również się na nich nie zna. Było sporo przypadków kryptowalut zakładanych na potrzeby mikronacji, które bardzo szybko traciły całą swoją wartość albo w ogóle nie osiągały żadnej.

Kryptowaluty brzmią idealistycznie, zwłaszcza technologia *blockchain*, która sprawia, że nie da się ich podrobić. A niektórzy twórcy mikronacji o poglądach libertariańskich mają doświadczenia z systemu komunistycznego lub z młodych, źle funkcjonujących demokracji.

Arystokratyczne korzenie lub prominentne znajomości zwiększają szansę na uznanie twojego państwa przez społeczność międzynarodową. **To, co uznajemy za państwo, a co za terytorium zależne, ustalają bowiem politycy.**

Kilka mikronacji, które opisałeś w książce „Tycipaństwa", to z kolei komuny artystyczne.

Dzielnica Kopenhagi, Christiania, choć *de iure* nie jest państwem, *de facto* ma jedną z największych autonomii wśród mikronacji. Wszyscy wiedzą, że sprzedaje się tam narkotyki, ale jednocześnie ma już taką markę, że jej zamknięcie nie opłacałoby się duńskiemu rządowi, nawet konserwatywnemu. Nie tylko marihuana jest podstawowym wyznacznikiem autonomii Christianii, ale również sam sposób podejmowania decyzji w ramach wspólnoty, rozdzielania mieszkań, których nie da się kupić, tylko można je otrzymać, zaskarbiając sobie sympatię mieszkańców. Nie ma tam też właściwie prawa, jedynie to zwyczajowe: „żadnej broni", „żadnych fajerwerków". Same zakazy, antyprawa dotyczące tych, którzy przychodzą z zewnątrz. Państwo narodowe zostało tam zastąpione przez państwo ideowe. Ludzie łączą się za pomocą idei, naród jest drugorzędny.

Świat mikronacji przypomina trochę świat sprzed XIX wieku, w którym było miejsce na liczne miasta-państwa czy tyci księstwa.

Różnica jest taka, że miasta-państwa miały moc polityczną, a mikronacje jej absolutnie nie mają. Współczesne miasta-państwa czy mikropaństwa funkcjonują na arenie międzynarodowej, choć prawdopodobnie Monako nie byłoby w stanie działać bez Francji, Watykan bez Włoch, a Liechtenstein bez Szwajcarii. I nie są republikami, a mikronacje starają się coś takiego sobą reprezentować. Jeśli chcą zyskać przychylność innych państw, zwłaszcza zachodnich, muszą się zachować według najbardziej demokratycznych reguł.

Nie zdarzyło się jednak jeszcze, żeby mikronacja została uznana przez jakiekolwiek rzeczywiste państwo na świecie.

Ale nieuznawana jest także np. Abchazja.

Uznawana jest przez przynajmniej kilka państw, Cypr Północny przez jedno – Turcję, a Liberland przez nikogo. Mikronacje nie mają drogi wstępu na arenę międzynarodową. Genezę różnicy między mikronacjami a mikropaństwami i terytoriami zależnymi wyjaśnia to, że te drugie i trzecie mają przynajmniej jakieś przesłanki historyczne ku temu, żeby się oddzielić. Liberland ma zaś tylko przesłanki ideowe. Takie, że według jednego Czecha coś takiego powinno istnieć.

Ale Seborga, którą także opisujesz, ma tysiącletnie przesłanki ku temu, żeby o sobie decydować.

Dlatego jej mieszkańcy wzdrygają się, gdy słyszą, że są mikronacją. Ale nawet w przypadku Księstwa Seborgi nie zachowała się ciągłość władzy ani dążenia do niepodległości. Do tego dochodzi kwestia pragmatyzmu – Seborga ma trzystu mieszkańców. Nie ma szans, by jej mieszkańcy, którzy czują się w połowie Włochami, w połowie Seborżaninami, a czasem tylko Seborżaninami i Europejczykami, zbudowali państwo.

Może cała idea mikronacji bierze się z tęsknoty jednostek za sprawczością, wpływem na kształt państwa, a nawet pewnym rozczarowaniem demokracją?

Wielu twórców mikronacji miało w przeszłości ambicje polityczne. To akt rozczarowania nieporównywalny z niczym. Przecież założenie nowego państwa to jedna z tych rzeczy, obok pokonania śmierci, o której wszyscy wiemy, że jest niemożliwa. Ale mimo to ludzie się na to decydują.

To są niepoprawni marzyciele, buntownicy czy miłośnicy niczym nieograniczonej wolności?

To wszystko się u nich składa w jedno, ale przede wszystkim to są osoby, które nie myślą pragmatycznie. Historia pokazuje, że zaczynanie od zera się nigdy nie udaje. Powtarzają, że nie chcą powtarzać błędów byłych państw. Zrywają więc nawet z takimi koncepcjami jak naród. Nie tworzą go choćby dyskursywnie.

Czy idea założenia państwa nie jest czasem tylko sposobem autopromocji założyciela lub jego postulatów? Przecież Imperium Romanowów jest marzeniem ściętej głowy.

Dla Antona Bakowa idea była ważna jako symbol tego, że za caratu było lepiej niż za Putina, co już samo w sobie jest zdaniem wartym eksponowania. Ale on naprawdę prowadził rozmowy z różnymi politykami z odległych, biednych krajów, choćby w Afryce, chcąc ich namówić na sprzedaż kawałka terytorium.

Są jednak osoby, dla których nie jest aż tak istotne, by idea się zmaterializowała. Znajdujące się w Wilnie Zarzecze – dzielnica, w której artyści proklamowali niepodległą republikę – miało za zadanie podnieść to upadłe miejsce. Artyści chcieli, by ta dzielnica rozwijała się w sposób burżuazyjny. Skutek jest taki, że obecnie jest ona bardzo zgentryfikowana. Pogodzili się z tym, że wyszło tak dobrze, że aż źle. Dla samego Tomasa Čepaitisa ważna jest jednak świadomość pozaprawna, że wchodzi na terytorium, które on nazywa własnym państwem. Może ma to działanie terapeutyczne, że nie jest dalej w państwie, które mu nie odpowiada? Są tam, owszem, jakieś flagi, jeden od biedy słup graniczny. Zarzecze nie

jest jednak państwem czy nawet stanem w znaczeniu administracyjnym – to stan umysłu. A ten wyzwala.

Tyci państwa przynajmniej podjęły próbę materializacji idei. Ich lista rozszerzona o państwa wyobrażone, proklamowane w wirtualnej rzeczywistości, byłaby długa. Z przyjaciółmi z liceum założyliśmy kiedyś Wolną Galicję, która nigdy nie wyszła poza forum internetowe, choć debatowaliśmy nad materializacją tej podlanej sosem austriackiego sentymentu alternatywy dla zawsze niepasującej i źle zarządzanej Polski.

Wasza postawa była i jest w internecie popularna, takich „państw", których jedynym terytorium jest strona internetowa, są tysiące. I nie każda strona z określeniem „Kingdom of..." jest dodawana na MicroWiki, czyli bazę danych na temat mikronacji. Pomysł założenia własnego państwa to – szczególnie w świecie zachodnim – dosyć powszechny akt sprzeciwu wobec tego, co się dzieje, choć kończący się zawsze gorzką porażką.

Mikronacje odchodzą wraz z ich twórcami? Czy czeka to też Ladonię po śmierci w 2021 r. w dość tajemniczym wypadku jej założyciela, szwedzkiego artysty Larsa Vilksa?

Na razie Ladonia jeszcze działa. Stworzyła wokół siebie mocną społeczność, która się lubi, wspiera, spotyka, czuje odpowiedzialność za samą siebie i dzieło Larsa, który nie pełnił w niej *de iure* najbardziej zaszczytnej funkcji, bo według prawa ladońskiego królową musi być zawsze kobieta. Ladonia ma szansę przetrwać, choć nie jest to pewne, ponieważ był to też projekt mocno indywidualny.

Vilks, nad którym za publikację karykatur Mahometa wisiał wyrok muzułmańskich fundamentalistów, mówił do Ciebie: „Wiesz, że jestem nieśmiertelny?".

Niechęć muzułmanów do Larsa nie była całkiem nieuzasadniona, ale to na inną historię. Natomiast przykładem mikronacji, która żyje po śmierci założyciela, jest Seborga. Po panującym od lat 60. pierwszym księciu nowej Seborgi, którym był Giorgio Carbone, nastąpił książę Marcello, a teraz jest księżniczka Nina.

W przypadku Królestwa Północnego Sudanu nikt nie umarł, ale umarła idea. O Kabuto było głośno przez krótki czas. I zrobiło się ponownie, gdy Mieszko ogłosił, że kupił wyspę. Christiania z kolei w zeszłym roku skończyła 50 lat i ma się świetnie. Najbliżej mi zresztą do niej, choć nie zgadzam się chyba z żadną koncepcją mikronacji, które odwiedziłem.

Osoby wykształcone mają dziś tendencje do zamykania się w swojej bańce. Ta lewicowa, intelektualna bańka, do której pewnie przynależę, słysząc o idei państwa libertariańskiego odrzuciłaby ją od razu. Nie byłoby dyskusji. A jednak warto próbować zrozumieć lepiej twórców takiej idei i tych, którzy ich wspierają. Ponieważ nie jest ich aż tak mało.

Dawniej zamiast o „bańce" mówilibyśmy, że to „nie z naszej bajki". W stworzonym przez Ciebie określeniu „tycipaństwa" i w całym współczesnym państwotwórstwie jest też element baśniowy.

Nie tylko we współczesnym. Wszystkie księżniczki, królowie, którzy posiadają własne mikropaństwa, są bardzo baśniowi. A opowieść o Jeremiah Heatonie lecącym do Egiptu, żeby zająć fragment ziemi, na którym jego córka mogłaby zostać księżniczką, była tak baśniowa, że dostała znak jakości baśniowości od Disneya. Ten, po wykupieniu praw do historii, porzucił ją jednak, uznając za zbyt kolonialną. Baśniowość wynika też z tego, że baśnie mają wydźwięk moralny, pozytywnych bohaterów, którzy chcą zmienić świat, coś naprawić, przybyć z odsieczą. Ci ludzie tacy są. Oczywiście pojawiają się też czarne charaktery. Jak i w baśniach.

Ze względu na Twoją wiedzę chciałem Ci zaproponować w przyszłości co najmniej stanowisko ministra spraw zagranicznych w moim państwie, ale czuję się zniechęcony. Wygląda na to, że tworzenie własnego państwa nie jest łatwiejsze niż dopasowanie się do istniejącego, choćby dysfunkcyjnego.

Absolutnie nie jest. To jedyny sensowny wniosek. Mikronacje, tworząc nowe raje, w gruncie rzeczy dzielą, tworzą kolejne granice. To nie jest próba dialogu, ale odgradzanie się od osób, które nam się nie podobają. Ucieczka od tego, co konieczne, od wyzwań, z którymi zmaga się ludzkość.

Bardziej dzielą jednak imperializm, nacjonalizm, próba zglajchszaltowania wszystkich, narzucenia jednej edukacji. Może przyszłość jest w różnorodności, wielości, powrocie do świata sprzed XIX-wiecznych koncepcji narodu?

Jestem fanem takiej wizji! Żeby istniały różne wspólnoty, społeczeństwa, zupełnie nawet niekompatybilne. Że będzie Liberland, w którym każdy będzie prowadził biznes na zasadach wolnego rynku i może jakimś cudem nie dojdzie do monopolizacji wszystkiego i wszystkich. Że z drugiej strony będzie Christiania, w której nikt nie będzie miał żadnej własności prywatnej. Może byłoby to dla wszystkich komfortowe.

I każdy kraj przyszłości mógłby być federacją dziesiątek czy setek takich mikronacji.

Ale mogłoby się to wydarzyć dopiero wtedy, kiedy nie będzie już nic pilniejszego od sprawdzania, która utopia jest najsprawniejsza. Mamy teraz wyzwania, które wymagają solidarności, jak choćby kryzys klimatyczny. Kraje członkowskie Unii Europejskiej nie różnią się od siebie tak bardzo, jak najbardziej skrajne mikronacje, a i tak bywa ciężko. Dlatego mikronacje to fanaberia. Różnorodność jest wskazana, ale musi być powiązana z odpowiedzialnością. Ucieczka od starych państw narodowych jest często tylko ucieczką od odpowiedzialności za swoje czyny.

© Rozmawiał BARTEK DOBROCH

MACIEJ GRZENKOWICZ *(ur. 1996) jest dziennikarzem, reporterem Radia Nowy Świat, antropologiem kultury. Autor opublikowanej nakładem Wydawnictwa Poznańskiego książki „Tycipaństwa. Księżniczki, bitcoiny i kraje wymyślone".*

Posłuchaj także rozmowy z Maciejem Grzenkowiczem w Podkaście Powszechnym: powszech.net/tycipanstwa

STANISŁAW

Mancewicz:
Ciągle w kinie

Od kilku dni czytamy sobie o filmie poświęconym Edwardowi Gierkowi. Powiada się tu i ówdzie, że jest to film bardzo niedobry, że aktorstwo, scenariusz i dialogi są na cztery nogi. Wszystko to, jak wiadomo, się zdarza – zarówno w kinie fabularnym, jak i w rzeczywistości, też oczywiście często-gęsto fabularyzowanej, dajmy na to, przez Jarosława Kaczyńskiego i jego kolegów.

Oto narzekania na złe filmy uważamy za aktywność z gruntu jałową. Słowem, nie robią na nas wrażenia zjadliwości, że ktoś źle udaje w filmie Jaruzela, dajmy na to, że scenariusz to groch z kapustą, że twórcy nie przeczytali choćby najcieńszego bryku na temat peerelowizny lat 70. XX w., i że ogólnie popłynęli. Wisłą do Morza Czarnego, co, jak wiemy (nie wszyscy) jest niewykonalne, dopóki Jarosław Kaczyński nie każe (a każe) Błaszczakowi z Czarnkiem przekopać się z Sandomierza do Odessy. Są to wszystko zarzuty śmieszne, dlatego że dziś nie można do nikogo mieć pretensji, że jest nieutalentowany, leniwy bądź ma zbyt wielkie, a nieuzasadnione mniemanie o sobie i historii ojczystego kraju. Tak to sobie można było krzywdzić bliźniego ćwierć wieku temu, teraz zaś krzywdzenie polega na robieniu mu kuku w inny sposób. O tym będzie za moment, chcemy bowiem jeszcze dodać ze trzy grosze na temat filmu o Gierku.

Wywołał on myśl krągłą jak złoty rubel, że jeśli idzie o kino poświęcone postaciom historycznym, to powstają tu filmy będące raczej najsłodszymi adoracjami, w ogóle zaś nie kręci się filmów traktujących głównych bohaterów naszej historii w sposób nieżyczliwy i brutalny. To jest kolejna zagadka tutejszych rozumów. Chętnie byśmy sobie obejrzeli taki film – dla przykładu – o Stefanie Batorym, człowieku ponoć dość przykrym w obejściu, co niejako widać po buzi. I to w zasadzie byłoby na tyle, jeśli idzie o nasze zdanie na temat kinematografii polskiej obecnej doby.

Przejdziemy teraz do obiecanej, szerokiej oczywiście bardzo, tematyki krzywdzenia człowieka przez człowieka. Oto trwają prace nad bardzo wyśmiewaną ustawą, zwaną już powszechnie „lex Kaczyński". Jej istotą są różniaste rozwiązania prawne i bezprawne na czas szalejącej epidemii. Jest owa ustawa, jak zresztą całe ostatnio uchwalane prawo w Polsce, ilustracją działań bardzo amatorskich, bardzo doraźnych, oczywiście nieudolnych, ale też ziejących groźbami. Grożenie ludziom, to ważne do zapamiętania, jest esencją mentalności dzisiejszych władz na każdym szczeblu drabiny rządzenia. A więc groźby i kary – to elementy, bez których nie da się dziś planować żadnych ustaw.

W tej najnowszej, jak czytamy, znalazł się zapis mówiący, że każdy pracownik będzie mógł donieść na kolegę, jeżeli uzna, że został przezeń zarażony COVID-19. W projekcie jest nawet wysokość grożącej za ten haniebny czyn grzywny. To piętnaście tysięcy złotych. Mamy tu dwie kwestie – oto Jarosław Kaczyński jest, co wiemy, geniuszem i ma zdolności nadprzyrodzone. Widzi wirusy. Gospodarz widzi, jak wirus wylatuje z nosa jednego z jego kolegów i wlatuje do buzi drugiego. Gospodarz to sobie rzecz jasna notuje, bo on notuje wszystko. No więc w oparciu o ten boski dar powstała owa ustawa. Geniusz z Żoliborza przecenia jednak szarego człowieka. Ludzie nie widzą wirusów, nie mogą na sto procent wiedzieć, od kogo się zarazili, więc nie mogą tego udowodnić, ale bardzo lubią pokombinować, jak by tu wyszarpnąć forsę od nielubianego kolesia z pracy. Jak zrobić mu solidne kuku, tzn. przy okazji doprowadzić do jego izolacji, a może i jakoś – to jest do opracowania – porządnie go ku przestrodze oznakować. Jakimś z daleka widocznym piktogramem na przykład.

Kwestią ostatnią jest wynikające z tego, co powyżej, nasze przekonanie, że w najbliższym otoczeniu umiłowanego przywódcy nie ma już nikogo z jakim takim wykształceniem. Są już sami czarownicy i znachorzy. Nie ma edukatorów i popularyzatorów przyrody, nie ma kogoś, kto powie: „Gospodarzu, infekcje kropelkowe przenoszą się nieco inaczej niż, weźmy, proste choroby weneryczne. Te zakażenia odbywają się inaczej". ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

LEKARZE NA BEZLUDNEJ WYSPIE

Cennik i zasady zakupu „Tygodnika Powszechnego” z dostawą do domu

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Prenumeratę (krajową i zagraniczną) można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

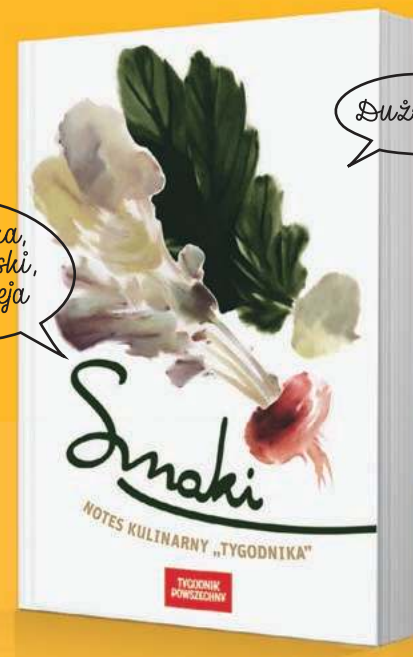

Dużo stron!

Ochędowska, Kuźmiński, Bravo, Ukleja

Do KAŻDEGO zamówienia autorski, wyjątkowy notes kulinarny W PREZENCIE!

Przepisy, rozmowy, eseje

12 sezonów

Autorskie ilustracje

Notes kulinarny „Smaki” wyślemy do Ciebie na nasz koszt!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

przekaż 1% podatku

KRS 0000 274785

www.**caritas**.lodz.pl FB / **caritas**.lodz

Materiał promocyjny sfinansowany ze środków finansowych z 1% podatku dochodowego od osób fizycznych.

caritas
ARCHIDIECEZJI ŁÓDZKIEJ